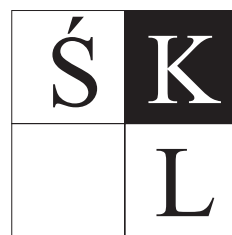


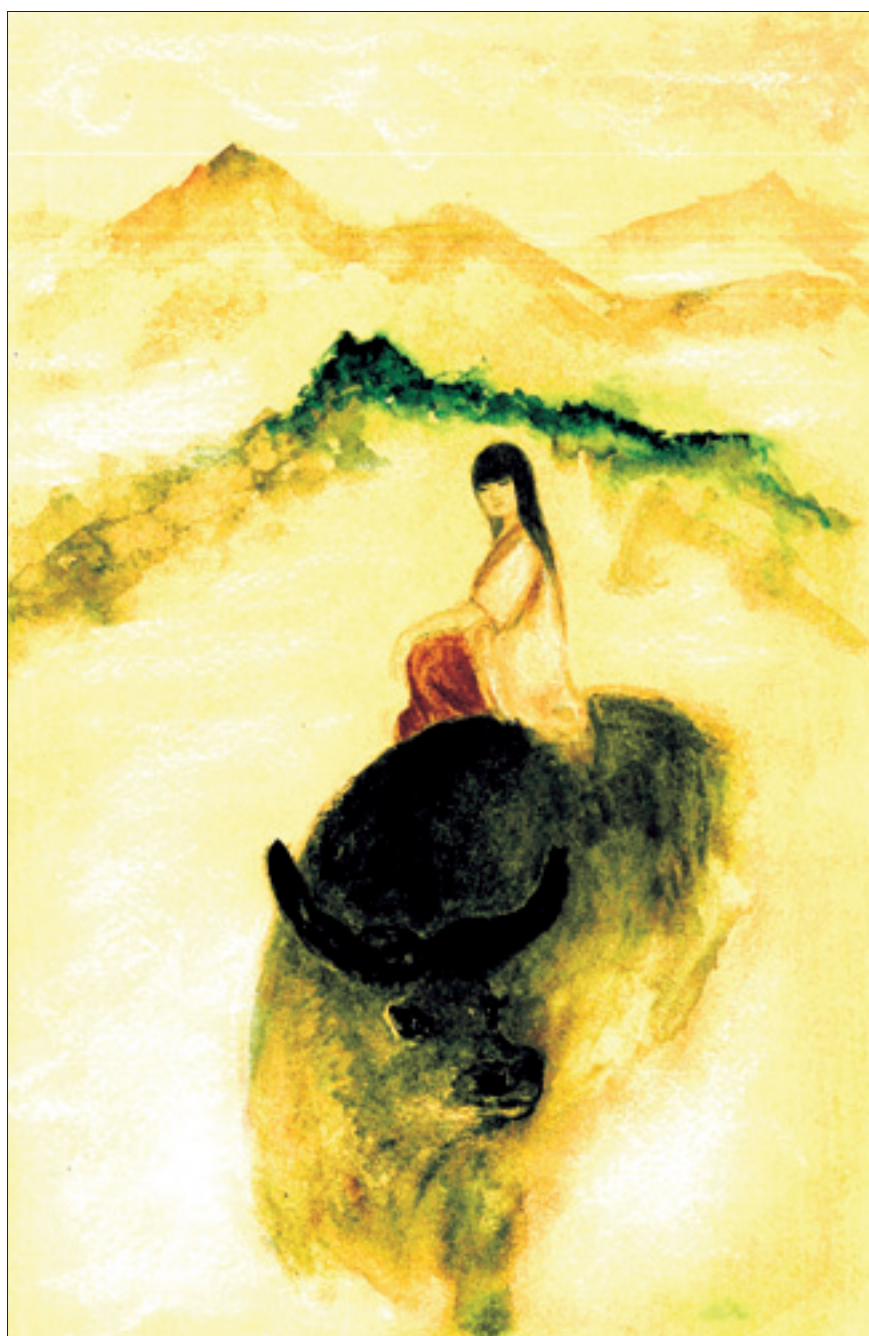
# ŚWIĘTOKRZYSKI KWARTALNIK LITERACKI



KIELCE 2015 NR 1-2 (47-48)

ISSN 1429-849-X

NAGRODZONY PRZEZ MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA ŚWIĘTOKRZYSKIEGO



Liliana Abraham Zubińska: *Siedząca na byku*



Liliana Abraham Zubińska na promocji swojej książki w klubie „Miniatura” (21 lutego 2015)

**Liliana Abraham Zubińska** – poetka i prozaiiczka, krytyk literacki. Zajmuje się także malarstwem. W latach 1998-1999 członkini zespołu redakcyjnego ogólnopolskiego miesięcznika literackiego „Akant” w Bydgoszczy. Członkini Związku Literatów Polskich.

Zdobyła liczne nagrody i wyróżnienia w konkursach literackich m.in. I nagrodę w Konkursie Literackim im. Stefana Żeromskiego za tom opowiadań pt. *Wtajemniczenie* oraz II nagrodę za powieść pt. *Olimpio*.

Publikowała m.in. w takich czasopismach, jak „Akant”, „Akcent”, „Arkusze”, „Dedał”, „Dziś”, „Fraza”, „Ikar”, „Metafora”, „Mimo-za”, „Radar”, „Sycyna”, „Świątokrzyski Kwartalnik Literacki”, „Twórczość” i litewski „Nasz Czas”, „RzeczPospolita Kulturalna” w Londynie. Publikacje w licznych almanachach polskich i zagranicznych.

Publikacje książkowe:

- *Z klamką w dłoni* (zeszyt poetycki), Złotów 1985
- *Mech jest zielony*, Piła 1997,
- *Głogi i wrzosy*, Bydgoszcz 1998,
- *Wtajemniczenie*, Kielce 2007,
- *Cisza wie*, Koszalin 2008,
- *W drodze do siebie*. Portret literacki Ireny J. Paźdierz, Kielce 2011,
- *Qi*, Kielce 2015.

## Qigong

Wiatr przywiał zapach bieszczadzkich łąk  
i odgłos kłopotu bociana,  
gdy z zamkniętymi oczami wewnątrz badam świat  
– czy daleko,  
– czy blisko jest prawda?

Gdy kolejna zasłona zerwana  
już nie pytam czyja ta twarz.

Tak,  
teraz znów unoszę się  
i opadam.  
Na przemian zbliżam się  
i oddalam...  
Wracam,  
odchodzę  
i wracam...



Liliana Abraham Zubińska: *Lotosy*

# ŚWIĘTOKRZYSKI KWARTALNIK LITERACKI

ISSN 1429-849-X  
KIELCE 2015 NR 1-2 (47-48)



Wydawca: Związek Literatów Polskich – Oddział w Kielcach  
Adres redakcji: 25-009 Kielce, ul. Zamkowa 5

**Numer przygotowany dzięki finansowej pomocy  
Samorządu Województwa Świętokrzyskiego  
i Wodociągów Kieleckich Sp. z o.o.  
przy współudziale Oficyny Wydawniczej „STON 2”  
oraz Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Witolda Gombrowicza w Kielcach**

Redaguje Zarząd Kieleckiego Oddziału ZLP  
STANISŁAW NYCZAJ – prezes, redaktor naczelny  
BEATA KĘPIŃSKA – sekretarz, BENEDYKT KOZIEŁ – wiceprezes, JAN LECHICKI – wiceprezes  
EWA MARIA WOJTASIK – skarbnik  
oraz KRYSZYNA CEL

Korekta: IRENA NYCZAJ  
Opracowanie komputerowe: PAWEŁ NYCZAJ

Redakcja dziękuje autorom za nieodpłatne przekazanie utworów i artykułów do publikacji.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych; zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów,  
a także zamieszczania fragmentów dłuższych utworów.

Zdjęcia niepodpisane pochodzą z archiwum „SKL”.

## OD REDAKCJI

Jubileusz 30-lecia Kieleckiego Oddziału ZLP.....	5
Protokół z zebrania sprawozdawczo-wyborczego Kieleckiego Oddziału ZLP odbytego 21 marca 2015 .....	9
Sprawozdanie z działalności Kieleckiego Oddziału ZLP za okres 26 lutego 2011 – 21 marca 2015 .....	10
Nowe władze ZLP.....	14

## WSPOMNIENIA I ROZMOWY

B. Gumowski: Rozmowa z Andrzejem Sygutem o Stanisławie Barańczaku.....	15
S. Nyczaj: Wspomnienie o Stanisławie Barańczaku .....	17
R. Koziej: Rozmowa z Olgą Tokarczuk .....	18
Z. Nowak: Wodociągi Kieleckie: „Spółka z kulturą” .....	24

## ESEJE – SZKICE – RECENZJE

St. Jurkowski: Spojrzenie na twórczość świętokrzyskich pisarzy w 30-lecie Oddziału ZLP w Kielcach .....	28
A. Andrych o poematach E. Musiał .....	52
K. Cel o poezji K. Świegockiego.....	55
K. Czejarek o nowej powieści J. Chruślińskiego .....	58
S. Nyczaj o <i>Wyborze wierszy</i> J. Lechickiego .....	61
o <i>Kalejdoskopie pamięci</i> H. Morawskiego .....	65
o tomie wierszy <i>Dzban pragnień</i> R. Bielendy.....	68
o tomie <i>W oknie zaufania</i> A. Zielińskiej-Brudek .....	70
o tomie <i>Dwa maty</i> M. Zynger.....	73
o tomiku satyrycznym <i>Słowo daję</i> E. Jach .....	75
o tomiku fraszek <i>Rozkoszne manowce</i> W.J. Domagały.....	78
W. Szproch o poezji i malarstwie L. Abraham Zubińskiej. 82	
B. Wtorkiewicz o zbiorze haiku W.M. Raka .....	83
L. Żuliński o tomiku <i>Melancholia</i> ... J. Kłaczyńskiej .....	85

## TWÓRCZOŚĆ

Z pokłosia II Konkursu Literackiego im. S. Żeromskiego..	87
I. Furnal: <i>Bohater mojego dzieciństwa</i> (fragment opowieści-eseju).....	87
H. Kawiorski: <i>Pocałunek na dobranoc</i> (fragment powieści).....	93
E. Musiał: <i>Mówię pochyloną cambrią</i> (poemat).....	96
I. Paździerz: <i>Ucieczka w dorosłość</i> (fragment powieści).....	99
L. Wojnakowski: <i>Przemijanie</i> (opowiadanie) .....	103
Twórczość członków nowego Zarządu Kieleckiego Oddziału ZLP i uczestników Festiwalu Poezji Słowiańskiej w Warnie 2013, 2015.....	107
B. Kępińska: Wiersze .....	107
B. Koziej: Wiersze w j. polskim i bułgarskim.....	109
J. Lechicki: Wiersze .....	110
E.M. Wojtasik: Wiersze.....	112
S. Nyczaj: Wiersz w j. polskim i bułgarskim.....	115
T. Mielcarek: Wiersze w j. polskim i bułgarskim .....	116
M. Zynger: Wiersze w j. polskim i bułgarskim.....	117
Ł. Seliaszki: Wiersze .....	118
K. Cel: Wiersze .....	119

## NOTY

S. Nyczaj: Perfidne kłamstwa „Radostowy” .....	121
Nagroda dla Dariusza Kaźmierczaka .....	124
W. Szproch: Świętokrzyska Jesień Literacka w Morawicy.....	125
List od Stowarzyszenia „Rodzina 19 Pułku Ułanów Wołyńskich” .....	126

Dotychczasowe numery „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego” znajdują się na portalu Świętokrzyskiej Biblioteki Cyfrowej pod adresem: <http://sbc.wbp.kielce.pl/dlibra/publication?id=25447&from=&dirids=1&tab=1&lp=1&q1>



## Jubileusz 30-lecia Kieleckiego Oddziału ZLP

8 grudnia 2014 spotkaliśmy się w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej im. W. Gombrowicza, świętując jubileusz 30-lecia naszego Oddziału. Z tej szczególnej okazji decyzją pani minister kultury i dziedzictwa narodowego brązowymi medalami Zasłużony Kulturze *Gloria Artis* odznaczeni zostali: poeta Romuald Bielenda, poetka i eseistka Elżbieta Musiał (członkini Zarządu Głównego ZLP), prozaik i eseista Tadeusz Wiącek (przypomnijmy, iż wcześniej medal ten otrzymali: we wrześniu 2007 poetka i malarka, wiceprezeska Oddziału Władysława Szproch i w kwietniu 2014 poeta, eseista, prezes Oddziału Stanisław Nyczaj). Z satysfakcją przyjmowaliśmy gratulacje i życzenia od wybitnego poety, prezesa Zarządu Głównego ZLP Marka Wawrzkiwicza, wysoko oceniającego nasz literacki i animatorski wkład w dorobek Związku, od władz wojewódzkich i miejskich, także dyrektora gościnnej WBP Andrzeja Dąbrowskiego, który nadto otworzył towarzyszącą jubileuszowemu spotkaniu wystawę fotogramów, malarstwa, książek i czasopism, w tym edycji naszego czasopisma wychodzącego od połowy 1997 roku.

Zarząd Główny ZLP, prócz prezesa, reprezentowali: poetka, eseistka, skarbniczka Aldona Borowicz, poeta, krytyk literacki, przewodniczący Komisji Kwalifikacyjnej Związku Stefan Jurkowski, jak również – z grona gości – m.in. poeta i tłumacz Andrzej Tchórzewski, krytyk literacki Janusz Termer.

Publikujemy w tym numerze pełny tekst wystąpienia krytycznoliterackiego Stefana Jurkowskiego, będący wnikliwym spojrzeniem na twórczość pisarzy – członków naszego Oddziału poprzez ocenę jednej reprezentatywnej dla każdego z nich książki.

Dobrą egzemplifikacją wartości literackich, o jakich mówił Stefan Jurkowski, była prezentacja fragmentów poematu Elżbiety Musiał *Ars moriendi* przez aktorów Teatru im. St. Żeromskiego Teresę i Mirosława Bielińskich.

### Laureaci II Konkursu Literackiego im. Stefana Żeromskiego

W przeddzień spotkania jubileuszowego, 7 grudnia, jury złożone z trzech krytyków literackich: Stefana Jurkowskiego i Janusza Termera z Warszawy oraz Stanisława Nyczaja z Kielc postanowiło przyznać nagrody i wyróżnienia w czterech konkursowych kategoriach niżej wymienionym uczestnikom:

#### W kategorii POWIEŚĆ

dwie I nagrody

- Irenie Paździerz z Kielc (godło „Brunhilda”) za utwór pt. *Ucieczka w dorosłość* w formie studyjnej wycieczki autokarowej do Brukseli od posta do Parlamentu Europejskiego dra Czesława Siekierskiego,
- Henrykowi Kawiorskiemu (godło „Gryf”) z Kielc za utwór pt. *Pocałunek na dobranoc* – pieniądze;

dwie II nagrody

- Lilianie Abraham Zubińskiej z Kielc (godło „Ewa”) za utwór pt. *Olimpio* – pieniądze,
  - Janowi Chruślińskiemu z Warszawy (godło „Korab”) za utwór pt. *Miłość i wojna* – pieniądze;
- dwa równorzędne wyróżnienia

- Teresie Opoce z Radomia (godło „Leśne echo”) za utwór pt. *Kalinowe serce* – pieniądze,
- Pelagii Borowskiej z Wiosny k. Końskich (godło „Julka”) za utwór pt. *Źródło Biruty* – pieniądze; wyróżnienie „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego”
- Krzysztofowi Kowalskiemu z Końskich (godło „Psikot”) za utwór pt. *Dlaczego woda jest mokra? Niebajka*.

#### W kategorii ZBIÓR OPOWIADAŃ

- I nagrodę Leopoldowi Wojnakowskiemu z Kielc (godło „Siwy”) za utwór pt. *Przemijanie* – pieniądze;

trzy równorzędne wyróżnienia

- Annie Błachuckiej z Małogoszcza (godło „Anba”) za zbiór pt. „Świstun” i inne opowiadania – pieniężne,
  - Irenie Paździerz z Kielc (godło „Ajsza”) za zbiór pt. *Okna* – pieniężne,
  - Henrykowi Kawiorskiemu z Kielc (godło „Golf”) za zbiór pt. *Między Nidą a Łysicą* – pieniężne;
- wyróżnienia „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego”
- Kazimierze Szczykutowicz z Kielc (godło „Tramp”) za zbiór pt. *Wzdłuż rozdarcia*,
  - Agnieszce Zięba-Dąbrowskiej ze Starachowic (godło „Mona Liza”) za zbiór pt. *Sportkania z czasem*,
  - Stanisławowi Rogali z Piekoszowa (godło „Dziecko”) za zbiór opowiadań.

### W kategorii ESEJ

- I nagrodę Irenie Furnal z Kielc (godło „Kresowianka”) za utwór pt. *Chłopiec z ulicy Kolejowej* – w formie studyjnej wycieczki autokarowej do Brukseli od posta do Parlamentu Europejskiego dra Czesława Siekierskiego;
- wyróżnienie Henrykowi Kawiorskiemu z Kielc (godło „Gong”) za utwór pt. *Stefan Żeromski i panienska ze dworu* – pieniężne.

### W kategorii ZBIORY WIERSZY I POEMAT

- I nagrodę Elżbiecie Musiał z Końskich (godło „Czas niedokonany”) za poemat pt. *Mówię pochyloną cambrią* – w formie studyjnej wycieczki autokarowej do Brukseli od posta do Parlamentu Europejskiego dra Czesława Siekierskiego;
- dwa równorzędne wyróżnienia
- Kazimierze Szczykutowicz z Kielc (godło „Lir”) za poemat pt. *Ziarenka miłości* – pieniężne,
  - Stanisławowi Rogali z Piekoszowa (godło „Wanda”) za poemat pt. *Wschodni wiatr* – pieniężne;
- wyróżnienia „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego”
- Romualdowi Bielendzie z Kielc (godło „Stefan Katerla”) za zbiór wierszy pt. *Dzban pragnień*,

- Annie Zielińskiej-Brudek z Kielc (godło „Anzi”) za zbiór wierszy,
- Agnieszce Zięba-Dąbrowskiej ze Starachowic (godło „Abigail”) za zbiór wierszy pt. *Reliefy i witraże*.

Konkurs został zorganizowany przez Kielecki Oddział Związku Literatów Polskich w 150-lecie urodzin Stefana Żeromskiego. Uroczystość wręczenia nagród i wyróżnień laureatom odbyła się 9 grudnia br. w Strawczynie. Wręczali je: prezes Oddziału ZLP Stanisław Nyczaj (sekretarz jury) i wójt gminy Strawczyn Tadeusz Tkaczyk.

Konkurs wspomogli finansowo:

- Urząd Marszałkowski Województwa Świętokrzyskiego,
- Starostwo Powiatowe w Kielcach,
- Wodociągi Kieleckie Sp. z o.o., reprezentowana przez prezesa Zarządu i dyrektora Henryka Milcarza,
- BC&O Sp. z o.o. S.K.A. w Kielcach, reprezentowana przez prezesa Zarządu Mirosława Srokę,
- poseł Jan Cedzyński.

Trzy I nagrody w formie studyjnych wycieczek autokarowych do Brukseli przyznał poseł do parlamentu Europejskiego dr Czesław Siekierski.

Albumy na upominki dla nagrodzonych i wyróżnionych przeznaczył prezydent Kielc Wojciech Lubawski.

Wydatną pomoc organizacyjną okazali:

- Centrum Edukacyjne „Szklany Dom” w Ciekotach, reprezentowane przez kierownik Krystynę Nowakowską,
- Gmina Strawczyn, reprezentowana przez wójta Tadeusza Tkaczyka.

SERDECZNIE DZIĘKUJEMY! – w imieniu Zarządu Kieleckiego Oddziału ZLP i laureatów konkursu

Redakcja

## Z uroczystości 30-lecia Kieleckiego Oddziału ZLP



Dyr. Małgorzata Kowalińska i dyr. Jacek Kowalczyk z Urzędu Marszałkowskiego Województwa Świętokrzyskiego wręczają dyplom uznania dla Kieleckiego Oddziału ZLP



Prezes Zarządu Głównego ZLP Marek Wawrzkiwicz wręcza medale „Zasłużony Kulturze *Gloria Artis*” Romualdowi Bielendzie (z lewej) i Tadeuszowi Wiąckowi (poniżej). Fot. Mariusz Stec





Główny Bibliotekarz Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Kielcach Jadwiga Zielińska otwiera uroczystość 30-lecia Oddziału ZLP



Stanisław Nyczaj i Władysława Szproch witają zebranych



Członkowie i goście Kieleckiego Oddziału ZLP obecni na uroczystości. Fot. Mariusz Stec



## Protokół z zebrania sprawozdawczo-wyborczego Kieleckiego Oddziału ZLP odbytego 21 marca 2015

Na zebraniu sprawozdawczo-wyborczym Kieleckiego Oddziału ZLP 21 marca br. (przy obecności 26 osób na 49 należących) – po szczegółowym sprawozdaniu z działalności w minionej 4-letniej kadencji, sprawozdaniu Komisji Rewizyjnej, informacji, iż nie było spraw zgłaszanych do Sądu Koleżeńskiego, następnie po dyskusji i jednomyślnym udzieleniu ustępującemu Zarządowi absolutorium – w głosowaniu tajnym (przeprowadzonym przez Komisję w składzie: Włodzimierz Kłaczyński – przewodniczący, Anna Błachucka i Wawrzyniec Marek Rak – członkowie) wybrany został na kolejną kadencję prezesem Stanisław Nyczaj (pełniący tę funkcję nieprzerwanie od 1996 r.).

Następnie wybrany został nowy Zarząd, w skład którego największą liczbą otrzymanych głosów weszli (wymienieni z funkcji po ukonstytuowaniu się):

- Jan Lechicki – wiceprezes
- Benedykt Kozieł – wiceprezes
- Beata Kępińska – sekretarz
- Ewa Maria Wojtasik – skarbnik

Do Komisji Rewizyjnej zostali wybrani (po ukonstytuowaniu się):

- Romuald Bielenda – przewodniczący
- Kazimiera Szczykutowicz – członkini
- Zofia Walas – członkini

Sąd Koleżeński stanowią (po ukonstytuowaniu się):

- Irena Paździerz – przewodnicząca
- Anna Błachucka – członkini
- Iwona Zielińska-Zamora – członkini

Delegatami na Krajowy Zjazd z 14. zgłoszonych wybrano przysługujących 49-osobowemu Oddziałowi 10. niżej wymienionych w porządku alfabetycznym:

1. Romuald Bielenda
2. Anna Błachucka
3. Beata Kępińska
4. Benedykt Kozieł
5. Jan Lechicki
6. Elżbieta Musiał
7. Stanisław Nyczaj
8. Irena Paździerz

9. Władysława Szproch
10. Ewa Maria Wojtasik

### Wnioski z obrad przyjęte jednomyślnie:

1. Przekazanie kwoty 2000 (dwu tysięcy) zł na konto Zarządu Głównego na organizację 51. Walnego Krajowego Zjazdu Związku.

2. Umorzenie zaległości w opłacaniu składek członkowskich, powstałych u części koleżanek i kolegów w okresie do końca 2011 roku. W przypadku trudności ze spłaceniem zaległości za okres ostatnich trzech lat (2012–2014) przyjmuje się indywidualne zobowiązania do spłaty zaległości w uzgodnionych kwotowo ratach.

3. Powierzenie wypełnienia rocznych PIT-ów na podstawie wstępnych PIT-ów 11 w obowiązującym od tego roku systemie elektronicznym (z tzw. podpisem elektronicznym, który trzeba wykupić) wybranemu przez Zarząd Oddziału w porozumieniu z Komisją Rewizyjną biura rachunkowemu.

4. Sprzyjanie stałej tendencji w naszym Związku od czasów prezesury Piotra Kuncewicza, zmierzającej do połączenia go ze Stowarzyszeniem Pisarzy Polskich w jedną profesjonalną organizację pisarską, by straciła aktualność gorzka frazka Marka Niegodajewa pt. *Rozbrat* przesłana na konkurs im. Mikołaja Reja w 1998 roku: „Dwa literackie związki, / A tylko jedne Powązki”. Połączenie to da środowisku literackiemu większe szanse w walce o należne pisarzom godziwe warunki do twórczej pracy i egzystencji.

5. Dalsze wspieranie opieką krytycznoliteracką klubów skupiających adeptów literatury: „Aspektu” przy MCK w Ostrowcu Świętokrzyskim i „Wiklina” w Skarżysku-Kamiennej – z powierzeniem w tym ostatnim roli opiekunki Elżbiecie Jach ze Skarżyska Kościelnego, posiadającej wartościowy dorobek twórczy i ubiegającej się o przyjęcie w poczet członków ZLP.

6. Podjęcie dalszych starań – wzorem wystąpienia o imię Feliksa Raka dla Gminnej Biblioteki Publicznej w Krasocinie, imię Ryszarda Miernika dla Ośrodka Pracy Twórczej „Wietrznia”, imię Edmunda Niziurskiego dla Szkoły Podstawowej w Słopczu Szlacheckim w gminie Daleszyce – o upamiętnianie zmarłych koleżanek i kolegów

o znaczącym dorobku literackim w różnej formie w ramach proceduralnych możliwości (nie zrażając się komplikacjami pod względem administracyjno-prawnym) poprzez nadanie ich imion placówkom kultury, szkołom, ulicom i innym miejscom publicznym lub tablice pamiątkowe etc.

7. Uczenie 45. rocznicy śmierci Juliana Przybosa spotkaniem literacko-artystycznym poświęconym jego życiu i twórczości z udziałem

Uty Przyboś i jej rodziny w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej lub naszej siedzibie: Domu Środowisk Twórczych. Podjęcie nadto przygotowań do innych upamiętniających spotkań związanych w najbliższym czasie z 90. rocznicą śmierci Stefana Żeromskiego, 510-leciem urodzin Mikołaja Reja i dalszych wynikających z kalendarza.

Protokołowała *Kazimiera Szczykutowicz*

## Sprawozdanie z działalności Kieleckiego Oddziału ZLP za okres 26 lutego 2011 – 21 marca 2015

26 lutego 2011 na zebraniu sprawozdawczo-wyborczym ukonstytuował się Zarząd w składzie: Stanisław Nyczaj – prezes, Władysław Szproch – wiceprezes, Andrzej Piskulak – sekretarz, Irena Paździerz – skarbnik, Bogusław Pasternak – członek. W grudniu 2012 na zebraniu Oddziału Irena Paździerz z powodu kłopotów zdrowotnych zrezygnowała z funkcji i na jej miejsce z własnego zgłoszenia (przy braku innych kandydatur) obowiązki skarbnika przejęła Kazimiera Szczykutowicz.

W skład Komisji Rewizyjnej weszli: Jan Lechicki jako przewodniczący oraz Benedykt Kozieł i Zofia Walas – członkowie; w skład Sądu Koleżeńskiego: Krystyna Cel – przewodnicząca oraz Anna Błachucka i Iwona Zielińska-Zamora – członkinie. Delegatami na walny Krajowy Zjazd (7 maja 2011) zostali – oprócz niżej podpisanego (wybranego potem do Prezydium ZG) – Anna Błachucka, Jan Lechicki, Elżbieta Musiał (wybrana potem na członkinię Zarządu Głównego), Teresa Opoka, Bogusław Pasternak, Irena Paździerz (wybrana w skład Sądu Koleżeńskiego ZG), Andrzej Piskulak, Władysław Szproch, Zofia Walas.

W okresie minionej 4-letniej kadencji odeszli od nas kolejno nieodżałowani:

– nowelista, poeta, współtwórca i długoletni przewodniczący ostrowieckiego Klubu Literackiego „Aspekt” Jerzy Stokłosa (mój krajan spod Lwowa),

– poeta i prozaik Jerzy Włodzimierz Misztela spod Piotrkowa Trybunalskiego (wypowiadałem się o jego rodzinnych stronach z przejęciem o poetyckiej na poły opowieści *Księżyc nad Luciążką*),

– poetka, prozatorka, rzeźbiarka, regionalistka ze Skarżyska-Kamiennej Bożena Piasta (założycielka i długoletnia opiekunka Klubu Literackiego „Wiklina”)

– poeta, prozaik, regionalista Ryszard Miernik z Kielc i Suchedniowa. Podpisałem zbiorowe wystąpienie (ok. 100-osobowe) o nadanie Ośrodkowi Pracy Twórczej „Wietrznia” imienia Ryszarda Miernika, który z równą pasją do pisania i rzeźbił (dowodem wydany przez nas zbiorek poetycki ze zdjęciami jego rzeźb *Skalniak świętokrzyski*), ten ośrodek zainicjował i zorganizował i który ma poczesną zasługę we wzbogaceniu krajobrazu Kielc o liczne i z architektonicznym gustem rozmieszczone rzeźby. Czynił w tej mierze wiele starań, gdy był kierownikiem Wydziału Kultury MRN. Wnuczka Ryszarda, Koleta Miernik, córka Zbyszka (opiekującego się rodzinnym „Podwórkiem rzeźbiarskim” w Suchedniowie), przekazała naszą listę dyrekcji Geoparku. Przed trzema dniami pani dyrektor mgr inż. Elżbieta Czajkowska powiadomiła mnie o decyzji następującym e-mailem: „W związku z naszą rozmową dotyczącą (jak wyżej) uprzejmie informuję, że po przeprowadzeniu analizy uznaliśmy, iż patronem tego miejsca powinien być rzeźbiarz. Uznaliśmy, że powstanie Ośrodka, jego działalność i realizowane przedsięwzięcia, wiązały się bezpośrednio z rzeźbą współczesną. Natomiast postać Ryszarda Miernika znana jest – obok jego działalności jako organizatora przedsięwzięć związanych z kulturą – jako poety i prozaika. Dlatego też wydaje nam się, że należałoby uhonorować tę ważną dla naszego regionu postać w miejscu związanym z obszarem literatury”.

– prozaik, felietonista i aforysta Zbysław Śmigielski z Bytomią, uczestnik kilku naszych plenerów w Staszowie, polemista ceniony za własne zdanie i upartą jego argumentację.

– powieściopisarz, nowelista, rysownik Stanisław Pająk z Suchedniowa, również uczestnik

naszych regionalnych plenerów w Sandomierzu i Staszowie.

– poeta, prozaik, dramaturg Henryk Jachimowski, żywo współpracujący z nami, choć formalnie do Oddziału nie należał. Sprzyjał nam we wszystkim gorąco.

Decyzją Prezydium Zarządu Głównego, kierowanym przez prezesa ZG Marka Wawrzkiewicza, skreśleni zostali z listy członków ZLP za stałe od wielu lat uchylanie się od statutowego obowiązku opłacania składek:

– poeta, felietonista, red. nacz. „Radostowy” Antoni Dąbrowski; tu na jego niecne dyskredytowanie na łamach „Radostowy” władz Związku (w tym szczególnie prezesa Marka Wawrzkiewicza) oraz dokonań Oddziału i osiągnięć twórczych wielu jego członków, w tym nawet nowo przyjętego Jana Chruślińskiego, odpowiadam w dziale *Noty*,

– poetka, eseistka, sekretarz red. „Radostowy” Agnieszka Zięba-Dąbrowska (zob. *Noty*).

Do Związku z naszej poręki przyjęci zostali:

– powieściopisarz i eseista Jan Chruśliński z Warszawy, mający w swej biografii silne i trwałe związki z regionem świętokrzyskim,

– powieściopisarz Dariusz Kaźmierczak z Włoszczowy,

– powieściopisarka i poetka Beata Kępińska z Baszowic k. Nowej Słupi,

– poetka i popularyzatorka naszej poezji w wydaniach płytowych Dorota Kwoka z Rzeszowa (było to podanie przyjacielskiej dłoni koleżance w jej rodzimym środowisku niedocenionej; poprosił o wstawienie się za nią Włodzimirz Kłaczyński),

– autor powieści z gatunku fantasy Paweł Rejdak z Kielc (który w mediach zaistniał jako młody pisarz-śmiałek do wyprawy na Marsa),

– poetka i nowelistka Małgorzata Spychaj z Ostrowca Świętokrzyskiego,

– poetka i eseistka z Warszawy (związana stałymi kontaktami z Krajowym Centrum Kultury PZN w Kielcach) Irena Stopierzyńska-Siek,

– poetka, nowelistka i scenariopisarka ze Szczecina (związana też z KCK PZN) Ewa Maria Wojtasik.

Ostatnio dołączyli do nas, przeniósłszy się z Krakowa, zaprzyjaźnieni na sandomierskich i staszowskich plenerach:

– krytyk literacki i historyk literatury Jacek Kajtoch,

– syn Jacka, poeta i historyk literatury Wojciech Kajtoch,

– poetka Joanna Rzodkiewicz,

– poetka, edytorka, parająca się też krytyką literacką Magdalena Węgrzynowicz-Plichta.

Aktualna lista obejmuje 51 członków.

Wśród kilkunastu wniosków do dalszej pracy i na walny Krajowy Zjazd jako pierwszoplanową wysunięto potrzebę ogólnozwiązkowego czasopisma literackiego, rzetelnie informującego o życiu literackim we wszystkich 21 oddziałach, o nowościach wydawniczych w kraju i w kręgu Polonii, konkursach literackich etc. Dopóki takie czasopismo nie powstanie wnioskowaliśmy, by poczynić starania o finansowe wsparcie cenionego także poza regionem „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego”. Nie udało się utworzyć ogólnozwiązkowego czasopisma literackiego. Częściowo jego rolę spełniał – z przerwami wskutek zmian redaktorów – portal [www.literaci.pl](http://www.literaci.pl) i gościnny Bogdana Wrocławskiego [www.pisarze.pl](http://www.pisarze.pl) – w obydwu niemało opublikowaliśmy obok „Gazety Kulturalnej”, „Autografu”. Na szczęście pojawił się magazyn do czytania „Książki” pod egidą „Gazety Wyborczej”, dający dobre rozeznanie w ruchu wydawniczo-księgarskim. Z braku środków mogły ukazać się tylko dwa roczne i cztery półroczne wydania „SKL”. Teraz otrzymaliśmy w konkursie ofert dla organizacji pozarządowych skromną kwotę 4 tys. zł (zamiast wnioskowanych 8 tys.) na kolejne dwie edycje półroczne.

Dzięki intensywnym staraniom u miejscowych władz i pozyskaniu kilku sponsorów spełniliśmy w grudniu 2014 obietnicę zorganizowania II Konkursu Literackiego im. Stefana Żeromskiego na utwory o wymiarze książkowym w czterech kategoriach: powieści, zbiorów opowiadań, tomów eseistyczno-wspomnieniowych oraz tomów poetyckich w zakresie liryki i poematu. Prócz nagród w formie autokarowych kilkudniowych wycieczek studyjnych do Brukseli i skromnych kwot pieniężnych, przyznane zostały na wniosek niżej podpisanego sekretarza jury konkursu wyróżnienia „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego”. Ponieważ konkurs adresowany był głównie do grona pisarzy z naszego Oddziału, chciałbym pogratulować nagród i wyróżnień obecnym na zebraniu: Lilianie Abraham Zubińskiej, Romualdowi Bielendzie, Annie Błachuckiej, Pelagii Borowskiej, Janowi Chruślińskiemu, Hen-

rykowi Kawiorskiemu, Elżbiecie Musiał, Teresie Opoce, Irenie Paździerz, Kazimierze Szczykutowicz, Leopoldowi Wojnakowskiemu. Pozostałym kilku laureatom będziemy gratulować na innych publicznych spotkaniach-promocjach pokonkursowych edycji, na które będą zaproszeni. Będziemy też publicznie dziękować osobom, które konkurs wspomogły. Mam dużą osobistą satysfakcję z udziału w pracach jury, bo konkurs stworzył dla laureatów i naszego Oddziału wspaniałe lobby, podobnie jak tamten pierwszy im. Stefana Żeromskiego z grudnia roku 2003, z którego pokłosa wyszło ponad 20 książek, promowanych z medialnym rozgłosem.

Zwróciłem się po rozmowie z pismem do prezydenta Kielc Wojciecha Lubawskiego o pomoc w wydaniu konkursowych prac poprzez promujący zakup połowy nakładu wybranych tytułów. Rozważy taką ewentualność Wydział Kultury UM po przeanalizowaniu możliwości finansowych.

Nie czekał na taką decyzję Jan Chruśliński, który zabezpieczył sfinansowanie kosztów wydania swej 440-stronicowej powieści *Miłość i wojna*, zebrawszy w naszym regionie i poza nim zamówienia na zakup nakładu w chwili obecnej do ilości 700 egz., co jest wprost imponujące, z podziwem dla energii i ofiarności.

W okresie kadencji na wniosek Zarządu Oddziału i Prezesa Zarządu Głównego zostali odznaczeni:

- Romuald Bielenda Brązowym Medalem *Gloria Artis*
- Anna Błachucka Srebrnym Krzyżem Zasługi OOP
- Jan Adam Borzęcki Złotym Krzyżem Zasługi OOP
- Benedykt Kozieł Złotym Krzyżem Zasługi OOP
- Elżbieta Musiał Brązowym Medalem *Gloria Artis*
- Stanisław Nyczaj Brązowym Medalem *Gloria Artis*
- Irena Paździerz Srebrnym Krzyżem Zasługi OOP
- Andrzej Piskulak Złotym Krzyżem Zasługi OOP
- Uta Przyboś Srebrnym Krzyżem Zasługi OOP
- Władysława Szproch Złotym Krzyżem Zasługi OOP
- Tadeusz Wiącek Brązowym Medalem *Gloria Artis*

- Iwona Zielińska-Zamora Brązowym Krzyżem Zasługi OOP

Wystąpiliśmy o dwa kolejne odznaczenia, czekamy na rezultaty.

Włodzimierz Kłaczyński otrzymał honorową Nagrodę im. Witolda Hulewicza w 2013.

Okolicznościowe nagrody Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego otrzymali:

- w 2011 Paweł Rejdak,
- w 2012 Zbigniew Leoniak,
- w 2013 niżej podpisany
- w 2014 Andrzej Piskulak

A oto nagrodzeni Świętokrzyską Nagrodą Kultury przyznawaną przez Marszałka Województwa Świętokrzyskiego:

- 2011 Ryszard Miernik, Paweł Rejdak
- 2012 Romuald Bielenda, Zbigniew Leoniak, Bożena Piasta
- 2013 Grzegorz Kozera; w tym roku wyróżnieni zostali też Antoni Dąbrowski i Agnieszka Zięba-Dąbrowska
- 2014 Krystyna Cel, Bogusław Pasternak
- Nagrody Prezydenta Miasta Kielce otrzymali:
  - 2011 Irena Paździerz, Andrzej Piskulak
  - 2012 Paweł Rejdak, Irena Żukowska-Rumin
  - 2013 Krystyna Cel, Władysława Szproch
  - 2014 Zdzisław Antolski, Romuald Bielenda, Anna Błachucka, Grzegorz Kozera

Starosta Powiatu Kieleckiego przyznał nagrody:

- w 2012 Andrzejowi Piskulakowi
- 2014 niżej podpisanemu

Wielka to satysfakcja, że twórczość koleżanek i kolegów *in gremio* spotykała się z dużym czytelnickým zainteresowaniem. Znalazło to wyraz w nakładach powieściowych wydań Jana Borzęckiego (także nowelisty, eseisty, publicysty, poety), Jana Chruślińskiego (też autora książek historyczno-wspomnieniowych), Dariusza Kaźmierczaka, Beaty Kępińskiej (również poetki), Włodzimierza Kłaczyńskiego (także dramaturga), Grzegorza Kozery (też poety, nowelisty, dramaturga, publicysty), Teresy Opoki (również nowelistki, dramatopisarki, poetki), Pawła Rejdaka (preferującego prozę z gatunku fantasy), Tadeusza Zubińskiego (nadto nowelisty, eseisty,

tłumacza). Odnowiła poemat Elżbieta Musiał (ównież eseistka, malarka i graficzka), wyróżniana za to przez recenzentów. Wzbudzają zainteresowanie inspirowane malarstwem sonety Anny Blachuckiej (także autorki opowiadań, fraszek, limeryków). Poeci wyszli z ciekawymi programami prezentacji swojej liryki z piosenkami bądź malarstwem, jak Liliana Abraham Zubińska (także prozautorka, eseistka, malarka), Romuald Bielenda (najszerszej współdziałający ze szkołami), Benedykt Kozieł (animator staszowskich plenerów oraz staszowsko-połanieckich imprez w ramach dorocznych Świątowych Dni Poezji UNESCO i Festiwalu Poezji Słowiańskiej), Dorota Kwoka (popularyzująca wiersze recytowanych przez siebie i Stacha Ożoga naszych poetów na płytach wydawanych własnym staraniem), Monika Mazur (również malarka i graficzka), Uta Przyboś (znana też z indywidualnych wystaw malarstwa), Władysława Szproch (pisząca też humoreski świętokrzyską gwarą, nadto malarka, rzeźbiarka, organizatorka plenerów plastycznych), Zofia Walas (do 2013 przewodnicząca ostrowieckiego Klubu Literackiego „Aspekt”), Ewa Maria Wojtasik (występująca z niżej podpisanym i wokalistką Małgorzatą Siemieniec w programie „O miłości pół żartem, pół serio”), Iwona Zielińska-Zamora (także nowelistka, malarka, red. nacz. kwartalnika „Sekrety Żaru”), Irena Żukowska-Rumin (również eseistka). Znajdują powodzenie u słuchaczy fraszki, limeryki i aforyzmy Jana Lechickiego (także liryka), fraszki i haiku Wawrzyńca Marka Raka (aktywnie działającego w kręgu węgierskiej Polonii), wzbudza żywe zainteresowanie proza powieściowa, nowelistyczna, także nierzadko adresowana do młodzieży Pelagii Borowskiej, Elżbiety Kwasowskiej-Jachimowskiej (tłumaczki wielu naszych utworów na j. angielski), Ireny Paździerz (często spotykającej się z młodymi czytelnikami), Marii Włodno (również poetki), proza i poezja Zbigniewa Leoniaka, Henryka Morawskiego (również eseisty), Andrzeja Piskulaka (także poety, aktywnego publicysty), Małgorzaty Spychaj (również poetki), proza fabularna Henryka Kawiorskiego, Tadeusza Wiącka (także eseisty i publicysty), nowelistyka Leopolda Wojnakowskiego, proza i słuchowiska radiowe Bohdana Gumowskiego (wielce zasłużonego w popularyzacji naszej twórczości na antenie Radia Kielce i wspaniałą recytacją podczas wielu publicznych prezenta-

cji), proza i dramaturgia Barbary Sierakowskiej (będącej też poetką), wiersze i przekłady z j. włoskiego Elżbiety Chuchmały, poezja i nowelistyka Zdzisława Antolskiego (także eseisty, publicysty), Iwony Zielińskiej-Zamory (red. nacz. kwartalnika „Sekrety Żaru”), liryka Krystyny Cel (również eseistki poświęcającej głównie uwagę twórczości świętokrzyskich pisarzy), Jarosława Edwarda Gryza, Jolanty Kutuły (popularyzowanej też w j. brajla), Bogusława Pasternaka (współtwórcy literackiego „Ponidzia” i Oddziału ZLP), Ireny Stopierzyńskiej (także eseistki i publicystki, red. „Sekretów Żaru”), Kazimierza Szczykutowicz (również autorki tomików wierszy dla dzieci), Ryszarda Zamojskiego (też malarza, grafika). Czytana jest chętnie, zalecana w szkołach (co bardzo cieszy) eseistyka naszych pisarzy, także zawarta w kolejnych numerach naszego kwartalnika.

Głównymi stałymi imprezami literacko-artystycznymi w minionej kadencji były:

- coroczna Świętokrzyska Wiosna Literacka z cyklem spotkań w centrach, domach i klubach kultury, bibliotekach miejskich i gminnych, szkołach, Centrum Edukacyjnym „Szklany Dom” w Ciekotach, Muzeum Hutnictwa w Maleńcu,
- coroczny udział w kwietniowych spotkaniach Światowego Dnia Poezji pod patronatem UNESCO w Warszawie, ze współorganizacją spotkań w Kielcach i Staszowie lub Połańcu,
- coroczny plener literacki w Zakopanem z czterema posiadaciami literackimi „U Szymborskiej”,
- coroczny udział w plenerowych spotkaniach kołobrzeskich,
- coroczny udział w plenerowych spotkaniach kazimierskich,
- coroczny udział w czerwcowych wydarzeniach Święta Kielc,
- coroczne, szczególnie cenione w środowisku literackim, Staszowskie Lato Literackie,
- udział w plenerach w Dźwirzynie, Międzywodziu, Ustroniu Morskim,
- coroczna organizacja Gali Świętokrzyskich Poetów na inaugurację Warszawskiej Jesieni Poezji,
- coroczny udział w Festiwalu Poezji Słowiańskiej ze spotkaniami w Warszawie, Kielcach, Suchedniowie, Staszowie,
- w 2014 Świętokrzyska Jesień Literacka,
- coroczne zaduszki literackie,

– weekendy literacko-artystyczne z konkursami młodzieżowymi w gminach Zagnańsk (2013, 2014), Sitkówka-Nowiny (2013), Morawica (2014),

– coroczna wigilia literacka w grudniu, w 2015 noworoczne spotkanie literackie,

– częste promocje książek, giełdy książki literackiej, promocje twórczości zespołowe w Kieleckim Centrum Kultury oraz indywidualnej w ramach jubileuszy urodzin, pracy twórczej, benefisów np. w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej im. W. Gombrowicza, Klubie Kultury „Miniatura”, DŚT – Pałacu T. Zielińskiego, współorganizacja wieczorów promocyjnych w ramach WDK-owskiego cyklu „Z Muzami przy kominku”, w 2014 w ramach obchodów 30-lecia Oddziału,

– współorganizacja cyklu głośnego czytania dramatów w Pedagogicznej Bibliotece Wojewódzkiej.

W imieniu ustępującego Zarządu serdecznie wszystkim Koleżankom i Kolegom dziękuję za współpracę w ciągu całej kadencji. Jestem też wyrazicielem uznania od nas *in gremio* dla kol. **Benedykta Koziela** za ofiarną pomoc w pozyskiwaniu sponsorów – w czasach dla kultury coraz mniej łaskawych – na coroczne plenerowe Staszowskie Lato Literackie i wspaniałe staszowsko-połanieckie odstony Światowego Dnia Poezji UNESCO i Festiwalu Poezji Słowiańskiej.

*W imieniu Zarządu  
Stanisław Nyczaj*

## Nowe władze ZLP

W rezultacie wyborów na XXXI Krajowym Zjeździe ZLP 16 maja br. prezesem Związku na nową 4-letnią kadencję został wybrany – sprawujący tę funkcję z dużym uznaniem większości członków z 19. oddziałów i tym samym ich delegatów dotychczas – **Marek Wawrzekiewicz**. Otrzymał 89 głosów w stosunku do 30 oddanych na swojego konkurenta.

Na pierwszym posiedzeniu nowo wybranego Zarządu Głównego 17 maja – którego członkami są **Elżbieta Musiał** i **Stanisław Nyczaj** – wybrane zostało Prezydium ZG, które powołało dwie komisje: modernizacji i socjalną.

Prezydium będzie działało w następującym składzie:

- prezes – **Marek Wawrzekiewicz**,
- wiceprezesa – **Ares Chadzinikolau**, **Zbigniew Milewski**, **Ryszard Ulicki**, **Andrzej Żor**

- sekretarz generalny – **Stefan Jurkowski**
- skarbnik – **Andrzej Gnarowski**
- przewodniczący Komisji Kwalifikacyjnej – **Kazimierz Burnat**
- członkowie – **Aldona Borowicz**, **Grzegorz Wiśniewski**

Z upoważnienia Prezydium ZG Komisją Modernizacyjną będzie kierowała **Joanna Krupińska-Trzebiatowska** (prezes Krakowskiego Oddziału), a Komisją Socjalną – **Ewa Zelenay** (skarbniczka Oddziału Warszawskiego). Obydwie koleżanki zwrócą się z prośbą do oddziałów o wydelegowanie swoich przedstawicieli dla przekazania interesujących je informacji.

*Redakcja*



## O Stanisławie Barańczaku – koledze ze studiów

(Z wiceprezydentem Kielc Andrzejem Sygutem rozmawia Bohdan Gumowski)

**Bohdan Gumowski** – Przed trzema miesiącami zmarł Stanisław Barańczak – Poeta, tłumacz, krytyk literacki. Zapewne nie wszyscy Państwo wiedzą, że wiceprezydent Kielc Andrzej Sygut studiował ze Stanisławem Barańczakiem na Uniwersytecie Poznańskim. Nie tylko studiował, był z nim w jednej grupie na tyle blisko, że mógłby nam opowiedzieć coś więcej o spotkaniach, czy już z poetą, czy jeszcze nie?

**Andrzej Sygut** – Rzadko się tak zdarza, ale Staszek miał wśród kolegów opinię geniusza już na studiach. To jest ewenement. Rówieśnicy uznawali go za wyjątkowo utalentowanego człowieka i tak rzeczywiście było. On już był poetą. W okresie studiów pisał wiersze. Byliśmy w grupie w bliskich relacjach, bo w 20-osobowej grupie seminaryjnej na polonistycie było tylko czterech mężczyzn: Staszek Barańczak, Janusz Grot (krakowski dziennikarz), Lech Raczak (szef Teatru Ósmego Dnia) i ja. Razem przygotowywaliśmy się do egzaminów. To przygotowywanie odbywało się u Staszka na ul. Kościuszki w trzypokojowym mieszkaniu, w gabinecie dentystycznym prowadzonym przez matkę Staszka, która jednocześnie była profesorem na Akademii Medycznej w Poznaniu. Tata pracował jako lekarz – profesor na Akademii Medycznej w Bydgoszczy. Staszek miał siostrę, Małgorzatę Musierowicz. Byliśmy dla niej szczeniakami. Od czasu do czasu pojawiała się tam ze swoim chłopakiem i rzucała jakąś uwagę na temat naszych prac. Studiowała na Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu i potem okazało się, że jest świetną pisarką, i chyba ma większy rozgłos w sensie popularności niż Stanisław. W tamtych czasach pisarzem, literatem, był jednak Staszek.

**B.G.** – Jak się zapisał w Twojej pamięci?

**A.S.** – Wszyscy uznawaliśmy go za wybitnie utalentowanego. Zdawał wszystkie egzaminy na najwyższą ocenę i zyskał uznanie wśród pracowników uczelni. Na V roku otrzymał etat asystenta-stażysty. Miał duże poczucie humoru. Był ogromnym wielbicielem Beatlesów i rodzice załatwiali dla niego wszystkie płyty zespołu. Słuchaliśmy ich, bo trafiły do domu stosunkowo szybko po premierze. Do IV

roku studiów nie angażował się politycznie. Jako jedyny z naszej czwórki należał do PZPR. Lech i ja byliśmy zdeklarowanymi katolikami, Janusz chyba agnostykiem, a Staszek – ateuszem. Prowadziliśmy ze sobą o tym rozmowy i byliśmy dumni z tego, że stanowimy taką zróżnicowaną grupę ludzi. Staszek miał ogromne ambicje i wszyscy mu to wypominali. Ja mu też to wypomnę, choć sam brałem w tym udział. Mianowicie Stachu na III roku napisał wyjątkowo napastliwy artykuł nt. Kazimierzy Iłakowiczówny. Rozpętała się straszna wojna w obronie pani Kazimierzy, która mieszkała wtedy w Poznaniu i którą Staszek zaatakował. Robiliśmy wyjątkowo głupie rzeczy, np. w tramwaju naśmiewaliśmy się z Bogusława Koguta, Jerzego Pertka. To byli pisarze starsi od nas o jedną lub dwie generacje, a my ich znaliśmy. Jeśli w tramwaju, w grupie, spotkaliśmy ich, to różne złośliwości rzucaliśmy w powietrze. Ale ten artykuł wywołał ogromny rezonans w świecie literackim, m.in. sam Jerzy Putrament napisał artykuł pt. *Herostrates z Poznania*, w którym zarzucił Staszekowi to, co zrobił Herostrates. Że Staszek chciał być sławny za wszelką cenę i dlatego zaatakował Kazimierę Iłakowiczówną (nie wiedzieliśmy, że Iłakowiczówna była sekretarką Piłsudskiego, dopiero Putrament, stary komunistyczny pisarz, nam o tym przypomniał i zaczęliśmy trochę myśleć). I napisał, dlaczego tak uważał. Staszek bardzo się zmienił w marcu 1968 roku. Było otwarte zebranie partyjne na polonistycie (młodzi ludzie może o tym nie wiedzą, ale wtedy, jak się zaczął ten marzec, dochodziło do starć także na takich zebraniach partyjnych). Ja akurat nie byłem członkiem partii, podobnie jak cała trójka, ale Staszek zrobił tam rzecz zupełnie niesamowitą. Wygłosił przemówienie, które było majstersztykiem literackim. Ośmieszył cały antysemityzm wygłaszając pseudonaukowy referat pt. „Jak poznać Żyda”. Podobno wszyscy towarzysze zwiłali się ze śmiechu, poza kilkoma, których chciał „zacześcić”, gdy wdał się w opis powołując na fikcyjne badania biologiczne kształtu i długości nosa oraz jego poszczególnych fragmentów, jakie niewątpliwie dowodzą, czy ktoś jest, czy nie jest Żydem. Po tym wystąpieniu podpadł władzy, chyba wtedy rozstał się z partią-matką. Już nie pamiętam, czy oni go wyrzucili, czy on sam rzucił legitymację. Staszek z okresu, gdy był

outsiderem w sensie politycznym (nie rozmawialiśmy, dlaczego się zapisał do partii, chyba dlatego że był ateistą), w następnych latach zdecydowanie zaangażował się w KOR i w działalność opozycyjną. W latach 70. była wielka bitwa o Barańczaka, bo dostał on propozycję prowadzenia wykładów z literatury od Harvard University w Cambridge na slawistycę, a władze nie chciały go wypuścić. To była potężna batalia i jeden z marksistowskich uczonych ze środowiska krakowskiego tak mi mówił: „Niech mi Pan powie, skąd Amerykanie wiedzą, że gdzieś tam w Polsce jest, przepraszam za słowo, gówniarz, który świeżo zrobił doktorat i jest na takim poziomie naukowym i intelektualnym, że oni go muszą mieć i tak o niego się biją”. Ten uczoney wykluczał, że Amerykanie chcą go ze względów politycznych. Oni go chcieli, bo on był świetny. Amerykanie wygrali tę batalię i w końcu Staszek wyjechał. Jako pierwszy z nas ożenił się na IV roku z Anią z V roku studiów, czym byliśmy kompletnie zaskoczeni, bo był stonowany w każdym calu i nagle nieoczekiwanie mówi: żenię się.

**B.G.** – Czyli Staszek był w jakimś sensie nieprzewidywalny. A jaki był na co dzień?

**A.S.** – Był bardzo miłym, sympatycznym, normalnym kolegą. Z tym, że miał pewne problemy z mówieniem. Staszek cały czas miał kłopot z wyraźną artykulacją głosek i już w okresie studiów jego mowa była nie do końca zrozumiała. Gdy spotkaliśmy się na 30-leciu magisterium, Staszek nie przyjechał do Poznania, ale my zadzwoniliśmy do niego w nocy. Staszek cały czas siedział w USA, bo miał nadzieję, że Amerykanie znajdą coś na parkinsona i powstrzymają go. Prawdopodobnie on dłużej żył, bo był w USA, gdzie medycyna jest na wyższym poziomie. To był człowiek naszego roku, naszej grupy, naszego Teatru Ósmego Dnia. Stanowiliśmy bardzo zwartą grupę i byliśmy bardzo zarozumiali, bo uważaliśmy, że studiowaliśmy na najlepszym uniwersytecie w Europie. Na jednym roku w jednej grupie było co najmniej dwóch ludzi, którzy przeszli do historii. Myślę o Lechu Raczaku – dyrektorze Teatru Ósmego Dnia i Staszku Barańczaku. Staszek był, według mnie, przede wszystkim świetnym tłumaczem oraz świetnym krytykiem i historykiem literatury. Natomiast jego twórczość poetycką lokowałbym na drugim miejscu. I myślę, że Staszek przejdzie do historii naszej literatury przede wszystkim jako tłumacz i krytyk literacki. Czasami miał zabawne zainteresowania, np. językowe. Poprosił nas o zbieranie napisów,

jakie Polacy umieszczali w publicznych szaletach [śmiej]. On to zbierał i nawet napisał na ten temat jakąś pracę. W każdym razie, ponieważ mieszkam daleko od Poznania, na dworcach miałem obowiązek wejść do szaletu i zanotować napisy. To taki drobiazg. To były zainteresowania nie tylko *stricte* literackie, ale i językoznawcze. Staszek ogromnie przeżył Wojnę sześciodniową na Bliskim Wschodzie w 1967 roku. Miał w domu mapę Bliskiego Wschodu, słuchał Wolnej Europy i BBC, interesował się rozmieszczeniem wojsk izraelskich i arabskich. Ta wojna w ogóle niesamowicie nas pasjonowała.

**B.G.** – To był też czas interwencji w Czechosłowacji.

**A.S.** – Staszek nie chodził do wojska na ćwiczenia, bo miał bardzo grube okulary. Pamiętam, że był na jednych lub dwu ćwiczeniach i bardzo to przeżył (owe relacje międzyludzkie w wojsku i przemoc podoficera). Potem chodził z dziewczynami na ćwiczenia zastępcze (głównie sanitarne). Mówię o tym, bo Staszek nie brał udziału w obozie wojskowym, w którym ja z całą resztą uczestniczyłem. Byliśmy w jednostce, która poszła do Czechosłowacji i o mało nas tam nie zabrali. Staszek to bardzo przeżywał i zbliżył się do środowiska KOR, do Adama Michnika, i cały czas tam działał. Potem bardzo się zbliżył do kościoła, bo redagował wydawnictwa katolickie. Nie wiem, jak to było, czy że oni jako jedyni chcieli go wydrukować, czy też było to związane z jakąś zmianą światopoglądową. Nie potrafię powiedzieć.

**B.G.** – Dziękuję za rozmowę.





## Z fascynujących spotkań młodzieńczych (Wspomnienie o Stanisławie Barańczaku)

Ze Stanisławem Barańczakiem (1946–2014) spotkałem się dwukrotnie w Warszawie na ogólnopolskich imprezach literackich, organizowanych – trzeba przyznać: z nie lada rozmachem – przez niezmordowanego Jerzego Leszina-Koperskiego, redaktora periodyku „Orientacja”.

Pierwsze spotkanie w 1970 r. rozgłosiło w środowisku literackim jako rewelacyjny jego zbiór *Jednym tchem* (po książkowym debiucie *Korekta twarzy* z 1968 r.) w postaci poetyckiego suplementu do „Orientacji”; formuła suplementu przyspieszała, unikało się przydługiej i kłopotliwej w tamtym czasie procedury związanej z wydaniem książki. Niebawem usankcjonowana została czołowa pozycja poety przez tom *Dziennik poranny*, zawierający wiersze z lat 1967–1971.

Drugie spotkanie w studenckiej „Stodole” było popisem Stanisława Barańczaka jako krytyka literackiego. Przeczytał pod dyskusję rozdział z przygotowanego do wydania zbioru esejów *Nieufni i zadufani* (opublikowanego w 1971). I to właśnie ono utkwilo mi w pamięci szczególnie, gdyż śmiało naówczas postulowane kryterium nieufności w zastanę rzeczywistość i społeczną harmonię, rozbijając język gazetowych komunikatów i stereotypów, demaskowało fałsz, zakłamanie i ujawniało skutki moralnej destrukcji. Zmusiło ono nas – uczestników dyskusji (brałem w niej aktywny udział) do głębokiego przemyślenia społecznego sensu i artystycznej wartości własnych postaw poetyckich, bardzo zróżnicowanych wśród członków Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy, do którego należałem. Postaw w sumie bliższych hasłom „małego realizmu” niż rewizjom „Nowej Fali”, zapowiadanych, prócz Barańczaka, przez Juliana Kornhausera, Adama Zagajewskiego i najbardziej wtedy przemawiającego do mnie poetycką ekspresją Ryszarda Krynickiego.

Ryszard Krynicki imponował żywiołową spon-tanicznością, zmysłową metaforyką, zaś Barańczak – finezją lingwistycznego rozrachunku ze sztafażem wartości-pojęć. Razem doskonale się uzupełniali.

Gdy dziś wspominam tamten gorący w kręgu młodej literatury (roczników 1940–1948) przełom lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, uświadamiam sobie, jak zasadniczo zwrotny, jak doprawdy probierczy był to czas dla poezji i towarzyszącej jej wtedy blisko krytyki literackiej. Może nie dość od razu został spożytkowany, czemu trudno się dziwić.

Wielu zawahało się, poddawszy tylko częściowo surowej terapii wątpienia. A przecież koncepcja Stanisława Barańczaka autentycznie fascynowała przenikliwością wejrzenia w ówczesną poezję i nowatorstwem w jej interpretacji. Zaskoczeni nią byli niektórzy koledzy z „Hybryd”, polemizujący na swym terenie bez frontalnego ataku. Spostrzeżenie, że czuły i czujny poeta pod pozorami harmonii, której nie daje się zwieść, dostrzega w świecie zagrożenia i zapowiedzi destrukcji – było dla mnie rewelacją i wyzwaniem. Oto poeta już nie tylko Bogu, a wprost realnemu światu, na jaki usiłuje wywierać wpływ, zadaje podchwytliwe pytania, zgłasza doń zastrzeżenia, zmusza go do tłumaczenia się, każe mu się mieć na baczności.

W konsekwencji wdzięcznym i efektownym środkiem wyrazu stawała się dla poety ironia. Subtelna, lekkim draśnięciem nękająca strunę uwagi, to znów ostra, zdecydowana w odwracaniu perspektywy widzenia, chłoszcząca, kpiąca, zdzierająca maski fałszu, zakłamania. Poeci starszych roczników – za przykładem Wisławy Szymborskiej – odcinali się perfidnej rzeczywistości sarkazmem, drwiną. Rówieśnicy Barańczaka przyjęli postawę analitycznej rozprawy dla naprawy. Ironia była zręcznym sposobem zwodzenia cenzorów, póki się nie potapali i nie zepchnęli poetyckiej czołówki młodych nieustępliwych (choć przecież i starszych kolegów z autorytetem) w pozaoficjalny obieg. Stała się podstawowym narzędziem poetyckiego warsztatu. Wyrafinowanym środkiem przyciągającym inteligentnych czytelników, tropiących znaczeniowe niuanse, dociekających sensów dyskursywnych. W 1973 r. Stanisław Barańczak wydał zbiór szkiców krytycznoliterackich pod wymownym tytułem *Ironia i harmonia*.

Nie związałem się z „Nową Falą”, odstręczała mnie zaprzęzoną do rydwanu poezji stylistyczną publicystyką. Ale chyba w sumie nie mało – jak teraz po latach oceniam – przeniknęło do mojej liryki z tamtych prawdziwie inspirujących spotkań, wzbogacając ją o walor spojrzenia ironicznego i nakierowując mimowiednie potem w stronę aforystyki. Zbawczy posiew nieufności zatem swoiście zaowocował.

Stanisław Nyczaj

Do poruszonych tu spraw nawiązuję w mojej książce *Metafizyka tworzenia* (Kielce 2007, s. 150-152).

## „Nie ma żadnej historii, są tylko osoby, są tylko biografie...”

(Z Olgą Tokarczuk rozmawia Ryszard Koziej)

**Ryszard Koziej** – Kiedyś była seria wydawnicza „Życie codzienne...” w jakiejś tam epoce, w jakichś czasach. Ludzi, oczywiście, bardziej interesuje, np. jak myło się zęby w XVIII wieku czy podobne prozaiczne sprawy. Jak żyło się dawno, dawno temu? Zresztą, dzisiaj w Internecie jest mnóstwo takich stron i mają one dużą oglądalność. Pani książka należy po trosze do takich dotyczących szczegółów codziennego życia w osiemnastowiecznej Polsce.

**Olga Tokarczuk** – I to bardzo ciekawe, że wspominał pan tę serię wydawniczą, bo ona mnie, właściwie, jeszcze jako nastolatkę absolutnie fascynowała. I do tej pory mam odziedziczone po rodzicach tytuły i te, które już sama dokupywałam. To jest ten rodzaj historii, który mnie niezwykle interesuje. Ten rodzaj jej opisywania, jaki przyszedł do nas z Francji, to jest cała szkoła małych narracji. I właściwie już w liceum domagałam się takiego opowiadania historii, co, oczywiście, wtedy było jakoś niemożliwe, bo nie mieliśmy dostępu do takich źródeł. Ale ta mała narracja fascynuje mnie do tego stopnia, iż uważam, że to jest jedyny sposób opowiadania przeszłości wspólnej, pojedynczej, zbiorowej. I kiedy przystępowałam do pisania *Ksiąg Jakubowych*, miałam żółtą karteczkę przy komputerze, na której sobie napisałam jakiś taki *bon mot*, aforyzm, nie pamiętam już czyj, ale zrobiłam go bardzo osobistym. Napisałam sobie: pamiętaj, Tokarczuk, nie ma żadnej historii, są tylko osoby, są tylko biografie. I starałam się być wierna temu aforyzmowi przez cały czas pisania tej książki. Czyli pomijając te wielkie procesy historyczne, występujące w wielkich powieściach epickich, historycznych, że w którymś momencie narrator przyjmuje taką jakby wszytkowiedzącą pozycję i zaczyna opowiadać tak, jakby komentował jakiś wielki proces dziejowy, a on był wszytkowiedzącym bogiem. Starałam się tego uniknąć i skupiałam się na postaciach, zdając sobie sprawę z tego, że wydarzenia nigdy nie są osobne od ludzi, tylko zawsze są ludźmi, ich motywacjami, psychologią napędzane. No i oczywiście dbałam o szczegół, z wielkim rozmysłem, ze starannością wyszukiwałam szczegóły. Zdarzało się, że sięgałam po jakąś książkę i czytałam ją od deski do

deski tylko po to, żeby zostało mi z tej książki np. jakiś obraz Greczynek, które siedzą na balkonie i pada na nie światło, a tutaj pobłyskuje hełm idącej straży tureckiej. Drobne takie rzeczy. Tak, sprawiało mi wielką przyjemność odtwarzanie tych szczegółów. Dzięki temu mogłam sama zobaczyć te obrazy. Zaczęły się one ruszać w mojej głowie i łatwiej mi było z nimi obcować.

**R.K.** – Mówiła Pani o narratorze autorialnym, trzecioosobowym. W *Księgach Jakubowych* mamy kilku narratorów.

**O.T.** – Mamy kilku narratorów. Chyba najciekawszy narrator to jest punkt widzenia Jenty, czyli ten, który nazywam czwartoosobowym, czyli już próbowałam z taką postacią w *Domu dziennym, domu nocnym*. Tam była to postać Marty. W jakimś sensie wydaje mi się, że to jest mój wynalazek. Właśnie takie stworzenie jakby ducha całej opowieści, który kontroluje wszystko z góry i w związku z tym trochę mnie, autorkę, zwalnia z różnych rzeczy, bo przecież ta książka kończy się obrazem Jenty, która widzi autorkę siedzącą przy komputerze. Czyli niejako zamyka, jakby oddala. Ta książka się dystansuje razem ze mną. Ja jestem też częścią tej książki, więc muszę się pogodzić, że taki czwartoosobowy narrator jest bardzo pomocny. Narrator pierwszoosobowy Nachman z Buska, czyli Piotr Jakubowski, który występuje w tej książce. To jest właściwie jedyny tekst pisany w 1. osobie, pominąwszy *Listy* i dzieje się coś takiego, że kiedy się piszę w 1. osobie, kiedy się wchodzi w skórę narratora, występuje jakieś bardzo tajemnicze, ale też głębokie utożsamienie. I nie sposób tutaj do postaci mieć dystans. W którymś momencie zaczyna się trochę żyć z nią, myśleć tak jak ona. Mnie się coś takiego zdarzyło właśnie z Nachmanem. Do tej pory jest to chyba najbliższa mi postać z tej książki, która mnie prowadziła też przez te wszystkie meandry mistyki żydowskiej. Bo on jest takim odklejonym mistykiem, właściwie jedyny, który do końca jest w stanie tę mistyczną wizję frankizmu, sabataizmu utrzymać i traktować ją poważnie. I jest to człowiek w jakimś sensie też do głębi uczciwy, taki przekonujący w tym wszystkim, w co wierzy. Mnie też bardzo wzru-

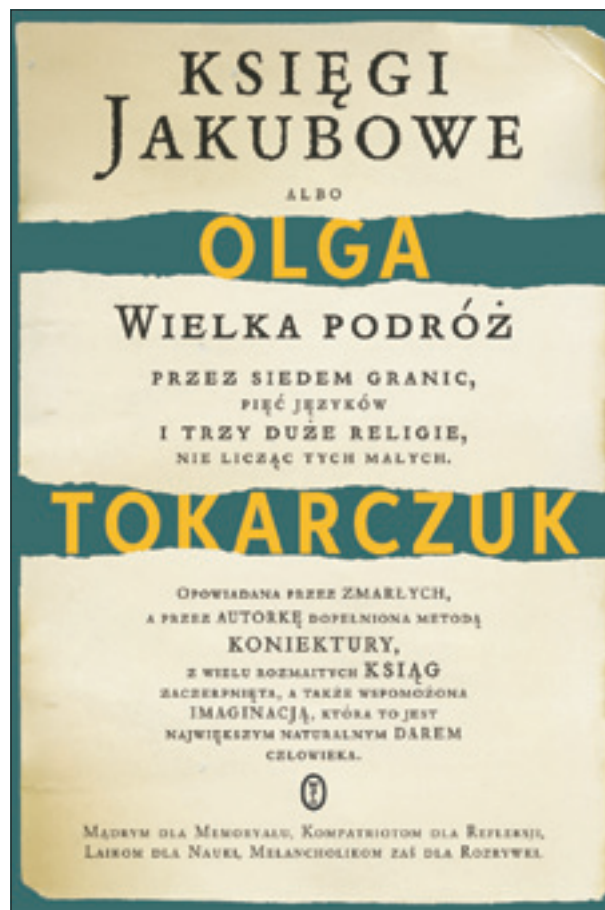
szało to bezgraniczne oddanie Jakubowi Frankowi, rodzaj takiej miłości, który też kusił, żeby ją trochę homoerotycznie potraktować. I mam tam takie drobnutkie wstawki. No i oczywiście w tej książce są listy, czyli takie drobne narracje różnych osób. Pisanie listów i lekka archaizacja języka sprawia mi ogromną przyjemność do tego stopnia, że zostawała w moim własnym języku np. w mailach i strasznie tęskniłam do tego sposobu wyrażania się bardziej pełnego oglądy, takiego może nie tak bezpośredniego jak nasz współczesny, ale jest w tym coś bardzo pociągającego i sprawiającego przyjemność w pisaniu.

**R.K.** – Wspomniała Pani pierwszego narratora, pierwszą postać Jenty. To też jest takie ściśle nawiązanie do tradycji żydowskiej, do Szaolu. Nie wiemy, czy to jest miejsce, gdzie się jeszcze żyje, czy już nie żyje, Żydzi sami nie wiedzą.

**O.T.** – Tak. Stan z pogranicza życia i śmierci, siła zaklęcia, oczywiste nawiązanie do Golema. To jest ten mit. Pierwszy, który kojarzy się z żydowskością, który wszedł do popkultury, bardzo wyraźnie zaznaczył się. Postanowiłam po prostu do niego nawiązać, dać mu inny, taki żeński wymiar. W tej oryginalnej opowieści wiemy, że stwór z gliny ożywa, kiedy wsadzi mu się w usta pergamin ze słowem „prawda”, a gdy zmaże się pierwszą literę – znaczy „śmierć”. I wtedy Golem traci życie. A tutaj historia jest trochę bardziej skomplikowana, choć też jest kartka. Pismo, litery, ich kształt zaczynają się mieszać z organiczną substancją ciała. I w ten sposób słowo, które niesie całą moc, łączy się z materią ciała, z fizjologią, z jego krótkotrwałością i przemijalnością. I paradoksalnie zapewniają dziwny stan trwania w Jencie.

**R.K.** – No i to jest też swoisty klucz interpretacji do całej powieści, bo to znaczenie słowa zapisanego na kartce przewija się przez całą powieść. Począwszy od opisu księdza Benedykta Chmielowskiego i jego rozumienia słowa. To, co zapisane, musi być prawdą. Różni ludzie różne rzeczy zapisują, trzeba to kompilować. Wtedy będziemy mieli kolejną prawdę.

**O.T.** – Tak. I z jednej i z drugiej strony, czyli od strony ks. Chmielowskiego, w końcu katolika i od strony Szorów [Szneur ben Becalel Szor, XVIII-



wieczny drukarz hebrajski, działający w Polsce, [przypp. red.] czy moich żydowskich bohaterów to przywiązanie do słowa, wagi słowa, znaczenia słowa w świecie jest ogromne. Ale też pisząc tę książkę zdawałam sobie sprawę, powoli uświadamiałam sobie, jaki jest ogromny brak symetrii między podejściem chrześcijańskim do języka, do słowa, a tradycyjnie żydowskim. Myślę, że chrześcijańskie podejście do słowa jest dużo bardziej prostoduszne i naiwne. To, co Żydzi zrobili z rozumieniem tekstu i z możliwościami zmiany pracy, interpretacji, deinterpretacji, odinterpretacji. Wszystkich tych możliwych rzeczy, które mieszczą się w zabiegach takich jak: notarikon czy gematria. To są te wszystkie rzeczy, które pozwalają nam spojrzeć na tekst jako coś żywego, wiecznie zmiennego i nigdy nie dane raz na zawsze. To co w mistycyzmie żydowskim, a zwłaszcza w Kabale jawi się jako tekst. Jest czymś zupełnie żywym. To jest coś, co się nieustannie zmienia z przemianami świata. Jednocześnie stanowi też fundament tego świata, a jednocześnie jest podatne na pewne manipulacje ludzkie, na przestawianie znaczeń, akcentów. Na doszukiwanie się znaczeń, które są niewidoczne na pierwszy rzut oka. Przywołuje

w książce na samym początku, w małej szkółce dla dzieci. Są tam wnukowie Szora i inne dzieci z tej dużej rodziny. Jedną z pierwszych rzeczy, jakich się ich tam uczy, są cztery poziomy rozumienia tekstu, cztery poziomy interpretacji, co potem weszło też do tradycji chrześcijańskiej, ale nigdy nie było w niej tak istotne i ważne. Mnie samą to fascynowało. Taki sposób przeglądania się świata w tekście i pisać tę książkę, dowiadując się różnych rzeczy na nowo miałam czas potężnej jakby medytacji nad takimi sprawami, takimi problemami. Myślę, że zaczęłam ją pisać jako inny człowiek i skończyłam ją jako kompletnie inna osoba. Dla mnie ta książka była też nie tylko wielką przygodą, ale też pracą nad sobą, nad większym zrozumieniem, nad poszerzeniem swojej świadomości, ale też zwykłą nauką mnóstwa różnych rzeczy, o których nie miałam przedtem pojęcia.

**R.K.** – No i tacy też są bohaterowie, oczywiście nie wszyscy. Taki jest ks. Benedykt Chmielowski, który po swojemu rozumie tę pracę nad sobą. Jest to bardzo sympatyczne. Ten obraz autora *Nowych Aten* jest taki bardzo ciepły, życzliwy dla tej postaci. Taki jest Natan z Buska, którego całe życie jest, jak Pani powiedziała, poszukiwaniem relacji między słowem a literą (w hebrajskim sama litera jest już słowem), między literą a cyfrą, między słowem a liczbą. Pisanie książki jako medytacja, Pani nie używa słowa „modlitwa”.

**O.T.** – Mam taki stosunek do wszystkich moich książek, na jakikolwiek one by były temat. Myślę raczej o powieściach czy opowiadaniach, czyli literackich formach. Zawsze jest to jakieś obsesyjne oddanie się tematowi przestrzeni, jakimś charakterem, postaciom. I sam akt takiego całkowitego poświęcenia uwagi jest czymś w rodzaju medytacji czy modlitwy. Także za każdym razem pisanie książki jest dla mnie jakimś działaniem, które nie jest zwykłym stanem umysłu, tylko trochę mnie oddziela od takiej potoczności. A w tym przypadku to rzeczywiście było już kompletne zagłębienie się. I ja jeszcze nie wróciłam do końca stamtąd. Ja dopiero przeżyłam okres rekonwalescencji, ale też opowiadając o tej książce np. Panu czy czytelnikom w jakimś stopniu jestem zmuszana, żeby do niej cały czas wracać. A już zaczynam tęsknić, aby się oderwać od tego i pójść dalej.

**R.K.** – Jak się można oderwać od *opus magnum*, *opus vitae* wręcz? Dedykuje Pani książkę rodzicom i tak to trzeba odczytywać: zrobiłam to, co chciałam zrobić. Ja nie mówię, że to jest koniec pisania, bo Pani tego nie mówi. Wręcz odwrotnie. Może to właśnie początek, bo jest wymedytowany pewien początek i kolejna ścieżka twórczości. No ale to rzeczywiście jest dzieło, którego może pozazdrościć Pani każdy człowiek, przecież jeszcze młody, w pełni sił twórczych.

**O.T.** – Nie mam specjalnego poczucia, że jakieś *opus magnum* napisałam i dosyć pragmatycznie do tego podchodzę, jako do dużej zaawansowanej pracy, którą udało mi się dokończyć. I mam też dużo nowych pomysłów i naprawdę wiem, że będzie trudno wydać coś nowego, dlatego że ludzie będą mnie kojarzyli z tymi księgami, będą oczekiwali nie wiadomo czego. Więc dlatego myślałam, żeby się jakoś wymknąć tym oczekiwaniom. Marzę o tym, żeby napisać taką większą bajkę dla dzieci, zupełnie fantastyczną i odklejoną. Marzę o jakichś dziwnych opowiadaniach. Muszę zrobić coś takiego, co by mnie troszkę jakby oddzieliło od tych tematów i żeby pozwoliło mi dalej żyć jako pisarce.

**R.K.** – No, ale kryminał też Pani napisała i to jest książka, którą człowiek czyta z wielką radością. Bo ja sam śmiałem się na głos przy postaci dentysty, który wrywa na polanie miejscowym zębem. I ten język z bluźnierstwami wprowadzony w odpowiednim momencie, odpowiednie słowo znajduje się w odpowiednim miejscu. Także różne gatunki literackie nie są Pani obce.

**O.T.** – Tak. I chyba są dwa rodzaje twórców. Jedni jakby w nieskończoność cyzelują, cały czas obrabiają ten sam temat, tę samą formę. I oni doskonałą się w tym, znajdują nowe aspekty tego, co robią. I są rozpoznawalni na pierwszy rzut oka. Wiemy, że jak się pojawi np. książka Sebalda, mniej więcej wiadomo, co to będzie. A ja należę do tego drugiego rodzaju twórców, których królem jest chyba Stanley Kubrick, który absolutnie fascynuje mnie jako twórca. Nie wiem, jak to możliwe, ale jak oglądam jego filmy, czuję się do niego podobna gdzieś tam wewnątrz. I to jest twórca, który za każdym razem penetruje inną formę. Gdybym chciała powiedzieć, oczywiście z całą świadomością proporcji, toby był

mój mistrz jeśli chodzi o opowiadanie historii. On jest absolutnie wolny w wyborze gatunku, w wyborze sposobu zrobienia, a jednocześnie czuje się jego rękę w tym wszystkim. Więc to jest człowiek, który może zrobić historyczny fresk, taki jak *Barry Lyndon*, może zrobić science fiction, jak *2001. Odyseja kosmiczna* i jednocześnie klasyczny horror, jak *Lśnienie*. Czyli we wszystkich gatunkach robi to doskonale. Oczywiście ma też lepsze i gorsze filmy, ale mój umysł tak pracuje. Ja się szybko nudzę. Ja bym nie mogła np. kontynuować wątków, pisać sequeli, wracać cały czas do tego samego. Więc w jakimś sensie czekam też na moment, bo już się zaczął ten proces porzucania *Ksiąg Jakubowych* i ja chcę od tego odejść i zająć się czymś innym, jakby spenetrować inną niszę rzeczywistości. Tam będzie ciekawie.

**R.K.** – Co ciekawe, Pani sygnalizuje pewne rzeczy w zbiorze esejów *Moment niedźwiedzia* sprzed kilku lat. Ja później czytając *Księgi Jakubowe* pewne Pani przemyślenia odnajdywałem w tej książce m.in. sztuczny, ale przecież obowiązujący we wszystkich kręgach kulturowych na świecie dualny podział świata: jin-jang, czarne-białe, dobre-złe. W *Księgach Jakubowych* widzę np. taką dążność do odrzucenia podziału: coś jest nierealne, nierzeczywiste – Jenta jest tego klasycznym przykładem. A coś jest bardzo racjonalne.

**O.T.** – Powiem Panu taką drobną rzecz. Napisał do mnie znajomy, właśnie czyta moją książkę. Pisze do mnie: „Olga zobacz, co mi się przydarzyło...”. Zrobił mi zdjęcie pisma, które dostał z sądu, w którym zgłosił się do niego adwokat o nazwisku Piotr Nachman (śmiech). Takie drobne zbiegi okoliczności, dziwne dopasowania. Ta książka by nie powstała, gdyby nie takie dziwne sprawy, bo ja już o tym pisałam, że kiedy jestem w trakcie (w procesie) pisania, lekko się zmienia świadomość. Nie wiem, czy się ona poszerza, czy zmniejsza. W każdym razie bardzo często doświadczam takich rzeczy, że jestem zawieszona, potrzebuje jakiejś informacji, trochę nie wiem, w którym kierunku pójść. I nagle dziwnym zbiegiem okoliczności znajduję akurat tę rzecz, która jest mi absolutnie potrzebna np. jadę gdzieś w pociągu i zaczynam rozmawiać z osobą, która nagle okazuje się specem od tego, czego właśnie szukałam. I ona mi mówi,

potem się żegnamy i ja to dostaję. Albo szukam właśnie czegoś niezwykle ważnego, jestem na przyjęciu, stoję sobie przy regale. I tak bawiąc się sięgam po książkę, otwieram ją. I nagle tam jest dokładnie to, czego potrzebowałam. To jest niesamowite, czasami jest to śmieszne i już się do tego przyzwyczaiłam. Ale na początku to może być takie poczucie troszkę paranoiczne. Co jest grane, czy ktoś mnie obserwuje, o co tu chodzi? A teraz wiem, że to jest splot, który być może dałoby się wyjaśnić jakoś psychologicznie, ale na pewno może myśleć kategoriami, terminami psychologii głębi. Ale jakby ktoś miał skłonność do metafizyki, też to się da nazwać i wytłumaczyć.

**R.K.** – Dlatego mówię o tym sztucznym podziale i Pani to pięknie wytłumaczyła. Rzeczy, które są niewytłumaczalne, ale są.

**O.T.** – To jest jakby z podstawowego instrumentarium powieściopisarki, powieściopisarza, tak jak ja to rozumiem. Czyli nieco inny stosunek do rzeczywistości, lekko przesunięty. W ogóle ktoś, kto pisze powieści, powinien być lekko ekscentryczny, lekko przesunięty. I jeżeli ma się zbyt duże zaufanie do rzeczywistości czy jest się jakby pociągany przez tę rzeczywistość daną nam materialną, racjonalną, to lepiej swój talent ostrzyć w reportażach albo w mediach i być świetnym dziennikarzem. Ale pisarz zawsze musi wykraczać poza taką oczywistość, dlatego że tam po prostu mieszkają sensory. I wtedy można w ogóle iść za nimi. Sensy nie mieszkają w danych statystycznych i w opisach dziennikarskich, w jakiejś sytuacji. Żeby zobaczyć sens, trzeba się nieco wycofać z tej ogólnie uklepanej przestrzeni i spojrzeć trochę z innej strony. Tak się wydaje, ja też w sobie to pielęgnuję. Tak myślę i bardzo często jest to powód do długich nocnych dyskusji z moimi bardziej racjonalnymi przyjaciółmi np. naukowcami czy socjologami.

**R.K.** – Tak, tylko że to są pisarze, naukowcy. Natomiast na co dzień jednak jesteśmy pod presją. Zwykli ludzie są pod presją tego racjonalnego myślenia i takich rzeczy nierzeczywistych wręcz boimy się. W Pani książce jest pokazane, że jedno musi istnieć obok drugiego. Że nie ma albo, albo. To wszystko jest przypisane do naszej ludzkiej natury, czy w ogóle natury kosmosu.

**O.T.** – Tak. I to uważny czytelnik, kiedy prześledzi to wszystko, co napisałam, zobaczy, że to jest przewodni motyw od początku mojego pisania, który chyba taką kulminację uzyskał w *Domu dziennym, domu nocnym*. Sam tytuł pokazuje, czym się będziemy zajmować. Czyli będziemy się zajmować przestrzenią pomiędzy tymi przeciwnościami. I rzeczywiście to jest temat, czy grupa problemów, tematów (właściwie perspektywa), które mnie niezwykle pociągają, z których czerpię nieustającą inspirację do pisania. To się też wiąże z tym, co mówiłam na początku, czyli przesunięciem nieco perspektywy, opuszczeniem tego dualistycznego poglądu, który mamy na co dzień i który pomaga nam żyć. Bo żeby wydobywać węgiel z kopalni, budować komputery, musimy w taki sposób myśleć. Ale żeby wychodzić poza tę daną materialną rzeczywistość i szukać sensu to – mi się też wydaje, jakby główną być może ukrytą, ale główną motywacją do pisania – to trzeba jakby unieważnić ten prosty podział. W *Domu dziennym, domu nocnym* bawiłam się tymi pomysłami. Tam wszystko się dzieje na pograniczu. Tam właśnie jest takie bardzo konkretne pogranicze polsko-czeskie, ale też pogranicze dnia i nocy, pogranicze teraz-przeszłość, między kobietą a mężczyzną, między człowiekiem a zwierzęciem. Wszystko tam jest poplątane i okazuje się, że ta sfera pomiędzy dualnościami jest ogromna i niezwykle soczysta. To jest jakby taka soczysta grzybnia, z której wszystko wyrasta. I dopiero my dziś na koniec zagarniamy to, robimy taki przedziałek, jakby grzebieniem rozczesujemy na dwie sprawy i porządkujemy to w taki sposób, który nam pozwala pragmatycznie i racjonalnie żyć. Ale oczywiście do tego nie da się sprowadzić całości świata i ludzkiego doświadczenia.

**R.K.** – Mimo tej niesamowitej grzybni, jak Pani mówi. Mimo niezmiernego wręcz obszaru poza jednym konkretem, a poza drugim. Poza przeciwstawnymi konkretnymi. W Pani powieści mamy bardzo dokładny, linearny przebieg fabuły. Jest tam kilka reminiscencji, ale bardzo mało. Nawet postacie, które pojawiają się w pewnym momencie nagle znikają, by pojawić się, gdy przyjdzie ich czas. To też jest bardzo silnie związane z naszym życiem. Bo ile byśmy nie wspominali, albo ile byśmy sobie nie wyobrażali

naszej przyszłości, to i tak nie ma najmniejszego sensu, bo jest tu i teraz.

**O.T.** – To prawda. Myślę, że to musiałabym wytłumaczyć trochę bardziej technicznie. Stając przed problemem ujęcia tych wszystkich wątków, postaci, czasów, miejsc, które się w tej książce dzieją i pojawiają, musiałam założyć sobie jakiś reżim i tym podstawowym reżimem była linearność opowieści, która nie jest czymś oczywistym dla mojego pisania. Ja raczej zawsze kwestionowałam linearne opowiadanie. Ja wolałam sylwę, impresję, przywoływanie, mieszanie itd. Powieść *Bieguni*, którą uważam za swoje *opus magnum*, to jest powieść konstelacyjna, jak to nazwałam. Czyli w jakimś sensie wymyśliłam, ułożyłam nowy sposób opowiadania, który w dużej mierze odwołuje się do czytelnika, ale wiąże sytuacje innymi sensami, niż następstwo przyczynowo-skutkowe. Niż to, co zwykle występuje w literaturze. A tutaj nieco jakby przytłoczona i pokonana obfitością tych faktów, które mam opisać i też przytłoczona odpowiedzialnością wobec faktów. Wiele z tych faktów są faktami historycznymi i nie mogę z nimi walczyć. Musiałam pochylić głowę z pokorą i sięgnąć po ten stary, wyświechtany sposób linearnego czasu, który się toczy i który jakby nanizuje zdarzenia na swoją nić. I pokazuje też, jak one występują jedno po drugim. Jaki mają sens w czasie. Wiem, że nie wszystkim to się podobało. Ludzie dzisiaj są troszkę rozbrykani jako czytelnicy. Oczekiwaliby jakichś bardziej ciekawych sposobów prezentowania treści. Ale nie w tym przypadku. Mamy tutaj kilkanaście postaci. Kilka z nich jest takich pełnokrwistych. Mamy może kilkadziesiąt miejsc, które się pojawiają. Mamy 50 lat dziania się tej historii. Te postacie zmieniają nazwiska czasami raz, czasami dwa razy. Następują zmiany wyznania, religii. Ci ludzie podróżują nieustannie. Nie da się tego inaczej ująć. Musi być jakiś rodzaj takiego klasycznego reżimu, żeby to po prostu wszystko razem utrzymać i żeby czytelnik też się w tym nie pogubił. Bo jednak w przypadku powieści historycznej w jakimś sensie mam wrażenie, że tak bardzo nam są potrzebne opowieści o naszej historii, że nie ma sensu robić tam jakichś modernistycznych eksperymentów à la np. Parnicki. Że tak bardzo wszyscy dzisiaj współcześnie jesteśmy głodni tych opowieści, że byłabym nawet za tym, żeby je opowiadać

w najbardziej prosty i przystępny sposób. Ponieważ tak bardzo są nam potrzebne.

**R.K.** – Opowieści, których nie znamy, bo rozmawialiśmy, że postać tak ważna nie tylko dla społeczności żydowskiej, ale też dla hierarchii kościelnej czy magnatów w XVIII-wiecznej Polsce jest zupełnie nieznana. Był film, były jakieś prace, ale znane tylko specjalistom. Dopiero Pani wprowadza Jakuba Franka do szerszego dyskursu.

**O.T.** – To prawda i zdaję sobie z tego sprawę, aczkolwiek może te głosy ze strony uniwersytetów i akademii były nie dość silne. Ale przecież Jan Doktor zajmował się Jakubem Frankiem. Wydał trzy książki na ten temat łącznie z *Księżką Słów Pańskich. Ezoteryczne wykłady Jakuba Franka*. Ale to też pokazuje, że ten dyskurs naukowy jest dużo bardziej ograniczony i nie do wszystkich dociera. Ja to spopularyzowałam. W związku z tym dzisiaj czytelnicy mają w świadomości tę postać. Wydaje mi się, że bardzo dużo zrobiłam, bo to jest też postać nieoczywista, niejasna, stojąca jakby na pewnej granicy. Ogromna ilość potencjalnych refleksji może się pojawić w związku z tą postacią. Tak jak sugeruję w dedykacji na okładce. Więc myślę, że to jest chyba też rola literatury, żeby wprowadzać pewne rzeczy pod taką ogólną refleksję. Oczywiście się wspomagałam osiągnięciami i dokonaniem naukowców. Cieszę się szczególnie, że zaraz w kwietniu pojawi się książka Pawła Maciejki *Wieloplemienny tłum* i to jest rozprawa naukowa, wielka monografia o Frankistach w Polsce, która jednak się trochę nie pokrywa z podziałem chronologicznym mojej książki, ponieważ właściwie się zaczyna od przybycia Jakuba do Polski, czyli jego czasy tureckie nie są tam obecne. Ale w bardzo dogłębny, przystępny i taki godny zaufania sposób wyjaśnia te wszystkie niuanse, które stały za dysputą lwowską, które dotyczyły sposobu mentalności, myślenia kościoła. Ale też przytacza ogromną ilość dokumentów pisanych po hebrajsku, czyli jak to całe zjawisko widziała strona żydowska.

**R.K.** – Zacząłem od tej historii codziennej i chciałbym tak skończyć, bo jest jeszcze jedna niesamowita wartość Pani książki. Pani przypomina, że XVIII wiek w Europie to był taki czas praktycznie bez granic. One istniały, były jakieś cła. Ale właśnie ci żydowscy kupcy, którzy jeździli od Turcji

do Morza Bałtyckiego i z powrotem, tak zarabiali na życie. Współistniały obok siebie przeróżne społeczności. To jest taki fakt historyczny, do którego my teraz cały czas zdążamy. Okazuje się, że to nie jest takie możliwe, bo tam gdzie nie było granic, te granice znowu się pojawiają tak jak na Ukrainie. Ale coś, o czym marzymy, okazuje się, że gdzieś w przeszłości było.

**O.T.** – Było i to jakoś w nas zostaje. A ta książka też w jakimś sensie dziwnie robi się aktualna w dzisiejszej sytuacji Europy. Europy, której projekt jest pomyślany jako wielokulturowość, przenikanie się różnych tradycji, ale też otwartość. I okazuje się, że I Rzeczpospolita była takim projektem. Zresztą to też wynika z tego, czego się uczymy w szkole. Tylko być może jest za mało w podręcznikach historii jakby ucieleśnionych zdarzeniami, że nie potrafimy sobie wyobrazić tak naprawdę jak to wyglądało. Tak jak w tej scenie, która właściwie rozpoczyna tę książkę na targu w Rohatyniu, kiedy Wielkopolanka głośno pyta, kto tu mówi po polsku. Sama byłam zaskoczona, że to tak mogło wyglądać. Ale tak właśnie było. I myślę, że nasze opowieści o Kresach są jeszcze cały czas do końca niedopowiedziane. Że jeszcze nie stanęliśmy twarzą w twarz z tym, co znaczyły dla nas te Kresy. Że byliśmy tam kolonizatorami. Nie opowiedzieliśmy sobie jeszcze własnego kolonializmu, a z Sienkiewicza nic się nie dowiemy na temat kolonializmu, który fundowali innym. Ale ta Polska, taka może bałaganiarska, jest pociągająca (wtedy pod koniec XVIII w. to królestwo już się właściwie rozpada). Odwoływać się do takiej Polski, tam lokować swoich przodków, tam widzieć swoje korzenie w tym wielkim tyglu w samym środku Europy, niż mieć wizję jakby narodową, szlachciców, oblężonej twierdzy, którzy zawsze ze sztandarami z Matką Boską bronią twierdzy przed obcymi, przed barbarzyńcami.

**R.K.** – Dziękuję za rozmowę.

## Wodociągi Kieleckie: „Spółka z kulturą”

**„Spółka z kulturą” – to slogan, jakim posługują się Wodociągi Kieleckie wspierając przedsięwzięcia kulturalne w naszym mieście i regionie. Ale spółka nie ogranicza się do wspierania – również sama wymyśla, organizuje i obsługuje wydarzenia kulturalne. Kierownictwo i pracownicy uważają bowiem, że duże przedsiębiorstwo z tradycją musi włączać się w życie kulturalne społeczności, której służy.**

Od 2012 roku Wodociągi Kieleckie są mecenasem artystycznym Zespołu Inscenizacji Tanecznych „Uśmiech” działającego przy Wojewódzkim Domu Kultury w Kielcach. „Uśmiech” skupia dzieci i młodzież niepełnosprawną z Kielc i województwa świętokrzyskiego. Jego przedstawienia inspirowane są folklorem, literaturą, utworami muzycznymi. Choreografem jest Alicja Piłat, a opiekunem Krystyna Krzemińska. „Uśmiech” zdobył wiele prestiżowych nagród na festiwalach i przeglądach twórczości osób nie-

pełnosprawnych, m.in w Warszawie, Krakowie, Kluczborku, Lublinie, Busku, Kijowie i Lwowie. Dzięki regularnemu wsparciu finansowemu Wodociągów Kieleckich łatwiej jest sfinansować zakup strojów scenicznych oraz wyjazdy. – Każde przedstawienie zespołu „Uśmiech” to nie tylko przeżycie artystyczne, ale wielkie emocjonalne wzruszenie. Nie wstydę się, kiedy ocieram łzę oglądając wielkie zaangażowanie tych młodych artystów – mówi prezes Wodociągów Kieleckich Henryk Milcarz.

Wodociągowa spółka promuje również literaturę i poezję. W maju 2014 r. Wodociągi zorganizowały głośne czytanie fragmentów utworów Stefana Żeromskiego pod źródłem i pomnikiem „Biruty” w kieleckim parku oraz wspomogły wieczór poezji miłosnej w wykonaniu członków Związku Literatów Polskich. Pod pomnikiem „Biruty” zaproszeni goście oraz prezes Milcarz czytali fragmenty miłosne *Szyfrowych prac* Stefana Żeromskiego. Wyboru





dokonałi pracownicy spółki. Żeromskiego czytali: Mirosław Bieliński – aktor Teatru im Stefana Żeromskiego w Kielcach, Stanisława Zacharko-Łagowska – dyrektor BWA w Kielcach, Marian Orliński – członek zarządu Stowarzyszenia Miłośników Szwejka i Sztuk Wszelakich, Krystyna Nowakowska – kierownik Centrum Edukacyjnego Szklany Dom, Władysława Szproch – zastępca Prezesa Kieleckiego Oddziału Związku Literatów Polskich oraz Jerzy Mozelewski – prawnik, aktor i filmowiec. Czytanie Żeromskiego na zmiany, czyli inicjatywa artystyczna „150 x Żeromski. Sztafeta literacka”, to pomysł dyrektora oddziału Telewizji Polskiej w Kielcach Marka Mikosa, z okazji 150. rocznicy urodzin pisarza. Po 40 minutach wszyscy przeszli w kolorowym orszaku do Pałacyku Tomasza Zielińskiego, gdzie wieczorek poezji miłosnej „O miłości pół żartem, pół serio” przygotowali członkowie Oddziału Kieleckiego Związku Literatów Polskich z jego prezesem Stanisławem Nyczajem na czele.



Również w maju ubiegłego roku Wodociągi Kieleckie zostały głównym sponsorem pierwszego dnia 11. edycji Festiwalu Filmów Niezwykłych. Pierwszy dzień festiwalu zorganizowano



w skansenie Muzeum Wsi Kieleckiej w Tokarni. Wodociągi przygotowały własne stoisko z saturatorem, maszyną do baniek mydlanych, balonikami i broszurami. Działania artystyczne dzielnie wspierał prezes Milcarz. Wziął udział w rodzajowej scenie oraz w kolejnej odsłonie głośnego czytania utworów Stefana Żeromskiego. Prezes Milcarz zadanie miał niełatwe, bo wystąpił na scenie po takich sławach, jak Jan Nowicki, Anna Polony, Krzysztof Globisz, Andrzej Seweryn i Joanna Trzepiecińska. Żeromskiego czytali też aktorzy kieleckiego teatru i zaproszeni goście. Do anegdotycznej sytuacji doszło podczas nieformalnego spotkania z mediami. Prezes Milcarz zaproponował wspólne zdjęcie z Andrzejem Sewerynem, podczas konsumpcji deseru. – Ja już zjadłem – zauważył aktor pokazując pusty talerzyk. – To nie szkodzi, coś się położy na talerzyku, żeby wyglądało dobrze, jakbyśmy właśnie jedli pyszny deser – zaproponował prezes Milcarz. – Ale ja nie umiem grać... – odparł jeden z najlepszych polskich aktorów. Prezes się nie zraził i odpowiedział: – A ja nie umiem łać wody...

I to przełamało lody, wspólne zdjęcie wypadło znakomicie.

Ostatnią majową imprezą tym razem w całości zorganizowaną przez spółkę był wernisaż wystawy malarstwa Jarosława Jaśnikowskiego „Podróże po Alternatywnym Świecie”. Surrealistyczne obrazy ustawiono w pomieszczeniu maszynowni awaryjnego generatora prądu na ujęciu wody w Białogonie. Sceneria ta doskonale pasowała do obrazów Jaśnikowskiego. Jest on współczesnym surrealistą, czołowym przedstawicielem polskiego steampunku w malarstwie. Prezes Milcarz osobiście odsłonił przy użyciu elektrycznej wyciągarki obraz wykonany specjalnie na tę okazję. Artysta namalował na



nim wiszące w chmurach charakterystyczne dla Kielc budowle i wodociągowe rury. Wystawa Jaśnikowskiego odwiedzała muzea techniki, kolejnictwa, lotnicze w całej Polsce, a Wodociągi Kieleckie były jedyną niemuzealną placówką, która zorganizowała jej wernisaż.

Wodociągowa spółka nie próżnowała latem. W czerwcu 2014 r. przygotowała scenę na placu Artystów dla kielczan obchodzących trzydzieste święto miasta. Wystąpili młodzi wokaliści i tancerze, a gwiazdami były zespół Wołosatki, Genowefa Pigwa i Eleni. To ten ostatni koncert, na zakończenie Święta Wody, przyciągnął największą publiczność. Fani greckiej piosenkarki



wypełnili plac Artystów, cały chodnik wzdłuż ul. Kapitulnej i stoliki pod parasolami. Niektórzy przynieśli ze sobą nawet winylowe płyty, książki i okładki CD z nadzieją na autograf. Eleni bawiła publiczność przez półtorej godziny. Sceniczny partner piosenkarki uspokajał, że będzie ona śpiewała jeszcze przez wiele lat, bo „jest o 12 lat młodsza od Maryli Rodowicz”. Nie zabrakło akcentu literackiego. Spółka ufundowała rower w konkursie na krótki utwór literacki lub slogan reklamowy nawiązujący do 85-lecia Wodociągów Kieleckich przypadającego w 2014 roku. Zwyciężyła Joanna Cieślukowska za wiersz:

„Woda z Wodociągów Kieleckich  
to moja woda do radości!  
Bogactwo minerałów, eksplozja przyjemności.  
Na rynku od 85 lat,  
kocham ten smak.  
Niech kielecka woda  
będzie jak wino –  
im starsza, tym lepsza! Sto lat!”.

W październiku 2014 r. w Kieleckim Centrum Kultury Wodociągi obchodziły jubileusz 85-lecia. Hitem jubileuszowego spotkania był muzyczny spektakl satyryczny „Grube Ryby”, do którego tekst napisał dyrektor TVP w Kielcach Marek



Mikos. W rolę uczniów wcieliili się i zasiedli za szkolnymi ławkami przebrani w szkolne fartuszki: kanclerz kieleckiej kurii ks. dr Andrzej Kaszycki, wojewoda Bożentyna Pałka-Koruba, prezydent Kielc Wojciech Lubawski, dyrektorka KCK Magdalena Kusztal (w roli nauczycielki), rektor Uniwersytetu Jana Kochanowskiego Jacek Semaniak, redaktor „Echa Dnia” Anna Krawiecka, prezes Henryk Milcarz, aktorzy Przemysław Predygiery i Mirosław Bieliński, laborantka Wodociągów Kieleckich Małgorzata Młynik oraz aktor, poeta i pieśniarz Bronisław Opałko.

W listopadzie nakładem Wodociągów Kieleckich, z funduszy unijnych przeznaczonych na promocję inwestycji, ukazał się komiks dla dzieci i młodzieży „Kielecka przygoda Harry’ego i Wodniony”. Jego magiczni bohaterowie, Harry Kropel i Wodniona odbywają niezwykłą podróż. Ich pojazdem jest chmura. Celem podróży są Wodociągi Kieleckie, czyli spółka, której działalność jest nierozdzielnie związana z wodą. – Chcieliśmy opowiedzieć w sposób lekki, przystępny i zabawny o tak skomplikowanych sprawach, jak projekt unijny rozbudowy sieci wodociągowo-kanalizacyjnej za 200 milionów złotych czy rozbudowa oczyszczalni ścieków za

240 milionów złotych. A cóż lepszego w takiej sytuacji mogliśmy wybrać niż komiks? Postacie Harry’ego i Wodniony i ich przygody są barwne, a nasze obiekty i pracownicy... hm... w niektórych twarzach dostrzegam nawet podobieństwo do znanych mi osób – mówi prezes Milcarz. Komiks był dołączony do jednej z kieleckich gazet codziennych, można go też otrzymać w siedzibie spółki przy ul. Krakowskiej 64. Jest również rozdawany jako gadżet promocyjny.

Nie sposób wymienić wszystkich imprez i wydarzeń kulturalnych wspieranych i organizowanych przez Wodociągi Kieleckie. Ten krótki przegląd objął tylko te zorganizowane w ciągu ostatniego roku. Ktoś mógłby zapytać, dlaczego spółka zajmująca się wydobywaniem i dystrybucją wody oraz odbiorem i oczyszczaniem ścieków, z taką energią i takim wysiłkiem wspiera kulturę. W samej spółce takich wątpliwości nie słychać. Kierownictwo i pracownicy uważają bowiem, że duże przedsiębiorstwo o wieloletniej tradycji musi włączać się w życie kulturalne społeczności, której służy. – Ja tak rozumiem odpowiedzialność społeczną biznesu. Wodociągi są biznesem szczególnym. Bezpośrednio lub pośrednio służymy praktycznie każdemu mieszkańcowi Kielc i trzech okolicznych gmin. Nie samym chlebem człowiek żyje. I nie samą wodą. Dlatego jesteśmy spółką z kulturą – mówi prezes Milcarz.

Tekst i zdjęcia *Ziemowit Nowak*

Ziemowit Nowak jest od 2011 r. rzecznikiem prasowym Wodociągów Kieleckich. Wcześniej przez 20 lat był dziennikarzem, przez ostatnie 18 lat – dziennikarzem i redaktorem „Gazety Wyborczej”. Karierę zawodową zaczynał w 1991 r. w tygodniku polonijnym „Gwiazda Polarna” w Stanach Zjednoczonych, w 1992 r. pracował w tygodniku „Afla” w Chicago, był też korespondentem nowojorskiego „Nowego Dziennika”, pisał felietony radiowe dla programu „Otwarty Mikrofon”, Radio Chicago WPNA. Jego reportaże ukazały się w dwóch zbiorach książkowych: *Opcja: reportaż. 23 x świętokrzyskie*, Wydawnictwo Jedność, Kielce 2010 i *Kalendarz Polski 1992*, Division of Point Publications, Stevens Point, Wisconsin, USA.

Stefan Jurkowski

## Spojrzenie na twórczość świętokrzyskich pisarzy w 30-lecie Oddziału ZLP w Kielcach

Stanąłem przed bardzo trudnym zadaniem. Mam oto omówić książki pisarzy kieleckich, wybrane przez nich samych – te, które uważają za najbardziej znaczące w swoim dorobku. Siłą rzeczy nie uwzględniam innych książek, ponieważ nie byłoby to nawet możliwe. Z góry przepraszam za skrótowość tego opisu.

### Cz. I Poezja

Zaczynam od *Arcymiary* prezesa, Stanisława Nyczaja, potem wypowiedź moja uwzględni autorów w porządku alfabetycznym. Osobno omówię książki poetyckie, osobno – prozatorskie.

**Stanisław Nyczaj** należy do bardzo płodnych pisarzy. Ogrom jego pracy pisarskiej zadziwia, ale skoncentrujemy się na jednej tylko książce: *Arcymierze*.

Jeśliby spytać o to, czym zajmują się poeci, można by odpowiedzieć słowami Stanisława Nyczaja. Oto poeta wyznaje:

Sięgam po słowo;  
ono po mnie sięga.  
Mijamy się w ciemności.  
[...]  
Słowo po mnie sięga,  
chce mieć mnie przy sobie,  
ze mną jedno znaczyć.

Poezja Nyczaja jest zanurzona w słowie. Ono bowiem stanowi jej tworzywo; światy poetyckie, znaczenia, przesłania w słowie się ukrywają, w jego obrębie nabierają nowych barw i blasków. Jest jednak tworzywem dość opornym, wymagającym ustawicznego czuwania, ciągłego sięgania po nie „całym niemym wysiłkiem”. I z wzajemnością – Poeta mówi: „słowo po mnie sięga”. Jest wciąż osławiane, aby „ze mną jedno znaczyć”.

Trzeba powiedzieć, że poezja Nyczaja wynika z owego zjednoczenia. Dzięki niemu autor *Arcymiary* osiąga precyzję wypowiedzi, kreuje swój świat, interpretuje zastaną rzeczywistość, z jednej strony odnosi się do konkretnego, z drugiej zaś wprowadza elementy metafizyczne.

Konkret jest tutaj podglebiem, bez którego wszelka refleksja o losie człowieka byłaby bezzasadna; prawa, które nami kierują i które nas determinują, byłyby niezrozumiałe. Poeta powiada, że ludzka egzystencja jest reakcją na konkretne doświadczenia, na cały otaczający nas kontekst historyczno-kulturowy. Dopiero poprzez ów kontekst można dokonywać uogólnień, pełniej analizować wszelkie zjawiska, określać proporcje pomiędzy determinacją a wolną wolą człowieka, rozważyć „niestrawne racje zwątpienia / w jakikolwiek sens” – także sens konfliktu pomiędzy jednostką a zbiorowością, cywilizacją a naturą.

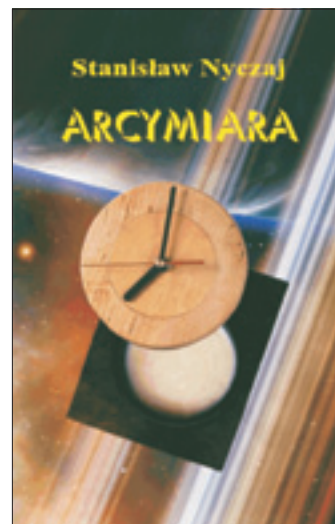
W jednym z wcześniejszych wierszy czytamy:

Człowiek  
najszcześniejszy traf  
intuicji genów

A w *Apostrofie do dumy* z niejakim sarkazmem poeta powie:

Unoś się w pysznej swawoli, Człowieku,  
choć Kosmos zawsze powita cię chłodem

Ale to człowiek jest tym, który stworzył bogów i tak ich skłócił, że w konsekwencji unieszkodliwił,



i dlatego stał się posiadaczem wszelkich praw.  
Wiersz ten kończy się podszytą ironią puentą:

Drży Kosmos, kulą ogony komety,  
Niech to ci doda zwycięskiej podniety

Z jednej strony podmiot liryczny doskonale wie, że jest to pyrrusowe zwycięstwo, ale z drugiej... Tak, to pewien paradoks... Poeta wierzy w człowieka. A jeśli nie w człowieka, to w jakąś nieokreśloną siłę (czy prawo?), która mu nie pozwoli przekroczyć ustalonych granic w jego szale twórczym, poznawczym, amoku destrukcyjnym, a w konsekwencji – doprowadzić do zniszczenia Wszechświata. Poezja Nyczaja jest bowiem „stąd”, ze świata globalnego, i z kosmosu. A więc z materii i ducha. Ten dualizm prowadzi do jej równowagi, zarazem do wieloznaczności poetyckiej wypowiedzi.

Należy zwrócić uwagę na bardzo szeroki wachlarz tematyczny poezji Stanisława Nyczaja. Człowiek i świat, cywilizacja i natura, przemijanie, niedoskonałość języka nie zawsze nośnego dla danych komunikatów, wreszcie miłość pojmowana w kategoriach erotycznych i psychologicznych. Także historia, dzieje ludzkości, owa „intuicja genów”, ustawiczna ewolucja.

W tytułowym wierszu *Arcymiarę* poeta powie:

I ty próbuj ująć w swoją.  
Stworzyłaś ją przecież – tak samo jak ja –  
na intymnie bezmierną  
arcymiarę osobistej wolności.

Chodzi tu o „wyzwolenie w nieznaną galaktykę własnego wnętrza, czyli zwrócenie się w kierunku niezależności w sensie artystycznym, ale też egzystencjalnym, filozoficznym”.

To – w największym skrócie – tropy tej przebogatej poezji, tak różnorodnej, ale jakże spójnej.

Wszystko, co powiedziałem wcześniej, mogłoby wskazywać na jakieś przeintelektualizowanie wierszy. Nic bardziej mylnego! Jest to poezja w najwyższym stopniu emocjonalna, odwołująca się do wrażliwości, często – jak zwłaszcza w wierszach dotyczących relacji damsko-męskich – nosząca znamiona najczystszej liryki. Przy czym poeta kreuje, a nie opisuje rzeczywistość; nie tworzy płaskich, pozbawionych głębszych odniesień, obrazków.

Nie ma tu czułościowości, patosu, dydaktyzmu. Bo Nyczaj nigdy nie jest dosłowny, jednoznaczny,

konwencjonalny w poetyckim języku i diagnozach. Posługuje się niedopowiedzeniem, ironią, bywa sarkastyczny. Warsztat poetycki Nyczaja jest bardzo precyzyjny, a nieokiełznana wyobraźnia, ciągłe przekraczanie samego siebie, wreszcie: wycucie języka, umiejętność zestawiania słów w taki sposób, aby powstawały nowe zakresy semantyczne, wielość kręgów tematycznych oraz indywidualne, osobne widzenie świata – to wszystko sytuuje twórczość Nyczaja oraz jego *Arcymiarę* w samej czołówce dokonań poetyckich ostatniego czasu.

### Zdzisław Antolski

Leży przede mną tomik tego poety *W sadzie sen*, wydany w 1998 roku. To zbiór liryków, poetyckich zauważań; utwory te nie są jednak tylko rejestracją „chwil ulotnych” czy popisem wyobraźni. Dookolna rzeczywistość stanowi tutaj pretekst do pokazania czegoś głębszego. Kiedy bowiem Antolski pisze:

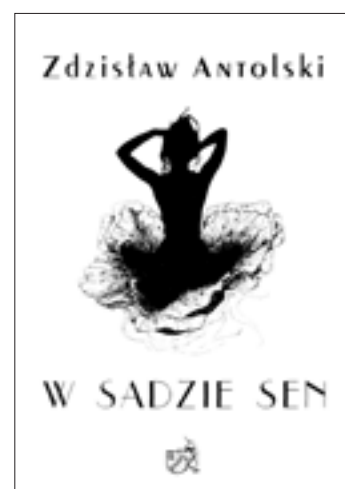
W płomieniu  
Mojżeszowego krzewu  
zobaczyłem  
moje przeznaczenie

Wiersz

Będę go pisał  
przez całe  
dorosłe życie

– wiadomo, że chodzi o coś więcej. Poeta tworzy jakże nośny i ekspresyjny skrót poetycki, w którym zawiera się nie tylko pewnego rodzaju definicja procesu twórczego, ale i los człowieka, w tym przypadku „naznaczonego” poezją. To charakterystyczna cecha poezji Antolskiego: każdy wiersz niesie w sobie ukryte przesłanie, i to niebagatelne. Przywołajmy jeszcze wiersz *Malwa gospodyni*,

bardzo obrazowy liryk, ale jednocześnie podszyty refleksją o przemijaniu, nostalgią za upływającym czasem – poczuciem, które jest znane każdemu.



Poeta świetnie uniwersalizuje swoje wiersze, a w formie krótkiej, zwartej, bardzo oszczędnej potrafi zawrzeć maksimum treści.

W tym tomie liryczny obraz świata łączy się ściśle z dyskursem filozoficznym. Liryka zachwyca obrazami, wycuciem słowa. Głębia tych wierszy fascynuje i rodzi ważne refleksje.

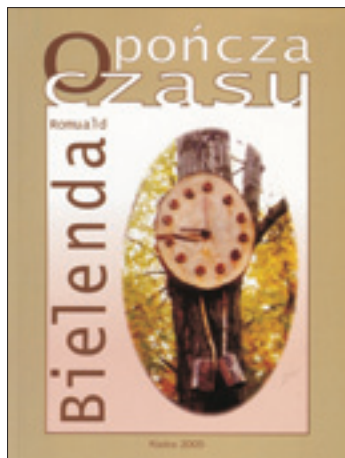
Przytoczę jeszcze trzy wersy z utworu *Lato się przechyla*:

Bóg idzie polami  
czują to chłopi  
i zmienia obraz świata

Wiersze Antolskiego, z pozoru – jak się rzekło – proste, zmieniają obraz świata, poszerzają przestrzeń poetyckiego oddziaływania. To bardzo ważny tom, choć od jego wydania upłynęło szesnaście lat. Jak się okazuje, jest to poezja, która przetrwała próbę czasu.

### Romuald Bielenda

Zupełnie inny typ poezji prezentuje Romuald Bielenda w *Opończy czasu*. Oczywiście,



da się tu wyodrębnić elementy filozoficzne, egzystencjalne; można powiedzieć, że czytelnik „wie, o co tu chodzi”. Ale to nie wszystko. Pozostaje jeszcze sam sposób zapisu, metaforyka, poszerzanie zakresu znaczeniowego

słów. Najlepsze są wiersze, w których narracja staje się prosta, jak w utworze *Niedokończony gobelin*. Przytoczmy go w całości:

Niewiele już zostało  
z marzeń i pragnień  
Czeszę pamięć dokonań  
I mam obawę  
stoję przed koniecznością  
niedokończenia gobelinu  
oddalanych chęci

To właściwie prosty wiersz. Nie powinniśmy się bać prostoty w poezji, o ile nie jest to prostactwo. Tu można odnieść wrażenie, że autor jednak

się trochę boi. Chciałby przemawiać bardzo poetycko, wobec tego buduje metafory w rodzaju:

Zamykam się  
w sezamie zamyśleń  
nad  
koncepcją wiersza

Albo:

Otwieram drzwi wrażeń  
zamkniętej samotności  
mojego domu

Wiersze bez tego rodzaju metafor są dużo lepsze. Wzorcowym tekstem niech będzie *Wstęga jesieni*:

Wiatr  
ułatwiał oddech  
przeciążonym płucom Ziemi  
Staczał lato  
z szachownicy pól  
w dolinę Wilkowską  
Wplatał w nić babiego lata  
wstęgę jesieni  
ciepłym  
przywiewem ognisk

Tak czy inaczej, *Opończa czasu* jest tomikiem reprezentatywnym, odkrywającym blaski i cienie tej poezji.

### Anna Błachucka

Autorka w tomie *Listy do wyobraźni* zaprezentowała cztery cykle sonetów: bardzo zręcznych, dobrze zestrojonych, z precyzyjną średniówką. Rzadko kto dziś uprawia tę formę; właściwie najbardziej znane są sonety Krystyny Koneckiej, która przez lata doszła w tym gatunku do wirtuozerskiej perfekcji.

Utwory Błachuckiej – jak się rzekło – dzielą się na cztery cykle, a każdy wiersz opatrzony jest tytułem, który oddaje niejako klimat oraz przesłanie utworu: *Sonet zagubiony*, *Sonet anormalny*, *Sonet poturbowany*. To



bardzo oryginalny pomysł, podobnie jak same utwory, pisane dowcipnie i z dystansem.

Okazuje się, że klasyczna forma może być nośna dla współczesnych treści, jest przy tym recytatywna, choć jednocześnie wymaga dużej dyscypliny. Sonety Błachuckiej są nienagannie napisane, świetnie zharmonizowane, zestrojone, ponadto bardzo plastyczne, obrazowe, oryginalnie zmetaforyzowane, refleksyjne. Poszczególne utwory mówią o ludzkiej kondycji, o lękach, urazach, śmiesznościach, konwencjach – słowem: o życiu – w sposób dalece uniwersalizowany. Często przedstawiają świat w krzywym zwierciadle; są podszyte humorem (bardzo zresztą finezyjnym). To rzeczywiście niezmiernie ciekawy tom, odwołujący się głównie do wrażliwości i wyobraźni czytelnika, wieloznaczny, a zarazem zobiektywizowany. Stanowi duży kontrast na tle innych wierszy, to ze względu na rzadko spotykaną dziś formę, to znów – na kręgi tematyczne, bardzo współczesne. Oto poetka (podmiot liryczny) zwraca się do czytelnika w taki oto sposób:

– Na cudzej myśli, na fragmencie dzieła  
przysiadłaś jak ptak w wyobraźni pędzie.  
Świętą czy grzeszną myślą tam się wspięłaś?  
A lądowanie przewidziałaś? Będzie?

To fragment *Sonetu zdziwionego*. Stanowi on jakiś, niedoskonały może, klucz do poezji zamkniętej w okładkach tego niebanalnego, wartościowego tomu.

### Krystyna Cel

Autorka do niniejszego omówienia słusznie wybrała tom *Czula retrospekcja* – wydany w 2010 roku wybór wierszy z wcześniejszych książek. To bardzo delikatna i refleksyjna poezja.



Zakorzeniona w pejzażu, odnosząca się do codzienności, nie poprzestaje na powierzchownych przestaniach, nie podpira się samą atrakcyjnością portretowanych konkretów. U tej poetki wszystko to ma bowiem głębokie znaczenie symboliczne. Już w pierwszym

wierszu tomu, *Mój świat*, podmiot liryczny powiada:

Otoczony żywopłotem wspomnień  
mój świat maleje kurczy się  
choć pustych miejsc w nim  
coraz to więcej i więcej

Oto ów malejący świat; malejący do szczegółów, do postrzegania rzeczywistości dookolnej, w gruncie rzeczy staje się pretekstem do uogólnień.

oblaskawiony na dobre  
mój świat  
nareszcie zamknęłam  
w swych ramionach

Z jednej strony pisze Krystyna Cel o ubywaniu, o kurczeniu się, o destrukcyjnym działaniu czasu, a z drugiej strony jednocześnie widzi w tym wszystkim siebie. Podmiot liryczny nie buntuje się, ale konstatuje (na pewno nie radując się z tego), że podlega temu działaniu, ponieważ jest częstką całości, złożonej, skomplikowanej rzeczywistości. Dodajmy jednak: rzeczywistości fascynującej, która właśnie poprzez szczegół pokazuje swoje bogactwo. Czy jednak poezja jest w stanie owo bogactwo wypowiedzieć, zdefiniować? I tu w wierszach Krystyny Cel pojawia się zwątpienie. Konstatuje ona:

Odejdę nie poznawszy  
żadnej z tajemnic  
tego świata

I wyznaje, że wie tylko tyle, ile oracz żyjący przed wiekami: dziwujący się światu, ale wszystko, co jest dlań niepojęte, składający na ołtarzu wiary. Dalej powie poetka:

a ja  
jak dalece muszę zwątpić jeszcze  
aby uwierzyć

Poszerzają się zatem granice, za którymi kryje się „niepoznane”. Poszerza te granice wiedza, przesuwa je doświadczenie. Wiara, choć potrzebna, staje się coraz trudniejsza, a osiąga się ją poprzez doświadczenie intelektualne, ale i przez wyrzeczenie. Zauważmy, w jak prosty sposób, za pomocą czytelnych środków, mówi poetka o sprawach nieprostych. Nie ma tu żadnej termi-

nologii, metaforyka nie jest budowana środkami abstrakcyjnymi. To poezja na pierwszy rzut oka „zwyczajna”, zanurzona w konkretności, a jednak wykraczająca poza ten konkret.

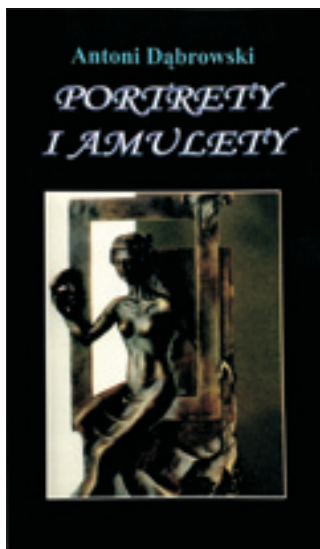
Zacząłem to skrótowne omówienie od pierwszego wiersza w tomie, niechże zakończę je ostatnim:

Kiedyś  
wejdę w mrok  
po ostatnią tajemnicę

Nic w tych wierszach nie jest zamknięte, choć świat wydaje się i poznany, i niepoznawalny zarazem. To przekonanie wydaje się być motorem i głównym przestaniem poezji Krystyny Cel.

### Antoni Dąbrowski

Wiersze tego autora wydają się przeciwieństwem omawianych wyżej, w których – mniej lub bardziej udanie – przedstawiana jest skomplikowana rzeczywistość, widać zmagania poetów ze światem, konwencjami, z własnym wnętrzem. W przypadku A. Dąbrowskiego mamy na ogół



do czynienia z dosyć płaskim poezjowaniem, w dodatku często wielostopowym, ilustracyjnym i konwencjonalnym, z którego niewiele wynika. Żeby nie być gołosłownym, przytoczę w całości jeden krótki wiersz *Bunt mola* z tomu *Portrety i amulety*, który to zbiorek trafił do mnie jako „reprezentatywny”:

nie dam się  
zapędzić do biblioteki  
nie będę  
nawet najbardziej kolorową  
zakładką do życia

jutro  
może przynieść coś  
co nawet centralnym katalogom  
się nie śniło

wolę jeden żywy dzień  
od martwego jeniusza

Autor zapewne uważa się za żywego „jeniusza”, ale może byłoby lepiej, gdyby jednak dał się zapędzić do biblioteki, oczywiście jako czytelnik, a nie eksponat. Wtedy by się zapewne dowiedział, czym jest ironia, jak się buduje poetycką ekspresyjną konstrukcję. Wiersze Dąbrowskiego są dosyć toporne, czasem wręcz nieudolne, czego przykładem jest utwór *Wieszcz*. Zaczyna się on słowami:

Krwawiłeś wierszem  
na paryskim bruku

„...ostatnim zajazdem...” lizałeś  
orta i pogoni rany

Doprawdy, pełne wdzięku! A jak ekspresyjnie brzmi stwierdzenie: „Stańczyk milczał do rozpuku”. Być może, a jak się już „rozpuknął”, to jednak był huk, nie licząc efektów węchowych. „Przyszła wolność kasztanką Dziadka”. Gdyby podmiot liryczny zechciał jednak posiedzieć w bibliotece, to w ten sposób by tego nie ujął, boby mu się to nieodparcie kojarzyło z koniem (kobyłą?) trojańską.

aż Polska zajarzyła od nowa  
wysnioną grzywą Wernyhory

Może i „zajarzyła”. Dobrze by było, żeby i autor zajarzył, że to są androny, grzywa Wernyhory dawno się „zjarała”, a „zarzewie myśli” ledwo się tli „jambem nadziei”.

Groteskowe są portreciki pisarzy i artystów w wykonaniu pana Antoniego. O Waldorffie (pisze się na końcu przez dwa „f”) dowiadujemy się, że to był

ostatni  
co tak na Powązki wodził...

arystokrata  
w małowielitrazowym cylindrze

Można więc z tego wysnuć wniosek, że Waldorff był grabarzem i miał zbyt mały cylinder, by schować w nim pół litra... Oto przykład, jak niezborny, bezsensowny wiersz, napisany bez wycucia słowa i zwykłych, słownikowych konotacji, może zwiść na manowce wyobraźnię czytelnika. Stwierdzam z całą stanowczością, że *Portrety i amulety* należą do tomików bardzo słabych.



## Elżbieta Chuchmała

Skromniejszą autorką, acz także jeszcze nie do końca doskonałą, jawi się Elżbieta Chuchmała. Wiele, a nawet zbyt wiele wierszy wydaje się tu niezbornych, choć przecież *Czekając* jest czwartym jej tomem. Wydany w 2005 roku zbiór trafił do moich rąk właśnie przy okazji tego omówienia.

Mam pretensje do często pojawiających się tutaj banałów. Jakich? Bardzo proszę. Czytamy w wierszu bez tytułu:

kraj ludzi wystrojonych naprędce  
i pustych portfeli  
dziewczyna w minisukience  
szeroki temat  
i nie odpuszcza ich śmierć

Czy jest w tym coś odkrywczego w sensie poetyckim? To jednak same oczywistości. Można je interpretować jako prawdy doniosłe dla ludzkości, dopatrywać się elementów egzysten-



cjalnych, a nawet eschatologicznych. Tak można jednak mówić temu, kto nie zna wiersza, nie analizował materii poetyckiej. Bo interpretować, nawet bardzo uczenie, można wszystko...

Wspomnianą niezborną widać już na początku tomiku. Posłuchajmy wiersza bez tytułu:

czekasz –  
lecz nie gotowa  
moja z tobą rozmowa  
przyjazny telefon dopełni wiązankę

Jaką to wiązankę szykuje ów telefon? Strach pomyśleć... Ale z wiersza to nie wynika. Dalej czytamy wersy nijak nieprzystające do poprzednich:

za ścianą cytrynowy gaj  
wypoczywa zgromadzenie myśli

Domyślamy się, że to rzecz o emigracji zarobkowej, o wyjazdach na sakso po „przyszłość lukrową”. Tyle że wiersz jest chaotyczny i poetycko

niczym się nie zaleca. Tom *Czekając* nie wydaje się dla twórczości autorki reprezentatywny.

## Jarosław Edward Gryz

Natomiast *Trzynaście róż* Jarosława E. Gryza tę rolę spełnia. To tom obszerny, podzielony na dwie części: *Pokolenie ogolone z mazureń* oraz – tytułową – *Trzynaście róż*.

W pierwszej części otrzymujemy wiersze niemal publicystyczne, odnoszące się do posttransformatyjnej rzeczywistości politycznej i gospodarczej. Przypominają one niektóre utwory

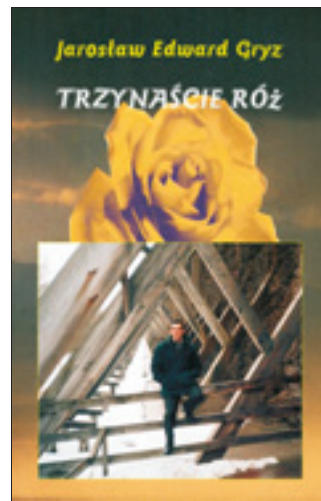
„Nowej fali”, zwłaszcza że tamte realia i obecne są do siebie bliźniaczo podobne:

córkę się dobrze wżeni  
wuj da koncesję na firmę  
ciocia ma dobre kontakty przez łózko  
nic się nie martw kredyt się umorzy  
istnieje zawsze jakaś furka w prawie

Język poetycki jest teraz nieco inny. Mniej w nim komunikatu gazetowego, pastiszu nowomowy, bo już nie o to chodzi. Nadal jednak są to wiersze o zakłamaniu, złodziejstwie, obłudzie, koleśiach, którzy wszystko załatwią, a innych zniszczą. Raczej konstatujące niż kontestujące, ale napisane dobrym poetyckim językiem, z dystansem, a nadto pewną ironią. Nawet kiedy Gryz pisze o polskiej rzeczywistości tak bardzo czytelnej, czyni to w sposób bądź co bądź poetycki:

gangrena władzy  
sezonowa wymiana szyszek  
bezkarnie pleśniejące gałęzie  
brudnych paznokci

Naród się nie liczy, jest wyłącznie „zbyt łatwo sprzedaną konserwą”. Poeta o takich sprawach, jak patriotyzm, uczciwość, los pokolenia, pisze bez patosu, pokrzykiwania, potrząsania szabelką. Jego spokojne, wyważone słowa chłostczą bardziej niż wrzask ideologicznie zmanipulowanych demonstrantów. I to właśnie dowód,



że twórczość Gryza jest literaturą, choć w dużej mierze publicystyczną, ale – na szczęście – mocno zuniwersalizowaną. Z pewnością dawna cenzura by jej nie „puściła”, bo zbyt wiele w niej skojarzeń. Dzisiejsi ideolodzy oszustwa transformacyjnego mogą być święcie oburzeni, a gdybyśmy znowu znaleźli się w zaborze – dajmy na to – rosyjskim, to autor pojechałby na Syberię. A jeśli udałoby się niektórym fantantom wskrzesić monarchię, to Gryz mógłby podzielić los np. Samuela Zborowskiego. Pominąwszy fakt, iż te wiersze są prawdziwe i oskarżycielskie, aktualne w każdym czasie, trzeba wspomnieć, że mają dodatkowo poetyckie walory, które czynią je bardzo ciekawą poezją; dramatycznym, ekspresyjnym głosem oszukanego, spauperyzowanego pokolenia bez perspektyw.

Druga część tomu nosi tytuł *Trzyście róż* (od nagłówka wiersza, który stał się utworem przewodnim). Znajdujemy tu inne wiersze niż w części pierwszej, bardziej refleksyjne, powiedziałbym nawet: introspektywne. Autor patrzy w siebie, jakby konfrontował świat wewnętrzny z zewnętrznym. Co z tego wynika? A choćby taka refleksja, bardzo poetycka, wieloznaczna:

nie zatracajmy się w niepotrzebnościach  
gdaczącej powodzi nieistotnych słów  
w ćwiartowaniu mięsa obcinaniu głowy  
w wierszach

różo twój ogród magazyny lotniska i porty  
że oczami nie przepatrzysz sercem nie pokochasz  
bez jej zgody  
ona wszystko ci otworzy lub zatrześnie

W tych wierszach, bardzo dobrze napisanych, podmiot liryczny stara się wyciszyć i poznać mechanizmy rządzące światem i człowiekiem. Oba cykle świetnie się dopełniają, są różne, ale jednocześnie niezwykle spójne.

### Benedykt Koziół

To kolejne już w opisywanym zestawie poezje wybrane. Na tom *Słowem w wodę* składają się utwory pochodzące z sześciu tomów wydanych w latach 1986–2009. Omawiany wybór ukazał się w roku 2010.

Wiersze Benedykta Koziół są wielowymiarowe i „aktywne”. Zapraszają bowiem czytelnika do swoistego współtworzenia, intrygują wyobraźnię, liczą na jej kreatywność. Poeta

nie mówi niczego dosłownie. Tworzy sytuację, maluje obraz, którego znaczeń czytelnik powinien się doszukać. Jednak nie jest on pozostawiony samemu sobie. Koziół prowadzi go konsekwentnie ku puencie. Nie zawsze jest jedna; nierzadko mamy do czynienia



z możliwością różnej interpretacji. Nie należy jednak mylić różnicowania interpretacyjnego z kompletną dowolnością. Poezja ta odwołuje się do wrażliwości i wyobraźni, jednak jest również bardzo zdyscyplinowana. Jako przykład przywołajmy choćby *Dotykanie dnia*:

Budzę się  
zaczynam rozkładać  
pasty mydła żyletki  
oreża  
codziennych zwycięstw  
i porażek

dotykając dnia  
kojarzę cieknący kran z Heraklitem

na porównanie  
awarii ujęcia wody z historią  
nie ma czasu

myję ręce  
i godzę się ze światem

Tekst bardzo charakterystyczny dla poezji Benedykta Koziół, która składa się ze swoistych wierszy-przypowieści inspirowanych codziennością. Czy wyżej cytowany utwór jest wyłącznie obrazem porannych czynności? A puenta? To godzenie się ze światem? Na pewno także kreacja: porządkowanie „oreża codziennych zwycięstw i porażek”, a więc aktywne, świadome istnienie i – jednocześnie – pogodzenie się z naturalnymi granicami ludzkiego działania i poznania. Prawda, jak pozory mylą?

Choć wiersze Koziół wydają się bardzo proste, w rzeczywistości są trudne. Nie należy dać się zwieść ich przejrzystości, pozostawać na samej powierzchni. Kluczem do tej bogatej

(pomimo ascetycznej formy) poezji niech będzie krótki utwór *Wieczność*:

Niosę  
jak wieczność

słowo w sobie  
słowo w słowie

początek wszystkiego

Co za kondensacja! Jakże trafna definicja poezji albo w ogóle języka, którym dane jest nam się posługiwać. To także definicja powołania poety, choć nie pada tu słowo „poezja”; czy wreszcie: wieczność, płaszczyzna uniwersalizacji działań człowieka w tym zakresie. Ale i w egzystencjalnym. Mieć w sobie „początek wszystkiego”... To znaczy nosić w sobie pierwiastek nieśmiertelności. Kozieł jest mistrzem krótkiej, oszczędnej formy, przesyconej jednak treścią. Może niewypowiedzianą, niezwerbalizowaną, ale wibrującą w przestrzeniach znaczeniowych wiersza. Trzeba tylko umieć ją odczytać.

Poezja ta obraca się w wielu kręgach tematycznych: miłość, śmierć, przemijanie, zachwyt otaczającym światem (przyroda często się tutaj pojawia), topografia miejsc dzieciństwa, ale i obecnych – to wszystko buduje efektowną (bo nie efekciarską) twórczość Benedykta Kozieła. Wszystko, co poetę otacza, jest albo może być źródłem inspiracji, bodźcem dla refleksji; dla poetyckiego obrazu tak niekiedy skromnego, a tak wiele znaczącego.

*Słowem w wodę* stanowi znakomitą wizytówkę poety i pozwala bardzo szczegółowo prześledzić tropy jego twórczości.

### Jan Lechicki

Tom *Pojedynek z sobą* warto by było zadedykować tym osobom piszącym, które są przekonane o własnym geniuszu. To doskonałe, proste, ale bardzo poetyckie frazy. I wieloznaczne:

Mój stary polonista mawiał:  
– Jeśli nie wiesz jak się pisze „wóz”  
to pisz kareta

A ja ciągle robię w życiu  
błędy ortograficzne  
nie mogąc odnaleźć  
zbawczych synonimów

Nie mogę się oprzeć, by nie sparafrazować tego wiersza tak: „Jeśli nie wiesz jak pisać, to nie pisz albo więcej czytaj”.

To taki kamyczek do ogródka niektórych twórców.

A teraz poważnie. Jan Lechicki jest poetą ludzkich losów.

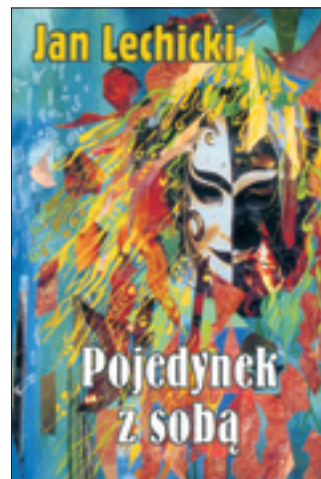
Zwłaszcza tych losów, które nas czekają w dalszej lub bliższej przyszłości. A więc pisze o samotności, walce z trudnościami dnia codziennego, czerpaniu z całościowych doświadczeń, ale i o kurczeniu się zasobów owych doświadczeń wskutek zacierania się pamięci. Podmiot liryczny potrafi utożsamić się z sytuacjami, które opisuje, pokazać cały dramatyzm starości, a jednocześnie jaśniejsze jej strony, bo przecież – wydaje się mówić poeta – wszystko ma swój czas, swoje piękno.

Dodajmy, że *Pojedynek z sobą* nie jest tomem monotematycznym. Mamy bowiem do czynienia z poetą szczególnie uwrażliwionym na piękno, na klimat stron rodzinnych (które go kształtowały). Jego opisy miejsc są kreatywne, dynamiczne. To nie statyczne obrazki do podziwiania, ale preteksty do pokazania różnych losów, zdarzeń, zjawisk. Zacytujmy choćby krótki wiersz *Na łagowskich polach*:

Na łagowskich polach  
kwitnie zboże  
mojego dzieciństwa  
Łany żyta i jęczmienia  
pocą się niezmiernie  
aby wycisnąć  
z kamienistej gleby  
odwieczną zagadkę  
narodzenia i śmierci

Wiersz prosty, ale jakże głęboki. To zapis ustawicznie zadawanego, egzystencjalnego pytania. To trwanie ziemi, powtarzalność cykli, obecność w tym wszystkim człowieka, który – inspirowany obserwowanymi zjawiskami – nie ma nic, poza dociekaniem prawdy.

Zwróćmy uwagę na prosty język; na oszczędność, ale i celność metaforyki. Zachwyca lapidarność niektórych tekstów:



Jeszcze jeden dzień  
otrzymałem w prezencie  
od

Czego chcesz  
ktoś powiedział  
przecież napisałeś  
wiersz

Poetycka mowa skrótu, niedopowiedzenie, zawieszenie sprawiają, że wiersze te trafiają do wyobraźni, przekonują, wprowadzają w bogaty świat wewnętrzny podmiotu lirycznego.

### Monika Mazur

*Kosmogonie* Moniki Mazur, wydane w roku 2014, potwierdzają jej poetycki talent. To



czwarty tom tej autorki. Dodajmy, poezji oryginalnej i na wskroś indywidualnej. Mamy tu do czynienia z symboliką filozoficzną, wiersze wchodzi w obszary metafizyki. Poprzez filozofię pokazuje autorka naszą współczesność. Lepiej: poprzez osobliwe doświadczenie własne,

przekazuje w sposób symboliczny swoją prawdę o świecie.

Twierdzą niektórzy, że jest to poezja abstrakcyjna. Nie do końca się z tym zgadzam. To tylko poetycka rekwizytoria Moniki Mazur wydawać się może abstrakcyjna. Doświadczenie codzienności, lęki egzystencjalne, nawet najzwyklejsze czynności mają tutaj swoją symbolikę, swoje nazwy, natomiast desygnaty są jak najbardziej konkretne. Powie ktoś: poetka stosuje język ezopowy. Też nie do końca. Jej wiersze odwołują się do wyobraźni i wrażliwości czytelnika. Obrazy są konsekwentnie konstruowane, logiczne. Już to – samo w sobie – stanowi niebagatelny walor tej poezji. Ale kiedy pójdziemy głębiej, otwiera się pole dla interpretacji; dochodzimy do przesłania – wyrazistego, ale niewypowiedzianego wprost, językiem dyskursywnym.

Przyjrzyjmy się zatem utworowi bez tytułu, zamieszczonemu w tym tomie:

przebieram się za siebie  
wkładam bluszcze kapelusze  
układam do snu w dolinach  
na powierzchni sepii  
przewiewne życie

nie poruszają się pory roku  
żadne kłosa wrzosy  
do baśni bliżej niż dalej

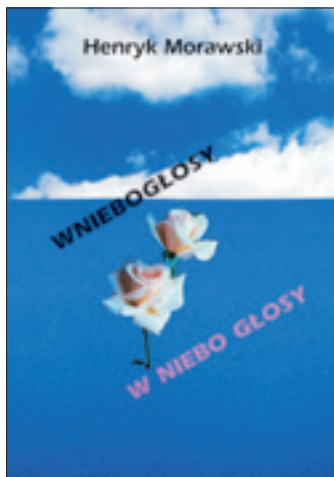
To wiersz przepiętny znaczeniami, intrygujący, zapraszający do wchodzenia w głąb tej poezji. Już pierwsze zdanie „przebieram się za siebie” jest – według mnie – poszukiwaniem własnej tożsamości. Trzy następne wersy pierwszej zwrotki odczytuję jako swoiste wyciszenie, nawet wyciszenie zbyt kontrastowych barw. Życie przecież na powierzchni sepii jest tutaj układane do snu. Czyżby wiecznego? Sepia przywodzi na myśl zdjęcia nagrobne albo zdjęcia ze starego albumu przedstawiające tych, których już dawno nie ma. I ten bezruch: nie poruszają się pory roku, a pejzaż zatrzymał się niczym kadr w unieruchomionym filmie. „Do baśni bliżej niż dalej”. Może do legendy, przekonaj; do czegoś niesprawdzonego, ale do tego, w co wierzymy, co przeżywamy duchowym instynktem?

Proszę bardzo, może to jest nadinterpretacja, może poetce chodziło o coś innego. W tej chwili nie jest to ważne. Najważniejsza jest niedostowność, wieloznaczność utworu, razem jego kompozycyjna logika, która – dając rozmaite możliwości interpretacyjne – prowadzi czytelnika wprost do przesłania i nie pozwala mu zgubić się w gąszczu słów, udziwnionych metafor, pseudooryginalności.

Wszystkie wiersze z tego tomu mają podobną cechę. Ułatwia to czytelnikowi wejście w głąb świata, w głąb rzeczywistości, emocji. Ukazuje całą złożoność i różnorodność życia i zjawisk, nie tylko samą powierzchnię. To poezja nowatorska, ale nie epatująca udziwnieniami; naturalna, bo ściśle odpowiadająca twórczej osobowości i wyobraźni poetki.

### Henryk Morawski

Tom *Wniebogłosy / W niebo głosy* prezentuje najbardziej charakterystyczne dla tego poety twory. Jest to literatura utrzymana w tonie tradycyjnym, odnosząca się do najlepszych wzorców polskiej poezji – od Kochanowskiego poprzez Gałczyńskiego do Różewicza, Herberta,



Szyborskiej. Należy zaraz dodać, że nie ma w niej nic anachronicznego, naśladowczego. Okazuje się, że tradycja literacka, pojęta w tym dobrym znaczeniu, wpływa na wartość utworów. Morawski nie jest epigonem. On do całego

bagażu literackiego na własną miarę dokłada swoją cegiełkę – świat dzieciństwa i rodzinnego domu, pejzaże, nawiązania właśnie do tradycji literackiej, do mitologii, filozofii. Są to wiersze bardzo indywidualne, w pewnym stopniu uniwersalizowane. Ich przestrzeń nie ogranicza się wyłącznie do świata osobistego, ale daleko wykracza poza jego granice. Poezja ta porusza zagadnienia moralne, nawołuje do przestrzegania zasad, do tolerancji, ostrzega przed takimi, dosyć rozpowszechnionymi zjawiskami, jak hipokryzja, korupcja, przemoc. Nie jest to jednak literatura wyłącznie publicystyczna, która – jak wiadomo – miewa żywot krótki.

Oczywiście, mogą drażnić „niewspółczesny” patos, emfaza, uroczyste zdania, we współczesnej poezji rzadko dające się usłyszeć. Ale na tym polega indywidualny język autora, który kształtował się na poezji klasycznej. Także przestania wierszy są „słuszne”, niekiedy moralizatorskie, może konwencjonalne. Morawski nie pozwala sobie na zbyt dużą prześmiewczość, ironię, prowokację. To liryka „poważna”, pozbawiona eksperymentów formalnych, dosłowna:

A u nas – jak przed wiekami – nic nowego pod słońcem:  
wojny stuletnie na górze – stare błędy na dole  
sejmiki swarłiwe i przedajne – święte miejsca oplute  
i ściągane skwapliwie z cokołów dawne bohaterzy

Nic dodać, nic ująć. Bez względu na to, czy ktoś się z tą poezją zgadza czy też nie.

### Elżbieta Musiał

Elżbieta Musiał jest jedną z najwybitniejszych poetek. Ma na koncie, prócz licznych tomów wierszy, zbiór esejów o roli kobiety w twórczości poetów-mężczyzn. Ostatnio z powodzeniem uprawia duże formy. Poematy: *Na śmierć ze-*

*garka przejechane-  
go zimą przez sa-  
mochód*, omawiany poniżej *Na zdjęciu wciąż żyjemy* czy *Ars moriendi* stały się wydarzeniami poetyckimi. Wszystkie te utwory łączy oryginalny język, a także wyobraźnia oraz filozoficzne przesłania. Przyjrzyjmy się

choćby *Na zdjęciu wciąż żyjemy* – utworowi reprezentatywnemu dla twórczości tej poetki.

Zdjęcie jest śladem naszej ulotnej obecności na tym świecie. Trwalszym od nas samych. Może być również zapisem naszej kultury, sztuki, filozofii. Jest obrazem. Jest przypomnieniem. Nie tylko papierowym, materialnym; jest obrazem i przypomnieniem odcisniętym w naszej wyobraźni. Można powiedzieć, że fotografia stara się wykroczyć poza śmierć, ocalić przed nią swój cały ładunek.

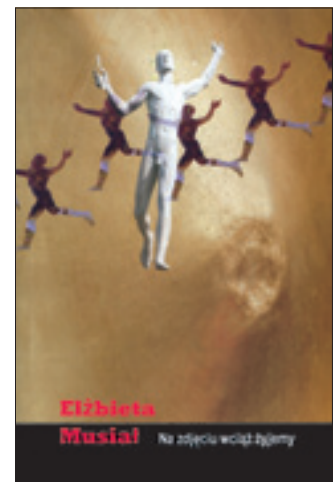
Stąd tytuł poematu: *Na zdjęciu wciąż żyjemy*. Jest to utwór wielowarstwowy, w którym historia przeplata się ze współczesnością. Bywa to niekiedy historia tragiczna i podła. Oto – jak czytamy na początku poematu – polscy żołnierze ostrzelali wioskę afgańską, zabijając sześć osób i raniąc kilkanaście. Takie jest działanie człowieka prowadzące do zniszczenia i śmierci.

Działaniem człowieka jest także sztuka, jest poezja, filozofia. Podmiot liryczny poematu Elżbiety Musiał obcuje z artystami, myślicielami, z ich dziełami. Nawiązuje z nimi kontakt właśnie poprzez dzieło, poprzez obrazy, portrety, gdzieś zarejestrowane głosy. Sam wreszcie staje się artystą. Zdjęcie jest tutaj symbolem owego kontaktu, swoistej obecności. Właściwie wszechobecności sztuki i myśli, które świadczą o naszym człowieczeństwie.

Napisze poetka:

Dotykać skóry, ale tak, jak fresku Rafaela.  
A potem milczeć, jakby się szło przez cmentarz.

Trwamy w dziele, w którym odbija się twarz twórcy niczym liść paproci w węglu. A więc i nasza twarz. Poza tym w swoim dziele człowiek jest najprawdziwszy i najtrwalszy.



Elżbieta Musiał pokazuje różnorodność ludzkich działań. Twórczych, ale i destrukcyjnych, które – ocalone – składają się na całość historii.

Poezja ta urzeka celną metaforą, żywym poetyckim językiem i plastycznymi obrazami. Zauważmy, jak poetka precyzyjnie łączy elementy filozofii, sztuki, historii, nawet polityki. Całość odwołuje się w wyraźny sposób do etyki, zwłaszcza w tych częściach, które dotyczą bezpośrednio naszej współczesności. Doskonale wpisuje się w codzienność i mówi wprost o całym okrucieństwie naszego świata, w którym twórczość walczy ze zniszczeniem, śmierć z życiem; jest to wspaniały opis ludzkiego losu, dokonany – jak zwykle u Musiał – w wymiarze metafizycznym.

Poetka dostrzega, że czynnikiem organizującym nasz świat i cały kosmos jest właśnie harmonia. I ona to warunkuje nasze przetrwanie, istnienie na owych „zdjęciach”, które właśnie dzięki harmonii nie ulegną zatarciu i przeniosą nas poza czas, poza śmierć.

### Bogusław Pasternak

Tom *Nad spadzistym brzegiem* Bogusława Pasternaka ukazał się przed trzynastoma laty. Trzydzieści lat to dużo dla poety i jego twórczości. Ale – chcąc być wiernym formule tych omówień – przyjmijmy, że jest on reprezentatywny dla całej twórczości.

Przede wszystkim poeta posługuje się językiem dyskursywnym, „zwyczajnym”, ironicznym. Ten dystans do spraw opisywanych, do sytuacji jest pieprzem tej poezji, może nie tyle konwencjonalnej, co nawiązującej do dobrych wzorców. Pasternak potrafi przekształcać tradycję w nowoczesność. Chociaż... może nie tyle w nowoczesność, bo byłoby to nienaturalne, ale w indywidualny, zanurzony w konkretnie świętokrzyskim (tu autor się urodził, wychował i mieszka) komunikat poetycki, często dosyć mocny:

Nasza prowincja głucha  
Dziura i zadupie

Pobożni parafianie  
Rozmodleni w niedzielę  
Na co dzień scyzoryki

Pomimo całej ironii, prześmiewczości tego wiersza, nie ma tu jadu, nie ma też dydaktyki wykładanej bezpośrednio. Autor ma swoją wizję i realizuje ją. Mówi, jak czuje.

Poezja Pasternaka jest wielowątkowa. Od wierszy opisowych, ironicznych po najczystsza lirykę, pomysłowo i celnie zmetaforyzowaną, przekazującą autorską prawdę. Poeta nie pisze w oburzeniu, nie wykonuje hieratycznych gestów, nie powoduje nim poczucie misji. Bogactwo języka, figur stylistycznych, zmienność frazy – to wszystko sprawia, że poezja Bogusława Pasternaka jest niezwykle ciekawym zapisem świata i osobowości autora.

### Andrzej Piskulak

Godzi się w niniejszym omówieniu uwzględnić tomik Andrzeja Piskulaka *Dąb jak chłop* (2003). Znalazły się tu wiersze, których inspiracją jest dąb Bartek, „tysiącletnie” drzewo z Zagnańska. Jest to głównie poezja opisowa, lecz nie ograniczająca się wyłącznie do portretowania drzewa. W wierszach znajdziemy liczne odniesienia do trwania i przemijania, do tradycji. Dochodzi w nich też do głosu archetypiczne znaczenie Bartka jako alegorii ludzkich losów, czasu, a także piękna, historii, tradycji, wierności. Zauważmy bardzo osobiste relacje pomiędzy dębem a autorem:

Konarzmy sobie tak  
Dąb i ja  
Ja – jeden z dwóch łotrów rozkrzyżowany  
Na ławeczce  
On gestykuje do nieba  
Niezgrabnie gałęziami

To dąb-symbol, umierający nestor-inwalida, a jednak gwarant dobrego trwania wbrew przemijaniu. Tak się jawi Bartek w wierszach



## Z uroczystości 30-lecia Kieleckiego Oddziału ZLP

Stefan Jurkowski – poeta i krytyk literacki z Warszawy omawia twórczość kieleckich literatów



Teresa i Mirosław Bieleńscy prezentują fragmenty poematu Elżbiety Musiał



Na widowni pisarze i zaproszeni goście. Fot. Mariusz Stec



Jan Chruśliński i Elżbieta Musiał



Książki kieleckich literatów prezentowane były w gablotach i na kiermaszu



Ewa Wojtasik i Kazimiera Szczykutowicz. Fot Mariusz Stec



Piskulaka: nie tylko jako mocarne drzewo, ale jako przypomnienie o indywidualnych, uniwersalnych losach nas wszystkich.

### Uta Przyboś

*Stoپیeń*, wydany w 2012 roku, to tom wierszy liczący 129 stron – dużo, jak na książkę poetycką. Jednak wiersze Uty Przyboś są tak zróżnicowane



pod względem poetyckiego zapisu, napięć emocjonalnych, wewnętrznego kolorytu, że ich lektura staje się fascynująca. Poza tym Uta, jako malarka, ma szczególnie wyostrzony

zmysł barwy, kształtu; potrafi w otaczającym świecie dostrzec to, czego nikt nie dostrzega, i przekuć to w poetyckie słowo. Artystka jakby wzbogacała swój twórczy warsztat, i to w dwie strony: w pisaniu korzysta z doświadczeń malarskich, a w malowaniu – z pisarskich. W ten sposób jej dzieła uzupełniają się, tworzą bogatą panoramę skojarzeń, metafor, porównań. Więc czy wiersz jest dużo, czy mało, nie jest istotne. Ważne, że są ciekawe w swojej warstwie formalnej oraz w przesłaniach.

Uta Przyboś jest bardzo oszczędna w słowie, a jej poezja odznacza się skondensowaniem, poddaniem dyscyplinie słowa i wyobraźni. Przytoczmy dla ilustracji skondensowany wiersz *Wśród*:

Wśród dziur czarnych, buchających gwiazd znikania  
oczodoły pełne.

Twardo mój szkielet stąpa po ziemi,  
jednak  
miętko w zwojach utulona tajemnica.

Jaki to plastyczny opis! Można sobie wyobrazić taki obraz namalowany na płótnie. Ale wiersze Uty są namalowane na wyobraźni, na wrażliwości odbiorcy. I widzimy ów szkielet o wypełnionych gwiazdami tajemnic oczodołach. Pokazała tutaj poetka w skrótowy, ale ekspresyjny sposób kondycję człowieka, jego policzony czas, świadomość jego ubywania.

To krótki wiersz. W poezji Uty Przyboś objętość wierszy nie ma znaczenia. Te długie, pisane szeroką frazą, bywają precyzyjne, nie można

ich skrócić albo zmienić. Każde słowo ma swoje miejsce, spełnia zadaną przez poetkę funkcję.

Historia, ludzkie dramaty codzienne, miłość spełniona i nie – oto kręgi tematyczne pojawiające się w tych wierszach, ale za każdym razem inaczej. To cecha całej poezji Uty Przyboś: bardzo precyzyjnej, trudnej, ale jednocześnie bliskiej i komunikatywnej.

### Wawrzyniec Marek Rak

Na chwilę zmienimy nastrój, pochylając się nad *Figlarnymi okrucami* Wawrzyńca Marka Raka. Dość powiedzieć, że autora cechują duże poczucie humoru, absurdu, zmysł obserwacji, śmiałość skojarzeń przy jednoczesnym wyczuciu języka i gry znaczeń. Tego wszystkiego nie da się opowiedzieć. Trzeba przeczytać. Przytoczmy zatem kilka fraszek:



#### Młoda działkowiczka

Ma działeczkę własną  
Troszeczkę przyciasną.  
Marzy wciąż o chłopie,  
Co ją dobrze skopie.

#### Zapatrzony słuchacz

Lubi śpiewy...  
Gołej Ewy.

#### Sługa dwóch panów

Służy Bogu i mamonie,  
Karcąc wiernych na ambonie.

Dowcip, nienaganna wersyfikacja, wielość poruszanych tematów obyczajowych czy erotycznych stawia fraszki Raka w szeregu znaczących dokonań polskiej satyry.

## Irena Stopierzyńska

Wydany w 2010 roku tom *Pod łukami gotyckiej alei* zawiera wiersze konfesyjne, opisowe, często patetyczne:



Stwórcu!  
Darczyńco talentów!  
jakiż stawiasz zadania?  
każdemu przydzielasz  
osobne i nowe

Z pewnością tego typu wiersze znajdą swoich odbiorców, i to jest w tym wszystkim bodaj najważniejsze.

## Kazimiera Szczykutowicz



Poemat jest formą bardzo trudną. Wymaga świetnego opanowania warsztatu poetyckiego, wielkiej dyscypliny formalnej. Kazimiera Szczykutowicz w *Poddanych światłu* wypracowała własny język poetycki, pełen enigmatycznych metafor i znaczeniowych zaciemnień czy też tajemnic:

śmierć zawsze jest młoda  
wszędobylska  
a czas ucieka przed nią  
konieczność w negacji zamknięta  
w trójkątach rośnie  
w przestrzenie ciszy

Cały poemat zajmuje 46 stron. Lektura dla jednych będzie – jak pisze autorka – „bezwymiarrem szczęśliwości”, dla innych przekonaniem, że jednak „świat / nie przystaje do wyobrażeń”.

## Władysława Szproch

W *Siódmym balkonie światła* Władysława Szproch posługuje się językiem potocznym, który to język – często z powodzeniem – stara się upoetyzować. Wiele tu różnego kalibru metafor, ale i oczywistości w rodzaju:

Wszystko już wymieszane  
Sens z bezsenssem

Prawda z fałszem  
Dobro ze złem [...]

Ale kiedy autorka stwierdzi:

Wyludniamy się  
Z samych siebie

– to w takich miejscach zaczyna się jakaś poetycka przygoda. Podobnych „przygód” jest tutaj niemało, i dla nich warto wdrapywać się na *Siódmy balkon światła*.



## Zofia Walas

Na tomik wydany przez poetkę składają się wiersze o miłości, utwory pejzażowe, przewijają się w nim także elementy filozoficzne, refleksja na temat granic ludzkiego poznania. Ale w *Diamentach czasu* przeważają wiersze miłosne, mówiące o uczuciu trudnym, nie zawsze spełnionym; o tęsknocie, rozstaniu, śmierci miłości...



Bez żadnego powodu  
Zabiłeś tę miłość.

Twoje ciosy  
W serce trafiły niechcący.

Los jest ślepy,  
Lecz otwiera oczy.

Dużą zaletą tych wierszy jest ich lapidarność, kondensacja, panowanie nad emocjami, dla których autorka szuka ustawicznie właściwego słowa.

## Ewa Maria Wojtasik

*Ptaki błękitne* – to również tom wierszy o miłości. Tu przedstawiana jest ona w różnych aspektach: duchowym, psychologicznym, ale i zmysłowym. Mamy przejmujące wiersze o utracie, zapomnieniu, nietrwałości wszystkiego na tym świecie. Ale właśnie miłość, obecność (bądź utrata) bliskiego człowieka, które przewi-



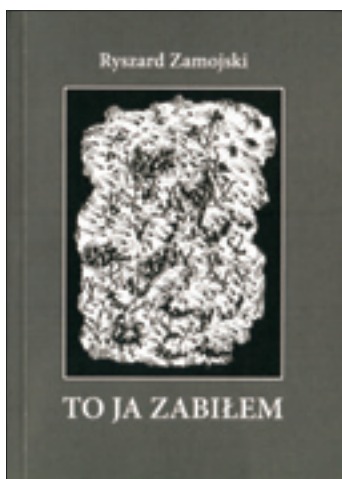
jają się przez utwory Ewy M. Wojtasik, stanowią punkt odniesienia dla refleksji, stają się tworzywem dla metafor, pretekstem dla filozoficzno-egzystencjalnych uogólnień. Zalecają się autentyzmem, wrażliwością, szczerością niebanalnej narracji poetyckiej:

Nie odchodź teraz, proszę.  
Tutaj, przy blasku świateł,  
jest tak spokojnie, bezpiecznie.  
Pogwarzymy o przemijaniu,  
o życiu i o bliskich.

To utwór o dojmującej potrzebie miłości, o wskrzeszaniu przez nią światów, które bądź dawno umarły, bądź oddalają się od nas z szybkością światła. Wiele takich właśnie, refleksyjnych tekstów, poważnych, pozbawionych czułościowości, znajdziemy w tym tomie. *Ptaki błękitne* to książka, w której poetka zgromadziła różne wiersze, ale przecież wielowymiarowe, nieograniczające się wyłącznie do sfery emocjonalnej. Owszem, emocje są tutaj ważne, ale zostały poddane pewnym rygorom i wobec poezji Wojtasik pełnią funkcję służebną.

### Ryszard Zamojski

Tomik Zamojskiego *To ja zabiłem* (2005) jest drugim, poszerzonym wydaniem zbioru z 1990 roku pod tym samym tytułem. Jest to książka reprezentatywna dla twórczości Zamojskiego, pełnej „filozoficznych” i zarazem enigmatycznych



zamyśleń, co autor zapewne utożsamia z wieloznacznością. Podmiot liryczny zwraca się do tajemniczego adresata, lecz nie precyzuje, kim on jest; tu zostawia pole dla interpretacji. Można więc stwierdzić, że chodzi o Absolut,

o Pierwszą Przyczynę, pojęte tu jako byt osobowy, ale też nie do końca. Zabieg ten można odczytać także jako pewną abstrakcyjną, egzystencjalną determinantę. Ktoś lub coś kieruje naszymi losami. Kształtuje naszą tożsamość.

To ja  
Zabiłem Abła  
Zatknałem nieobliczalne miraż bitew  
Rozwijających czarne skrzydła  
[...]  
Rozprzestrzeniłem epidemię  
Zimnej kalkulacji

Czy podmiot liryczny mówi w swoim imieniu, czy też słowa te wkłada w usta Absolutnego Bytu, zwłaszcza że zostaje tutaj przywołany biblijny Abel? W innym wierszu czytamy:

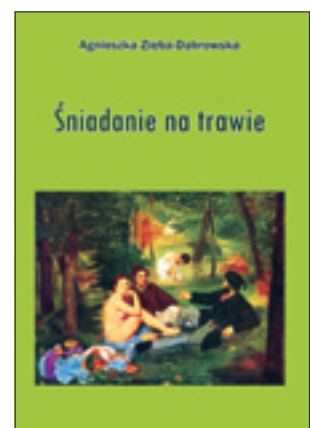
Tu żadnej miary  
Ni prawdy  
[...]  
Ze wszystkich ołtarzy  
zeszło światło

Słowa są zatrute  
A rany nie bolą

To poezja odwołań, pojęć, archetypów. Jednak brakuje w niej konkretności. Nazbyt często wiersze te bywają niczym „Bezwiedne w oszołomieniu wołanie”. Niejednokrotnie odnosi się wrażenie, że cała rekwizytornia, kulturowe odniesienia służą jedynie zamarkowaniu intelektualnej głębi, którą dodatkowo sptyca niedająca się ukryć koturnowość.

### Agnieszka Zięba-Dąbrowska

Mamy oto zbiór wierszy *Śniadanie na trawie*. Tytuł nawiązuje do znanego obrazu pędzla Edouarda Maneta. Nic dziwnego, bo zawiera on wyłącznie ekfrazy inspirowane malarstwem wielkich mistrzów – niekiedy bardzo udane, dobrze korespondujące z obrazem, ale rzadko wykraczające poza jego ramy. Przytoczmy utwór napisany właśnie do *Śniadania na trawie*:



W kostiumie ogrodu  
faluje powietrze  
krągłością owoców  
dyszy obraz lata  
śniadanie na dłoni  
smakuje przygodę  
strumienia nagości  
zastygając wibracją  
męskiego podszeptu

Dodajmy jeszcze, że książka jest bardzo starym wydaniem, w sztywnej oprawie, a dobrej jakości reprodukcje obrazów stanowią jej ważne dopełnienie.

### Iwona Zielińska-Zamora

*Stracić głowę*, to – jak sam tytuł wskazuje – zbiór wierszy miłosnych. Zamieszczone w nim teksty wyrażają różne emocje związane z drugim człowiekiem; obawa, zaufanie, lęk przed utratą, budowanie w jej przestrzeni swoistego azylu – oto główne tematy wierszy Iwony Zielińskiej-Zamory. Autorka szuka odpowiednich środków wyrazu; musi znaleźć nowy język

dla wyrażenia odwiecznych dylematów.

Udaje się jej nieraz odchodzić od narzucającej się czułości, gdy emocje biorą górę (jak np. w wierszu *Rozbieżność*).

### Irena Żukowska-Rumin

W tomiku *Alexandreis* znalazły się utwory o pewnych znamionach poezji epickiej. Dziewięć bardzo długich wierszy układa się w narracyjną całość. To jakby retrospektywne prozy rozpisane na wersy, tu i ówdzie inkrustowane poetyckimi perełkami, w rodzaju:



słabe to pocieszenie, że śmierć mam za sobą  
Że żona wciąż niesie pamięć mego głosu

Utwory te w pewnym sensie nawiązują do poezji tradycyjnej, nawet antycznej, czyta się je do pewnego stopnia z zaciekawieniem, ale później wyobraźnia i wytrzymałość czytelnika topią się w wielostowiu.

\* \* \*

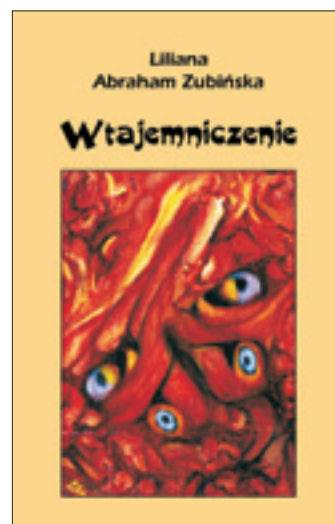
Przedstawione tomy poetyckie miały być swoistymi wizytówkami autorów. Oceniałem je surowo, niekiedy dziwiłem się wstępom i posłowiom na wyrost, moim zdaniem, laudującym książki. Nie było moją intencją, aby kogoś niszczyć, odbierać mu wiarę w siebie, ale też musiałem być wierny swoim własnym, szczerym odczuciom, koncepcji oraz wizji poetyckiej sztuki.

## Cz. II Proza

Tu czeka mnie zadanie trudniejsze, bo utwory prozatorskie są bardziej skomplikowane w odbiorze – aby szczegółowo o nich opowiedzieć, należałoby napisać osobne, analityczne recenzje. Dlatego musiałem dokonać skrótów, uproszczeń, wyłaniać tylko najważniejsze wątki. Oczywiście, siłą rzeczy nie przedstawiam pełnych wizytówek autorów, tylko refleksje dotyczące pojedynczych, wybranych przez nich samych książek. I tutaj również trzymam się porządku alfabetycznego.

### Liliana Abraham Zubińska

*Wtajemniczenie* to zbiór świetnych opowiadań, nagrodzony w Konkursie Literackim im. Stefana Żeromskiego z 2003 r. Autorka ma przede wszystkim talent narracyjny, jest świetną fabularystką. Jej opowiadania są ciekawe, mają swoisty klimat, niekiedy tajemniczy i mroczny.



Jak wszystkie dobre utwory prozatorskie, nie zatrzymują się one wyłącznie na owej warstwie fabularnej. Każde z nich pisane jest „po coś”, niesie ważne przesłania psychologiczne, metafizyczne, egzystencjalne. Autorka rozmawia w nich z samą sobą, nasycza fabułę głęboką refleksją. Wszystko to jest osadzone w realiach współczesnych, w codzienności, a sama fabuła stanowi pretekst nie tylko do opowiedzenia ciekawej historii, ale przede wszystkim do zmuszenia czytelnika do refleksji. Odbiorca musi zastanowić się nad życiem, jego celem, nad własnym miejscem na Ziemi, nad posłannictwem, szczęściem lub nieszczęściem. Wszystko – wydaje się mówić autorka – jest celowe, ma swój sens, choćbyśmy tego sensu dzisiaj nie dostrzegali.

W wielu opowiadaniach dochodzą do głosu elementy eschatologiczne. Są one – w mniejszym lub większym stopniu – ale zawsze nieodłącznym elementem życia. Fascynują, stawiają bohaterów (a także i samych czytelników) wobec sytuacji tyle tajemniczych, co nieuchronnych.

W utworach Zubińskiej nie ma dydaktyki, nie ma też stawiania kropki nad „i”. Pisarka zostawia czytelnikowi miejsce dla refleksji, zaprasza do swoistego „współtworzenia”, umożliwia wielość interpretacji, właśnie dzięki dobrze pojętej wieloznaczności tekstów. A jej świat egzystuje „pomiędzy” – jakby w samym wnętrzu tej prozy. Konkretny i ulotny zarazem.

### Pelagia Borowska

Powieść, a właściwie dwie nowele ściśle ze sobą powiązane, autorstwa Pelagii Borowskiej, to proza społeczno-obyczajowa z pogranicza „małego realizmu”. *Samosiejka* jest książką świetnie



napisaną, z humorem nie tylko sytuacyjnym, ale i humorem słowa, z sarkazmem, bezlitośnie obnażającą blichtr współczesnego świata. Cenna jest tutaj autoironia, dystans do opisywanej rzeczywistości, a nade wszystko – przenikliwy zmysł obser-

wacyjny. Jest w tym i radość życia, i jednocześnie jakiś egzystencjalny smutek. Prozę Borowskiej nasycają emocje, przy czym emocje te są tutaj dyscyplinowane, trzymane przez autorkę na wodzy; poddane kontroli stają się nośne dla przekazywanych refleksji ogólniejszych na temat miłości, życia, cech naszej współczesności.

Za wielki plus można uznać ów dystans i zmysł obserwacyjny – autorka potrafi pewne sytuacje sprowadzić do absurdu, pokazać w groteskowym ujęciu; od realistycznej narracji lirycznej wyjść nagle w stronę ostrej drwiny.

Bohaterowie (a zwłaszcza główna bohaterka) to ludzie z krwi i kości, portretowani bardzo wyraziście, różniący się między sobą charakterami i osobowościami. A to duża sztuka. Zajmująca fabuła, z licznymi odniesieniami do sytuacji obyczajowej, politycznej, dodaje tej prozie żywych barw. Opowieść o losach i przeżyciach kobiety, o jej radościach i smutkach, wątpliwościach i uczuciach staje się barwną, soczystą literaturą o uniwersalnych przesłaniach.

### Jan Adam Borzęcki

Trudno zakwalifikować *Mniszkę. Opowieść sandomierską*, ale czy trzeba koniecznie utwór literacki ustawiać w jakichś kontekstach czy kategoriach? Dla mnie jest to proza, którą nazwać można opowieścią eseistyczno-fabularną. Autor wiele pisze tutaj o miłości, tolerancji, Bogu i bogach, religiach, kulturze duchowej, sztuce, filozofii...

Narrator, zafascynowany urodą i osobowością pewnej zakonnicy imieniem Konstancja, nawiązuje z nią kontakt, prowadzi osobliwy dialog na tematy teologiczne, sensu dziewictwa i życia zakonnego, intelektualnego dojrzewania, która to dojrzałość chroni przed nadmierną wiarą we własną mądrość, a jednocześnie przed bezkrytycznym przyjmowaniem „pewników”, nawet jeśli byłyby to dogmaty.

„Eseistyczna” warstwa jest tutaj nader obfita. Rozważania te, aczkolwiek filozoficzne,



podrzyte są erotyzmem. Narrator powraca do swojej przeszłości, ilustrując w ten sposób określone ludzkie reakcje, albo lepiej: egzemplifikując uogólnienia, powołuje się na własne doświadczenie. Pokazuje, w jaki sposób ulegać może metamorfizie ludzka osobowość. Przykładem jest tutaj Konstancja, zakonnica, bardzo inteligentna, wrażliwa, atrakcyjna i budząca pożądanie kobieta, w której narrator zdążył się zakochać.

Borzęcki napisał osobliwą powieść. Organizuje ją nie fabuła, nawet nie sandomierskie tło, a eseistyczna narracja. Wątki fabularne są jej poddane. Lektura tej prozy stanowi pewną przygodę intelektualną. I nie myślm, że nie jest to literatura pełna napięć. Przeciwnie, jest. Rozważania ściśle łączą się z fabułą, przechodzą w dialog, sięgają konkretnych sytuacji, aby znowu rozwijać się eseistycznym trybem. Nie sposób zatem nie dostrzec oryginalności i niepowtarzalności tego utworu.

### Jan Chruśliński

*Starość zaczęła się wczoraj* to powieść poruszająca istotną problematykę egzystencjalną. Oto bohater dowiaduje się, że jest chory na raka. Przewartościowuje zatem swoje życie, inaczej ustawia hierarchię wartości, zaczyna jednoczyć się z naturą, snuje refleksje na temat kruchości życia. Ta narastająca świadomość przemijania staje się tutaj dla bohatera siłą, która pozwala mu przetrwać.



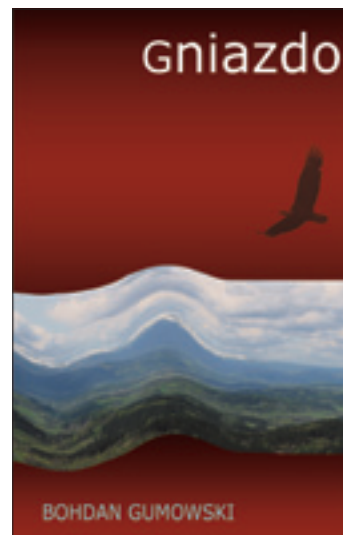
Jest to proza bardzo oryginalna, ciekawie skonstruowana. Autor dał świadectwo bardzo dobrego opanowania warsztatu powieściopisarskiego oraz znajomości ludzkiej psychiki. A wyostrzony zmysł obserwacyjny pozwolił mu na przekonujące, ciekawe kreowanie żywych, pełnowymiarowych postaci.

Można powiedzieć, że pomimo sytuacji, w których znajduje się bohater powieści, jest to utwór, który w gruncie rzeczy jest optymistyczny, pokazuje bowiem, jak można przewycięzać nawet najbardziej traumatyczne chwile. Ale bohater powieści Chruślińskiego się nie poddaje, a to

jest warunkiem osiągnięcia co najmniej połowy sukcesu. Całość napisana jest bardzo sprawnie, ciekawie zarówno pod względem filozoficznym, jak i fabularnym, kompozycyjnym.

### Bohdan Gumowski

*Gniazdo* Gumowskiego zawiera siedem opowiadań i trzy słuchowiska radiowe. Mamy więc do czynienia z dwiema formami literackimi, a cała książka stanowi reprezentatywną próbkę twórczości omawianego autora. Istnieje zresztą wiele pokrewieństw pomiędzy prozą a słuchowiskiem radiowym. Gdyby inaczej zaznaczyć dialogi i wprowadzić odautorskie komentarze, słuchowisko zamieniłoby się w prozę, i na odwrót.



Opowiadania Gumowskiego są ciekawie napisane; mówią o ludziach, o ich problemach. Bohaterowie znajdują się w określonych, niekiedy ekstremalnych sytuacjach, nie zawsze znanych przeciętnemu czytelnikowi. Współczesny młody odbiorca nie jest np. w stanie wyobrazić sobie przestępstwa wszechwładnego UB. Ale reakcje bohaterów, ich stany psychiczne pozostają wspólne, uniwersalne.

Prozy mają niezaprzeczalne wartości poznawcze, pisane są ciekawie, wartkim językiem. Tak jak i słuchowiska, które – choć rządzą się innymi prawami – „przełożone” na prozę, czyli czytane, są również utworami na wskroś wartościowymi.

### Henryk Kawiorski

Pisarz ten, związany z regionem świętokrzyskim, z Poniem, w miejscu swojego urodzenia osadził akcję powieści *Mgła i ogień*. Kawiorski – dobry stylist i świetny obserwator, obdarzony poczuciem humoru – kreuje wiele nietuzinkowych, żywych postaci, które przewijają się na kartach tej książki.

Użył autor ciekawego zabiegu. Wykreował oto bohatera, reportera Brunona Żonia, redaktora regionalnej gazetki, który jedzie do miejsca



urodzenia samego Kawiorskiego, aby to miejsce dokładnie opisać. Mamy tu refleksję nad przeszłością, teraźniejszością, poznajemy całą galerię typów ludzkich. A wszystko to z nieodzowną dla dobrej prozy domieszką humoru. Akcja toczy się wartko, na uwagę zasłu-

gują także bardzo dobrze skonstruowane dialogi. *Mgła i ogień* to zajmująca lektura zarówno dla czytelników, którzy regionu świętokrzyskiego nie znają, jak i dla rdzennych mieszkańców, spędzających tam swoją codzienność. Myślę, że powieść ta powinna wyjść daleko poza regionalne granice.

#### Dariusz Kaźmierczak

*Wysiedleni* Dariusza Kaźmierczaka mówią o poniewierce polskiej dziewczyny wysiedlo-



nej wraz z rodziną z Polski do Francji okupowanej przez hitlerowców. Temat ciekawy i wart poruszenia, dlatego czyta się tę książkę zwracając uwagę głównie na jej walory poznawcze. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie stylistyczne dole-

gliwości. Nie każda opowieść, choćby dramatyczna i najciekawsza, od razu staje się w pełni literaturą. Tak bywa z *Wysiedlonymi*, kiedy czytamy takie na przykład zdania: „Gdy dorodne piersi dziewczyny wypłynęły na wierzch, wyszczerzył zęby”. Miało to być opis ohydny gwałtu na polskiej dziewczynie, dokonany przez Niemca. Niestety, tego rodzaju zdania budzą jedynie uśmiech, zamiast oddawać grozę sytuacji.

Albo – to dalszy ciąg tego samego zdarzenia: „Aniela uchwyciła nóż. Gdy na niebie przetoczyła się kolejna fala ognia, a Niemiec omal nie roze-

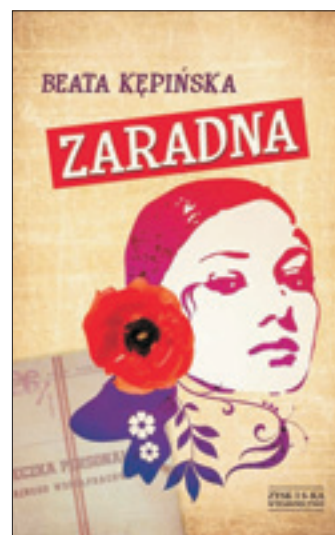
rwał jej majtek, uniosła do góry ostrze i wbiła w klatkę napastnika”.

Podobnych niezręczności jest tutaj niemało. Przytoczę jeszcze jeden przykład, ale tylko ze względu na imię postaci: „Pewnego razu, gdy poszła do stodoły po siano dla królików, niespodziewanie znalazł się w niej Stefan. Zaszedł ją od tyłu, objął w pasie i mocno przytulił do siebie.[...] Chwilę później o mało nie doszło między nimi do większego zbliżenia”.

Także pomiędzy mną a tą prozą nic nie zaiskrzyło...

#### Beata Kępińska

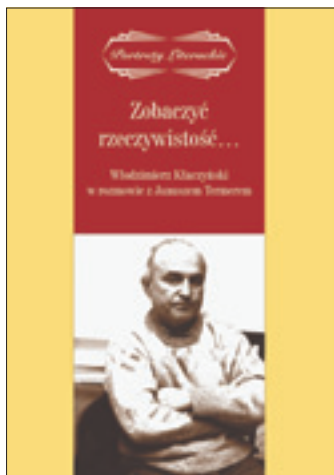
Autorka *Zaradnej* to bardzo dobra fabularystka. Powieść napisana jest z rozmachem, jej akcja biegnie dwutorowo. Bohaterka wspomina swoje życie, burzliwe, uwikłane w różne, niekiedy niebezpieczne sytuacje. Dziś walczy z chorobą, staje się innym człowiekiem, przechodzi wewnętrzną metamorfozę, choć wcześniej żyła jakby w odmiennym świecie, w którym liczyła się atrakcyjność, dążenie do dobrobytu, nawet za cenę współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa. To choroba doprowadziła bohaterkę do decyzji o przewartościowaniu swojego życia.



Powieść jest bardzo przekonująca od strony psychologicznej, napisana bez „tezy”, pokazuje w sposób naturalny wewnętrzne zmagania bohaterki. Choć książka liczy bez mała czterysta stron, czyta się ją z zaciekawieniem. Konsekwentnie skomponowana, pokazuje galerię typów ludzkich, a główna bohaterka wypada tutaj bardzo autentycznie. Z pewnością jest to utwór znaczący i wzbogacający panoramę literacką, nie tylko kielecką.

**Włodzimierz Kłaczyński** w rozmowie z Januszem Termerem

Tytuł książki dobrze odzwierciedla jej zawartość: *Zobaczyć rzeczywistość...* Jest to wywiad-rzeka ze znanym, świetnym pisarzem prze-



prowadzony przez Janusza Termera – znawcę literatury, eseistę, członka Zarządu Stowarzyszenia Kultury Europejskiej (SEC).

Znakomita rzecz – i obaj panowie mają w tym udział: Termer formułując pytania, zaś Kłaczyński – odpowia-

dając na nie z pełną erudycją, ale i humorem. Rozmawiają więc o literaturze, sztuce, umiłowaniach pisarza, o jego poglądach filozoficznych i politycznych, ale raczej w perspektywie historycznej, o ekonomii, widzeniu świata, o jego twórczości, współpracy z telewizją... Słowem, o wszystkim, co przeżył i czego dokonał Kłaczyński w całym swoim życiu – a ma on o czym opowiadać jako świadek wielu wydarzeń, urodzony w roku 1933. Jest to niezmiernie ciekawa książka, wielowarstwowa, dostarczająca wiedzy o czasach dawniejszych, a także współczesnych, w których należy odnaleźć swoje miejsce; książka o życiu i twórczości znakomitego pisarza, niestety nie dość docenionego przez krytykę.

### Grzegorz Kozera

Grzegorz Kozera wie, jak należy pisać, jak przykuć uwagę czytelnika; jak prowadzić fabułę wartko, zabarwić ją sensacyjnością, jak grać z wyobraźnią odbiorcy. Te umiejętności z powodzeniem wykorzystuje i w powieści *Berlin, późne lato*. Jest to historia niemieckiego pisarza, który złamał pióro, kiedy nazisci doszli do władzy.



Ale w 1943 roku zaproponowano mu pracę nad scenariuszem filmu propagandowego. W tym czasie poznał Polkę poszukiwaną przez gestapo, uciekinierkę z obozu koncentracyjnego – i od tego momentu zaczynają się jego perypetie, niekiedy dość dramatyczne.

Narracja prowadzona jest żywo, większość postaci – wyrazista, fabuła – niemal sensacyjna. Mówiąc najprościej: dobrze się to czyta. Jednak *Berlin, późne lato* przykuwa uwagę przede wszystkim samą akcją, jak każda literatura tego typu.

### Elżbieta Kwasowska-Jachimowska

Sama autorka zwierza się w książce *Gdzie jest smok*, że inspirowała się legendami z dzieciństwa. Mamy więc tutaj legendy

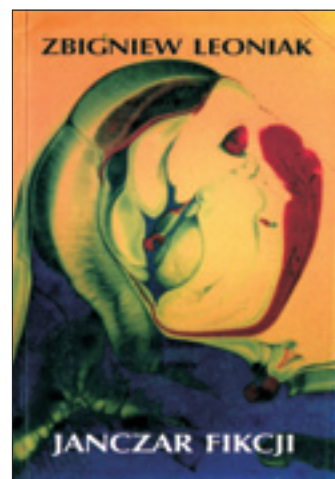
m.in. o smoku wawelskim, warszawskiej syrence, bazyliuszku, pierścieniu Kingi... Jednak nie są to proste streszczenia, powielanie motywów ogólnie znanych. Owszem, nawiązuje autorka do tamtych opowieści, ale daje własne

ich interpretacje, prowadzi do – niekiedy zaskakujących – puent, niejednokrotnie odchodzi od XIX-wiecznych opracowań Lucjana Siemieńskiego, Kazimierza Władysława Wóycickiego czy Artura Oppmana. Okazuje się, że to, co wydaje się nam znane, kryje w sobie nieodkryte bogactwo znaczeń. Elżbiecie Kwasowskiej-Jachimowskiej udało się dotrzeć do owego bogactwa. Jej książka godna jest polecenia jako lektura dla dzieci. A może nie tylko?



### Zbigniew Leoniak

Proza Zbigniewa Leoniaka jest niewątpliwie trudna w odbiorze. Niekiedy zawikłana, czasami sprawia wrażenie wręcz bełkotliwej, w istocie taką nie jest. Konsekwentnie i świadomie skomponowany, wielowątkowy, pełen odniesień kulturowych, jest *Janczar fikcji* powieścią współczesną, przy czym owa współczesność osadzona zostaje pomiędzy przeszłością a przy-





szłością, wskazuje na pewną ciągłość tradycji; na ewolucyjny charakter rzeczywistości, niezależny od naszych działań, chęci, życzeń. Jest to w gruncie rzeczy syntetyczna opowieść o dziejach ludzkości, wskazująca na jej wzloty, upadki, urojenia, marzenia.

To proza klarowna w swoich skomplikowaniach, choć przecież świat, dzieje, sam człowiek – jakież to niepojęte „mechanizmy”! W miarę lektury akcja wciąga, zaciekawia, niekiedy olśniewa wizjami oraz trafnością interpretacji. *Janczar fikcji* niewątpliwie należy do pozycji znaczących.

### Teresa Ewa Opoka

Powieść Teresy Opoki *Żona psychopaty* jest głębokim studium psychologicznym kobiety dręczonej przez bezwzględnie sadystę, który



traktując żonę jak swoją własność, jak rzecz. Swoje psychopatyczne skłonności mąż ujawnia dopiero po ślubie. Znajomi nawet nie przypuszczają, że ten czarujący człowiek w domu zamienia się w wyrafinowanego potwora.

Jest to powieść wstrząsająca, pokazuje niewyobrażalne cierpienia psychiczne ofiary. Ale bohaterka pragnie wyrwać się z tego zaklętego kręgu. Podejmuje dramatyczną, nierówną walkę z psychopatycznym mężem, ale i z sobą samą.

Rzecz napisana ze znajomością psychologii, ciekawa od strony fabularnej, poruszająca ważny temat społeczny. Jednocześnie powieść ta jest świetna od strony literackiej, trzyma w napięciu, emocje są tutaj dawkowane z umiarem, co potęguje napięcie. Dodajmy, że utwór spełnia dwojaką rolę: pozwala czytelniczkom (ale i czytelnikom, ponieważ to działa w dwie strony) znajdującym się w podobnej sytuacji utożsamić się z bohaterką – co niesie pewnego rodzaju ulgę, ale także ośmiela do walki o siebie. Wskazuje, że sytuacja podobna wcale nie musi być beznadziejna, jeśli tego nie chcemy. Powieść bardzo sugestywna, prawdziwa, świetnie napisana.

### Irena Paździerz

Irena Paździerz zaprezentowała stustronicowy zbiór *To się zdarza*, zawierający dziewięć opowiadań. To proza charakterystyczna dla tej autorki: bardzo gęsta, pisana ostrym, soczystym językiem, niepozbawiona poczucia humoru.

Każdy z zamieszczonych tutaj utworów nie tylko jest migawką z życia bohaterów, ale ma liczne



odniesienia także ogólniejszej natury. To swoiste przypowieści, moralitety, sięgające dylematów egzystencjalnych, filozoficznych – tak można ogólnie scharakteryzować te opowiadania. Ale to nie wszystko. Nie ma tutaj narzucającej się dydaktyki, a fabuła poszczególnych tekstów, przecież krótkich, trzyma w napięciu. Irena Paździerz pokazuje zwykłych ludzi mówiących swoim, naturalnym językiem; niekiedy są to osoby o tradycyjnej mentalności. Ale autorka zawsze sięga do głębokich pokładów osobowości, do – rzecz by można – korzeni poszczególnych istnień. Czyni to w sposób zupełnie naturalny, prawie niewidoczny, a dzięki temu jej proza staje się wielowymiarowa.

Mówi autorka o licznych słabościach ludzkich, ułomnościach, wrażliwościach, potrzebie wiary, o jej utracie. Unika jednak patosu i martwej retoryki. Trafne obserwacje, dystans, wycucie – zaskakującej niekiedy – ludzkiej psychiki, umiejętność kreowania żywych, a nie papierowych postaci – to wszystko stanowi walor tej prozy: wieloznacznej, inspirującej, pytającej o losy człowieka, o sens życia w perspektywie doczesnej i eschatologicznej, ale niedającej żadnych gotowych odpowiedzi, nieposiłkującej się gotowymi, łatwymi formułkami.

### Paweł „DarkAraghel” Rejdek

Autor doskonale konstruuje sensacyjną fabułę, potrafi budować napięcie, konsekwentnie prowadzić akcję – aż do zaskakującego końca. *Pasja* jest prozą dobrze napisaną w ramach swojego gatunku. To powieść rozrywkowa, barwna, intrygująca. Jej bohaterowie obdarzeni



stycyjnej modzie? Przecież ostatnio brakuje nam dobrego polskiego kryminału.

### Barbara Sierakowska

W *Odcieniach samotności* znajdziemy opowiadania pisane w różnych latach. Rozrzut



jest duży: od roku 1968, poprzez rok 1971, aż po pierwszą połowę minionej dekady XXI wieku. Opowiadania te stanowią osobliwe literackie studia psychologiczne, łączące się w kompozycyjną całość. Zbiór jest spójny i czytelny, pomimo odrębności realiów. Zresztą autorka w bardzo wielu opowiadaniach odwołuje się do scen retrospektywnych, przenosi akcję do przeszłości. Uzasadnia to, tłumaczy wydarzenia dziejące się na pierwszym planie (bardzo ciekawy zabieg, dzięki któremu utwory nabierają innej perspektywy, stają się panoramiczne i pełniejsze). Przestrzeń i czas są bardzo istotne dla tej prozy, niezwykle bogatej stylistycznie.

Autorka pokazuje losy różnych ludzi, często dla nich dosyć dramatyczne. Niekiedy – paradoksalnie – dramatyczne poprzez swoją zwyczajność i szarość. Samotność, niespełnienie i tęsknota za szczęściem – to jakże częste motywy opowiadań Sierakowskiej, pozbawionych czułościowości, napisanych bardzo zdyscyplinowanym, barwnym językiem. Jednakże realia są tutaj drugoplanowe, stanowią swoisty „stelaż” dla samej akcji oraz przesłania utworu. Sierakowska nie pisze

zostali wyrazistymi osobowościami. A to już dużo – jeśli weźmiemy pod uwagę zalew tego typu literatury zagranicznej. Mam jednak – właśnie dlatego – pytanie do autora, dlaczego akcję swojej powieści osadził w realiach nowojorskich. Czyżby uległ jakiejś snobistycznej modzie? Przecież ostatnio brakuje nam dobrego polskiego kryminału.

wyłącznie po to, aby opowiedzieć jakąś historię. Dzięki historii kreśli bowiem wewnętrzne dramaty, radości, przeżycia swoich bohaterów, których pokazuje poprzez działanie, dialog, emocje. Sama „zewnątrzna” fabuła (aczkolwiek ciekawa) wydaje się tutaj drugorzędna. Autorka ukazuje raczej stany wewnętrzne swoich bohaterów, a cała rzeczywistość ich otaczająca to tylko nieodzowne tło, na którym rozgrywa się akcja tych bardzo ciekawych opowiadań.

### Małgorzata Anna Spychaj

Autorka zaprezentowała dwadzieścia jeden opowiadań w skromnym, liczącym 58 stron tomiku, noszącym tytuł *Kopciuszek na Manhattanie*. Są to właściwie



miniatury prozatorskie, będące pokłosiem podróży do Nowego Jorku. Bezpretensjonalne, niepretendujące do wielkiego znawstwa Ameryki, pokazują tamtejsze realia poprzez osobiste, jednostkowe doświadczenie autorki, bezsprzecznie obdarzonej wyostrozonym zmysłem obserwacyjnym i poczuciem humoru. Kończące zbiorek opowiadanie – noszące tytuł właśnie *Kopciuszek na Manhattanie* – stanowi swoistą charakterystykę całości. Oto bohaterka, raz olśniona „wielkim światem”, raz przerażona, to znowu mile zaskakiwana przez spotykanych ludzi i sytuacje, opowiada o wszystkich przeżyciach z porażającą szczerością. I to stanowi główny atut tych utworów, unikających jakichś wielkich uogólnień i podsumowań.

### Tadeusz Wiącek

Bardzo oryginalna, niekonwencjonalna jest powieść Tadeusza Wiącka *Marionetki*. Akcja rozgrywa się od roku 1944 aż do 2003. Opowiada o losach i perypetiach dwóch mężczyzn, których życiorysy zostały zdeterminowane przez politykę i historię. Jeden z nich działał w partyzantce AK, drugi w AL na terenach Kielecczyny. Ich późniejsze losy – z racji tej przynależności – potoczyły



się zatem w różny sposób. Nie czas i miejsce, by streszczać tę powieść, bo nie o to tutaj chodzi. Chcę zwrócić uwagę na bardzo ciekawy zabieg stylistyczny. Oto perypetie obu bohaterów pokazane są w tych samych latach. Np. Józef

w 1944, potem Marian – również w 1944. I tak na zasadzie osobliwej przekładanki. Nie jest to jednak ciągłość lat, tylko wybrane daty, np. 1994, 2003; a więc narracja prowadzona jest z kilkuletnimi przerwami, zawsze jednak równolegle.

Ta – nazwijmy to – podwójność akcji „rozszerza” ją, pokazuje dwóch głównych bohaterów w sytuacjach odrębnych, co z kolei pozwala autorowi na wzbogacenie powieści o różnorakie wątki obyczajowe, społeczne; na stworzenie ciekawych i przekonujących portretów psychologicznych. Nie brak tu również elementów sensacyjnych, a także komediowych. To bardzo dobra, oryginalna proza, umykająca wszelkim konwencjom.

### Maria Włodno

Pisanie dla dzieci jest zadaniem bardzo trudnym. Maria Włodno poradziła sobie z owym wyzwaniem pisząc *Ucznia profesora Cyrusa*. To baśń ukazująca przygody szczurka Gucia, który wybiera się do Warszawy w poszukiwaniu cudownego leku dla brata. Opowieść ta, o pełnej zwrotów akcji, chwilach niekiedy dramatycznych, to znowu śmiesznych, przeznaczona jest głównie dla bardzo młodego czytelnika, ale potrafi zainteresować i dorosłego. Przepojona

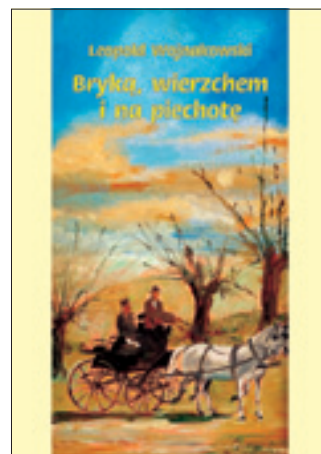


empatią, naznaczona nienarzucającym się dydaktyzmem, stanowi ciekawą i pożyteczną lekturę.

Wycucie kompozycji, humor, pogodna narracja – to, ogólnie mówiąc, najistotniejsze cechy tej opowieści Marii Włodno.

### Leopold Józef Wojnakowski

Proza Leopolda Wojnakowskiego sytuuje się w tzw. nurcie wiejskim. To scenki z życia polskiej prowincji, podpatrzone przez autora, a potem barwnym i dosadnym językiem opisane. Uwagę przykuwa tutaj pewna „egzotyka”: ktoś, kto nie zna wsi, zostaje wprowadzony w jej życie, w mentalność ludzi, ich zwyczaje. Przewijające się poprzez



karty opowiadań postaci są zarysowane przekonująco, żywo; są obdarzone wadami, zaletami, oryginalnymi charakterami. Widać w tej prozie humor, autentyzm, sentyment, z jakim autor podchodzi do poruszanych tematów. To główne walory opowiadań Wojnakowskiego, w których najważniejszy wydaje się być sam opis sytuacji, a nie dalej i głębiej idące uogólnienia. Jednak podobnej prozy było i jest wiele.

### Tadeusz Zubiński

Ma rację Tadeusz Zubiński, że właśnie *Opowieści wrzosowskie* wybrał jako książkę reprezentatywną dla swojej twórczości. Tu bowiem widać najwyraźniej właściwy dla tego pisarza rozmach epicki, swoiste podejście do języka, próby odświeżania go i wyzwalań z konwencjonalnych prawideł.

Akcja poszczególnych opowiadań (rozgrywająca się na przestrzeni dziewięćdziesięciu lat) osadzona jest w rodzinnym miasteczku autora – Suchedniowie. To panoramiczny obraz tego miejsca – od początków XX wieku aż po lata dziewięćdziesiąte.

Autor nie oszczędza swoich autentycznych bohaterów, często członków własnej rodziny. Czyni to w sposób bezpardonowy, ale niepozbawiony humoru. Wytyka ich wady, niejednokrotnie w sposób – rzecz można – brutalny. Przewija się tutaj cała



galeria typów: mieszczenie, Żydzi, chłopci, duchowni. To bardzo gęsta, naszpikowana znaczeniami proza, ciekawie skonstruowana. Zubiński jest świetnym fabularystą i baczny obserwatorem.

A ponieważ ta wielowarstwowa opowieść została – jak mówiłem – osadzona w realiach suchedniowskich, znakomicie autorowi znanych, zyskuje na autentyczności, na topograficznej wierności, na swoistym klimacie, który mógł uchwycić i odtworzyć tylko ktoś, kto jest tak bardzo zrośnięty z regionem. Trzeba powiedzieć, że te osobliwe, świetnie napisane historie to znakomita literatura.

\* \* \*

Zdaję sobie sprawę ze skrótości niniejszego omówienia, właściwie tylko notek o książkach

autorów kieleckich. Formuła mojego wystąpienia była taka, aby słów kilka powiedzieć o książce, którą sam autor uznaje za najlepszą, najbardziej reprezentatywną dla swojej twórczości. Dlatego nie odniosłem się do całościowego dorobku odnotowanych tutaj pisarzy – zresztą nie sposób by było analizować dokładnie poszczególne utwory.

Również wiem, że niektóre moje oceny (zwłaszcza te, z którymi autorzy się nie zgadzają) mogą mieć do pewnego stopnia charakter subiektywny, ale jest to nieuniknione.

Tekst ten niech raczej będzie zaczynem rzeczowej dyskusji o literaturze regionu świętokrzyskiego, jak i polskiej w ogólności.

*Stefan Jurkowski*

**Anna Andrych**

## Przykład poezji, która oddziałuje

Obok wielu spotkań literackich i promocji książek w Domu Literatury w Warszawie, to wydarzenie utwierdziło mnie w przekonaniu, jakże wysublimowana, trudna i inna jest poezja Elżbiety Musiał. Nie mieści się w granicach „powszedniej” uwagi czytelnika. To poezja warta głębszego nad nią zastanowienia, wymaga wręcz wniknięcia pod powierzchnię słów i wydobywania doznań nie do zapomnienia.

Lutowa promocja dwóch książek Elżbiety Musiał odbyła się z udziałem prof. Andrzeja Zieniewicza, Aldony Borowicz i Andrzeja Wołosewicz<sup>\*)</sup>. Obecny był także Stanisław Nyczaj z Oficyny



Promocja w warszawskim Domu Literatury. Od lewej: Andrzej Zieniewicz, Elżbieta Musiał, Aldona Borowicz, Andrzej Wołosewicz. Fot. Anna Andrych

Wydawniczej „STON 2” w Kielcach, który był wydawcą tych pozycji i mówił o tym z satysfakcją. Spotkanie prowadził prezes Zarządu Głównego ZLP Marek Wawrzkievicz. Wiersze czytała (znakomity przekaz) Krystyna Czubówna, a Michał Zapała na strunach gitary malował dyskretne tło pomiędzy głosami wyżej wymienionych.

Uprawiała malarstwo sztalugowe, aktualnie grafikę komputerową. A czym jest dla Elżbiety Musiał poezja? Jaką jest poetką? Z pewnością szuka siebie, chociaż to nas przede wszystkim wprowadza do swoich poematów i przekonuje, że warto poznać je aż do rdzenia znaczeń, do trzewi słów. Odwołuje się do filozofii i wielkich dzieł literackich, ale pisze przede wszystkim sobą, własnymi doświadczeniami, odczuciami i przemyśleniami. Wczytując się w poematy, wchodzimy w głąb obrazów łączących elementy sztuki, filozofii, etyki. Żywy, poetycki język autorki wpi-





suje się jednocześnie w naszą codzienność, odślania również okrucieństwo świata. Zaskakuje dzięki metaforyce i nowatorsko ukazanej warstwie refleksyjnej. Nowe wiersze zebrane zostały w tomiku *Ja, o jednym imieniu*. Natomiast poematy były już znane, ale wydane pod wspólnym tytułem *3 poematy* nabierają większej mocy, głębi i siły przekazu. Są bowiem poetycką triadą, tryptykiem.

Wiersze poetki można omawiać w przeróżny sposób i nie da się w kilku słowach streścić tego, co one nam przekazują.

Nie wsłuchuj się w kartkę papieru, nim upadnie  
[na nią słowo.  
Powie to, czego nie chcesz usłyszeć.  
Wsłuchuj się we własną klęskę.  
Odłoni więcej, niż byś chciał.

(*Ja, o jednym imieniu*)

Profesor Andrzej Zieniewicz zauważył, że największym problemem poetów jest połączenie obrazu i myśli. Obraz grawituje w kierunku symbolu (do rdzenia słowa), myśl oddzielnie biegnie. A Musiał potrafi opowiadać pełnią poetyckiego obrazu. Autorka myśli poematami. Stąd kolejno ukazywały się: *na śmierć zegarka, przejechanego zimą przez samochód*, *Na zdjęciu wciąż żyjemy i Ars moriendi, czyli podręcznik czynności nieużytecznych*. Poetka dotyka w nich czasu, także pozaziemskiego, kosmicznego i tego, którego nie potrafimy poznać ani zrozumieć.

Pierwszy z poematów to elegia na cześć przejechanego (w sensie dosłownym) zegarka. Zegarek wyznacza tu czas i rytm biologiczny autorki. W drugim poemacie czas rozpięty jest pomiędzy tym, co zapisała nawet odległa historia a współcześnie dziejącymi się zdarzeniami. Natomiast zdjęcie, na którym wciąż żyjemy, zatrzymuje

nasz czas, naszą własną, prywatną kronikę życia. Trzeci poemat odnosi się do śmierci.

Minął rok, kiedy miałam w dłoniach wydruk komputerowy *Ars moriendi*. Wtedy z powodów osobistych nie byłam w stanie go czytać. Sama byłam uwikłana w poznawanie śmierci – niejednej w krótkim czasie (znowu ten czas), obcowanie z nią i rozpaczliwy krzyk niezgody na jej panowanie. Musiałam oswoić się najpierw z perspektywą, z której łatwiej przyjdzie mi zaglądać w oczy słów autorki *Ars moriendi*, własnych emocji i przemyśleń. Poemat jest przejmujący. To rozprawa na temat egzystencji i przemijania. Temat trudny, dlatego poetka dla ulżenia czytelnikowi pozwoliła sobie na groteskę i pewien humor. Jest to także zapytanie, po co zostaliśmy stworzeni, co robimy w tym świecie.

Aldona Borowicz zwraca uwagę, że wszystkie poematy E. Musiał są przepełnione miłością, jej głębią, próbą zrozumienia ciągłości czasu i miłości właśnie. Jak mówi sama poetka, język poezji wydaje się być najbardziej precyzyjny do wyrażania zjawisk niedefiniowalnych, niewyobrażalnych, tajemniczych. W pierwszym poemacie frapowała Elżbietę Musiał definicja czasu, postanowiła rozprawić się z tematem. Kiedy zaczęła pisać drugi poemat, stwierdziła, że jednak jeszcze nie uporała się z jego pojęciem. Postanowiła temat rozszerzyć, rozpiąć jak horyzont. I otwiera na koniec kosmos. Czy czas „tam” ma być bezużyteczny? – pyta w poemacie. Wydawca książek E. Musiał Stanisław Nyczaj przekonuje, że trzeba otworzyć się na interpretację. Chociaż lektura budzi dreszcze, to przecież odkrywa wiele spraw tajemnych, ukazuje nam perspektywę dalszą.

Powróćmy na chwilę do poematu *na śmierć zegarka przejechanego zimą przez samochód*. Autorka znajduje zimą na śniegu, od którego kostnieją ręce, w samochodowej koleinie, mały, damski zegarek. Podnosi go i przeżywa wstrząs. Jakby ją wyrwano ze snu i otworzyły się wrota przepaści. Jak zauważył w Po-słowie do poematu Krzysztof Gąsiorowski, czas, z którym dotąd pozostawała w zażyłości, w psychofizycznej równowadze nagle ruszył, porzucając ją oniemiałą, na pustyni życia. Mały, damski zegarek o czymś gestykuje wskazówkami, coś jej nadaje tajemniczym alfabetem migowym. A ona ma odpowiedzieć na to wezwanie, czy wyzwanie. Okazuje się więc, że tętni w nas jeszcze jakiś inny puls, intruz, jakieś nie-ja, a my realizujemy się

dopiero jako byt ku śmierci. Żyjemy – bo umrzemy, żyjemy – bo umieramy. Punktem wyjścia jest tytuł wierszyka Gałczyńskiego. Zestawienie jest przewrotne, aura emocjonalna symboliki motyla kłóci się z symboliką zegarka. Motyl to ulotność, chwila, beztroska i barwna kolorystyka. Zegarek – to przyrząd bezduszny, we własnym porządku i trwaniu. E. Musiał próbuje w poemacie „pojąć to niepojęte przez nieuchronne” (J. Żernicki), bo wszystko jest już przesądzone. „Zegarek” był pisany z przerwami przez półtora roku. Autorka przywołuje w tym utworze Eliota i kilku poetów, także polskich (Żernicki, Waśkiewicz).

*Na zdjęciu wciąż żyjemy* – zdjęcie to obraz, przypomnienie, utrwalenie w naszej wyobraźni i pamięci. Także w pamięci kolejnych pokoleń. Nawet po śmierci fotografia jest przed nią ocaleniem. W tym poemacie historia przeplata się ze współczesnością. Są także ślady zdarzeń tragicznych, np. ostrzelanie afgańskiej wioski przez polskich żołnierzy. Oczywistym jest, że takie działanie człowieka powodujące śmierć i zniszczenie, prowadzi do destrukcji. Ale ten poemat mówi także o obcowaniu z ludźmi sztuki, kultury i filozofii oraz dziełami ich myśli i pracy. Podmiot liryczny nawiązuje z nimi kontakt, za ich pośrednictwem staje się sam artystą. „Dotykać skóry, ale tak, jak fresku Rafaela. A potem milczeć, jakby się szło przez cmentarze”. Człowiek w swoim dziele jest prawdziwy i trwały. Musiał często przywołuje w tym poemacie Giordano Bruno. Odnosi się także do Rafaela, Świrszczyńskiej, Salvadora Dali, Freddiego Mercury’ego, Dudy Gracza, Garcii Lorki, Gauguina, Gąsiorowskiego. Postaci, które tu się pojawiają, nie wprowadzają chaosu. Łączy je poczucie wartości ludzkiej myśli, ale też i działania (rzeź w Afganistanie). Tak więc w pamięci i historii pozostanie zarówno czyn nikczemny, jak i wolne, odkrywcze myśli oraz piękne, trwałe i wartościowe dzieła sztuki.

Przypisy, licznie zastosowane w poematach przez poetkę, swoiste didaskalia, nie rozpraszały uwagi – przeciwnie – wzmacniają warstwę poznawczą utworu, uzasadniając np. użycie dat, postaci, pojęć, faktów. Poszerzają skalę naszej wiedzy, E. Musiał pokazuje nam, że cały nasz świat i bagaż kulturowy jest odbiciem naszego dobra i zła, nas samych, naszego człowieczeństwa.

*Ars moriendi, czyli poradnik czynności nieużytecznych* poświęcony jest pamięci Babci Stefani. Bohaterka liryczna rozmawia ze swoją babcią.

Jest to liryka przepełniona pojęciami, obrazami i refleksjami. Nasz czas to krążenie w przestrzeni zamkniętej. Bardzo licznie są tu wpisane epizody wspierające poemat. Autorka przywołuje postaci Einsteina, Miłosza, Kofty, Szymborskiej z jej kotem. Zapytuje w poemacie o „*Ars bene moriendi*” – sztukę dobrego umierania, dobrej śmierci. Stawia pytania ostateczne. Śmiałość i talent E. Musiał poszerza horyzonty poetyckiego przekazu, nadaje rangę myśli. W swojej wypowiedzi nt. tego poematu Aldona Borowicz wskazuje, że centralne miejsce zajmują w nim zasady etyczne i sprzeczności świata, z którego odchodzi babcia poetki. E. Musiał prowadzi dyskurs, bez przemądrzania się i ogólników, z powagą.

To poezja skondensowana, balansująca na granicy mistyki i filozofii. W wierszach wyczuwa się też poczucie winy wobec ludzi, świata i siebie: „Boję się otwierać własne wiersze;/ po tchnieniu w nie ciała/ – lękam się ich rany”.

Język autorki poematów jest odkrywczy, ekspresyjny, odpowiednio jednoznaczny w swojej wieloznaczności. Stara się ona dojść do sedna wszechrzeczy, wyjaśnić skomplikowane mechanizmy, które rządzą ludzkim życiem. Operuje obrazem, metaforą, niedopowiedzeniem. To język pełen niepokoju i niepewności, ale i siły, poczucia „ubywania”. Pełne nadziei poszukiwanie przy świadomości daremności. A czas u niej jest wielowymiarowy, panoramicznie przedstawiony. Nasze przemijanie, upływ czasu, kres życia, nasza śmierć, są w wielu miejscach naraz. Nie da się zmienić toku czasu, nie można go zatrzymać, przyspieszyć ani cofnąć: „...Porozmawiajmy, już dnieje/ a nic nie jest jasne...”.

Nie sposób odnieść się tutaj do wszystkich wierszy i poematów Elżbiety Musiał. Na koniec pozwolę sobie przytoczyć kilka fragmentów, przede wszystkim z tomu *Ja, o jednym imieniu*, które mogą być fragmentarycznym choćby zobrazowaniem treści tej pozycji:

...Sam wiesz, że one, cisza i pustka, gdy załopoczą,  
mogą od środka rozsadzić skronie...

...Internet doniósł, że swąd nadpalonego ciała ma  
[zapach lukrecji.  
Było to doświadczenie autoryzowane i aż trudno  
[uwierzyć,  
że zaledwie kilka kliknięć dzieliło mnie  
od ekscytującej wiedzy.

Powiem to jeszcze raz  
Przegrałam.  
Ja, o jednym imieniu, przegrałam podwójnie.  
Nie mogą ujrzeć mnie w wierszu,  
nie przejrzą się w obrazie. Wciąż jest albo nie teraz,  
a częściej – po wszystkim.

Czy to wystarczająca zachęta do wczytania się w poematy i wiersze Elżbiety Musiał? Która 11 lutego w Domu Literatury, w białej, śnieżnej sukni, zapewne stanowiącej symbol i nawiązanie do poematów, a może czystej i otwartej, nie zapisanej jeszcze karty, pochylała się nad swoimi poetyckimi książkami. Intryguje ich szata graficzna i ciekawy format. Autorce wypada życzyć kolejnych. Ale czy odejdzie od tematów czasu i śmierci, w których powiedziała już tak wiele?

A oto wiersz z jej dawnego tomu *Płacz czajki*.  
*Wiersze i poemat:*

Higiena  
Grabię liście w ogrodzie. Narzędziem prostym  
jak nóż; co było – od nowego pora odciąć.  
Grabię liście. Jak dobrze jest się tak zmęczyć.  
Pot płynie – już prawie jest łzą czystą.

Obmywa rzetelnie szare brudzy  
dni przeszłych

Czuję, że mam mięśnie. Silne  
do kości. Mogą unieść kamień snu i rdzę  
jesieni. Mogą z liści i jesieni leczyć.

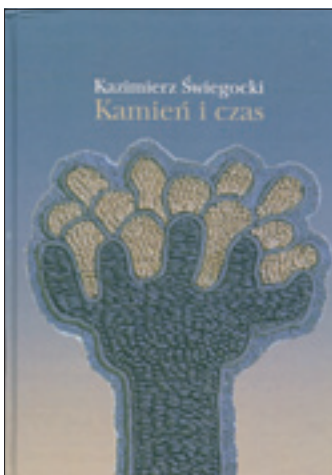
Anna Andrych

\*) Tekst wypowiedzi Andrzeja Wołosewicza pt. *Elżbieta Musiał – zbyt dobra, więc dlatego... nieznana?* ukazał się w „Autografie” (2015, nr 1, s. 35-36). Pod koniec czytamy: „Wydaje się, że poza [wspomnianym przez Marka Wawrzkiwicza] powrotem do poematu, Elżbieta ustanawia (ach, ta *ars poetica*) formę pojemną, ale nie eklektyczną, różnorodną, ale nie rozpadającą się, poważną, ale nie nużącą, wreszcie wartką, ale nie pośpieszną. [...] A jeśli tyle tu wymiarów, aspektów i tropów, to znaczy, że tyle też mamy szans czytelniczej przygody zmierzenia się z odbiciami naszej egzystencji, naszej kondycji prześwieconą poetycką wrażliwością i zarliwością w formie poematów o sensie, trudnym sensie naszego istnienia, jego poszukiwaniu, problemach, które na tej drodze sami przed sobą – a tu wierszami Elżbiety Musiał – stawiamy”.

Krystyna Cel

## Metafizyka i miłość w ujęciu Kazimierza Świegockiego

Książka Kazimierza Świegockiego *Kamień i czas* jest wyborem wierszy, poematów i esejów. Znacząco przeważa poezja, eseistyka natomiast ma być, według słów autora, kluczem do głębszego zrozumienia poetyckiego przesłania utworów wierszowanych. Zadziwiające, jak te dwa różne gatunki, wiersz i esej, wspaniale ze sobą korespondują. Zapewne dlatego, że wyrażają, każdy we właściwy sobie sposób, ten sam nadrzędny temat, jakim staje się człowiek i jego istnienie w otaczającym go świecie. Istnienie odczuwane jako niebywały, wręcz niezwykły fenomen, wobec



którego człowiek czuje się niejako bezradny, bezbronny, może tylko wyrażać swoje zadziwienie czy zdumienie. I nawet nie próbować czegokolwiek dociekać, bo tego fenomenu ludzki rozum objąć nie zdoła. Potrafi jedynie rozważać swój czas i w milczeniu podziwiać urodę świata. Stąd chyba i tytuł tego obszernego zbioru, bo czy kamień nie symbolizuje zamkniętych w nim ciszy i milczenia. A czas? Czy nie jest wciąż kategorią wymykającą się naszemu, skądinąd racjonalnemu, myśleniu. I chociaż narzędziem poety jest słowo, to, jak pisze autor, „poezja bliższa jest milczeniu niż mówieniu” [...]. Istnienie nie da się przełożyć na mówienie. Istnienie jest niewyrażalne”.

W tym zadziwieniu i zdumieniu fenomenem istnienia świata i człowieka podmiot liryczny samorzutnie wyzwala w sobie aspekt pokory. Nieprzypadkowo jeden z utworów napisanych na początku poetyckiej drogi K. Świegockiego nosi tytuł *Pokora*. Zacytuję ostatnią strofę:

I tak ubyвам, tak się zmniejszam  
co dnia i co wieczora.  
Słońce we mnie otwiera pejzaż  
milczenia i pokory.

Już w pierwszych utworach pojawia się pytanie, czym jest człowiek, któremu dany został na jakże krótki czas ten niezwykły otaczający go świat. Jest to również pytanie o siebie samego, bo przecież podmiot liryczny (poeta) również swoje przeżywanie świata, swoje istnienie rozważa w poetyckich strofach. „Więc czymże jestem?” – pyta w wierszu rozpoczynającym ten zbiór.

Leszek Kołakowski nazwał K. Świegockiego poetą metafizycznym. Jak pamiętamy, poeci metafizyczni okresu baroku eksponowali w swej twórczości, najogólniej mówiąc, przenikanie się sfery świeckiej i sfery sakralnej, problematykę egzystencjalną, jak też i to, czego ludzki umysł ogarnąć nie zdoła. Wiek XVII był czasem trudnym, burzliwym, pełnym wojen, również i religijnych. Poeci oddawali w swych wierszach ów klimat niepokoju, rozdarcia, niepewności. Trzeba tu dodać, że współczesna liryka, np. Miłosza, Herberta, Rymkiewicza, Kamieńskiej, wiele zawdzięcza poezji metafizycznej tamtego czasu. Nasza współczesność coraz częściej jawi się nam jako pełna sprzeczności i rodzących się stąd rozmaitych wątpliwości. Sądzę, że K. Świegocki oddaje w swojej poezji tę całą skomplikowaną sferę naszego istnienia, często wymykającą się naszym pragnieniom ujęcia jej w jakieś racjonalne ramy. I oddaje również, a może przede wszystkim, to, co określiłabym sferą ducha. To cała paleta doznań, od zachwyty pięknem świata, natury, przyrody, do smutku i wątpliwości napiętnowanych nieuchronnym kresem naszej doczesności. A w opozycji do tej doczesności pojawia się i wieczność. „Czy jednak duszę czas także pochłonie / tak jak ocean mioceni rozgwieżdżę?” – to egzystencjalne pytanie, postawione w wierszu z okresu młodości, towarzyszy podmiotowi nieustannie, skoro po wielu, wielu latach tak napisze:

Prawie że zmyślony, śniący się motylom,  
nieznany gwiazdom, niepotrzebny drzewom –  
nie byłem i nie będę. Jestem może chwilą,  
szyderstwem Lucyfera, Boga ciemnym śpiewem.

A jednak szukam rdzenia i pierwszego ziarna,  
które zanim powstałem, wpięrow we mnie umarło.  
Odwijam się jak rulon wypełniony piśmem

i czytam swoje dzieje ryte w świętym słowie.  
Ja – punkt nieskończoności, co na moment błysnął,  
Przez nieskończoność gasnę w ciemnej jak śmierć mowie.

Nietrudno zauważyć, że piękny język poetycki splata się tu z myślą filozofa, co zgodnie podkreślają krytycy. Z biografii poety wiemy, że ukończył polonistykę (UŁ) i filozofię (UW), ale nie byłoby tych wierszy, gdyby nie ten dar największy, jakim jest talent.

Wydaje się, że pisząc o K. Świegockim jako poecie metafizycznym warto odwołać się do jego eseistyki, zwłaszcza do takich esejów jak: *O cierpieniu metafizycznym*, *Notatka metafizyczna*, *Dwie nieskończoności* czy *Poeta i filozof*.

Zacytuję fragment mówiący o tym, jaką rolę mogłaby spełnić poezja metafizyczna we współczesnym świecie: „Dziś w czasach indyferencji religijnej i wielkiego zamieszania wśród podstawowych pojęć, symboli i wiar, gdy tak trudno zgodzić się jednoznacznie na ściśle wyznaczony język i jakiś doktrynalny kodeks, poezja metafizyczna w pewnym sensie i do pewnego stopnia mogłaby pełnić rolę cywilizacyjnego *memento*, przypominającego współczesnemu człowiekowi o metafizycznym ukwalifikowaniu jego bytu; mogłaby wytrącić go z metafizycznej drzemki, w którą tak łatwo wtrąca go technologiczny porządek naszych czasów. Posiada ona bowiem pewną moc, której nie posiada filozofia. A jest nią zdolność do wyrażania metafizycznego wrzenia bytu ludzkiego, na który patrząc, doznać można zawrotu głowy, ale trwając tak, w tym patrzeniu, można poczuć smak prawdy naszego istnienia. I sytuacja ta ostatecznie otwiera przed nami pejzaż nadziei”.

Sytuując utwory K. Świegockiego w dość szerokim i różnorodnym współczesnym krajobrazie poetyckich dokonań, warto też przypomnieć esej Artura Ziontka zatytułowany *Kazimierz Świegocki – poeta metafizyczny*, w którym czytamy: „Oto rozbrzmiewa na przełomie wieków w naszej teraźniejszości głos barokowy. Kunszt słowa. Malownicze figury stylistyczne [...]. Oto poezja mówiąca o tym, co najważniejsze w sposób najpiękniejszy; [...] niezwykle silne zaangażowanie w namysł nad istotą Boga. Jest to charakterystyczne dla poezji metafizycznej, której w odniesieniu do dwudziestego wieku Świegocki jest, powiedzmy wprost, przedstawicielem najwybitniejszym”.

Chciałabym, pisząc o wyborze K. Świegockiego, zatrzymać się jeszcze na temacie tak uniwer-



salnym, jak miłość, od którego w zasadzie nie stroni żaden poeta. Jeden z rozdziałów książki nosi tytuł *Miłość i czas*. Gdybyśmy chcieli rozważyć zawartą w tytule kategorię czasu, to jej związek z przeżywaniem miłości jest aż nadto oczywisty. Jeśli przyjmiemy, że niewiele z rzeczy doczesnych ostoi się czasowi, to miłość, dodajmy, ta wielka miłość ma tę szansę, bo niejednokrotnie udowodniła, że jest nawet silniejsza niż śmierć. I nawet gdyby czas był dla miłości czynnikiem destrukcyjnym, to jednak samo jej przeżywanie niesie w sobie tyle rozmaitych odmian stanu naszego ducha, całą amplitudę doznań i odczuć, że nie sposób nawet po wielu latach ich nie pamiętać. I, co więcej, żałować, że te nasze niezwykle, niemal irracjonalne porywy serca mimo wszystko musiały już, siłą rzeczy, przeminąć.

Wiersze K. Świegockiego o miłości przemawiają głębią uczucia, przywoływanego niekiedy już z dystansu czasu. Pojawia się motyw żalu za minionym, które jednak pozostawiło niezniszczalny ślad w pamięci. Wierszom miłosnym w sukurs przychodzą poetycko ciekawe metafory, ujawniające bogactwo słownych skojarzeń. Zadziwia też niezwykle poetycka wyobraźnia uruchamiająca niejako wyobraźnię czytelnika, pozwalając jej na już dalszy, własny lot. Przytoczę tu fragment wiersza zatytułowanego *Erotyk*:

I oto gwiazda rozrosła przez szyby  
cień mojej dłoni w twe ciało przeszczepia.  
Idziesz poważnie pod górę dotyku,  
brzuch swój unosisz jak pagórek chleba.

Już czuję w tobie wino musujące,  
gorący zaród owocu i ziarna.  
Jeszcze się wahasz jak wieczorne słońce  
i z włosów światło zbląkane odgarniasz.

Wiersz ten, opatrzony datą 1964, wskazuje, że powstał u progu drogi twórczej, w młodości poety.

Przy niektórych utworach K. Świegocki zamieszcza dwie lub nawet trzy daty. W słowie odautorskim tak to wyjaśnia, iż „mają podwójne, a nawet potrójne daty oddalone od siebie w czasie niekiedy o kilkadziesiąt lat. Oznacza to, że zdarzało mi się do tych wierszy wracać, gdyż dostrzegłem w nich jakąś niedoskonałość lub możliwość ich rozwinięcia bądź korzystnej zmiany, przekraczającej granice zwykłej kosmetyki literackiej”.

Każdy poeta wie, jak zbawienne jest spojrzenie na własne utwory z dystansu czasu. Widać wówczas to, czego nie mogliśmy zauważyć, pisząc je „na gorąco”. Ale wiersz *Erotyk* ma tylko jedną datę. W nim każde słowo jest potrzebne, jedyne i artystycznie najwłaściwsze. Przytoczę jeszcze dwa utwory; wybrałam je również po to, by ukazać, jak te wiersze, choć pisał je tak młody poeta, znamionowały już poetycki kunszt:

#### *Darii*

Gdzieśmy łubinu kwiat rwali bez słowa,  
gdzie ci wyznanie pisałem na piasku  
milczeniem tylko, tak jak ptaków miłość  
wiatr zapisuje gałęziom w powietrzu,

tam noc się twoim odwraca profilem  
do naszych zdarzeń, które poszły głębiej.  
A cienie nasze ponad czasem idą  
i wiatr je w morze pędzi

*(Cienie, 4 lipca 1962)*

Koło tej topoli przechodzić się boję,  
tu jeszcze szumi wczorajszy wiatr.  
Gdy tylko zmierzchnie pękają słoje,  
słysząc słów naszych umarły takt.

Tu z twej postaci odlana przestrzeń  
powiewa chłodem minionych rąk,  
w trawach beztrosko śpiewają świerszcze.  
Tylko miast ciebie drzy zagęszczony

w ludzki kształt – mrok.

*(Topola, 17 sierpnia 1961)*

Pisząc o tak obszernym, retrospektywnym w swym charakterze tomie, nie sposób uwzględnić wszystko, co w nim jest zawarte. Wybrawszy problematykę metafizyczną i tematykę miłosną, chciałam uwydatnić swoistość spojrzenia poety na interesujące nas wszystkich sprawy. Ale najważniejsze jest to, że K. Świegocki, korzystając ze sztafażu poetyki neoklasycyzmu, ujmuje te kwestie dogłębnie i wnikliwie, przez co inspiruje czytelnika do nowych przemyśleń.

*Krystyna Cel*

Kazimierz Świegocki, *Kamień i czas. Wiersze, poematy, eseje*, Wydawnictwo Akademii Humanistyczno-Ekonomicznej, Łódź 2014, s. 348.

## Powieść o miłości, która nie przeminęła

Najnowsza – nagrodzona w II Konkursie Literackim im. Stefana Żeromskiego – powieść Jana Chruślińskiego jest rzeczywiście (zgodnie z tytułem) książką o wielkiej miłości, która kończy się – na szczęście – *happy endem*, mimo przeszkód, na jakie „na jej drodze” natrafiają bohaterowie. Główną przeszkodą była przede wszystkim wojna wywołana przez Niemców we wrześniu 1939 roku. Ale i po wojnie jej bohaterowie długo nie mogą się ponownie odnaleźć, gdyż na przeszkodzie stają im prześladowania NKWD i rodzima służba bezpieczeństwa. I tę sytuację również znakomicie przedstawia w powieści Jan Chruśliński – historyk i wojskowy z wykształcenia, i chyba też kochliwy człowiek, bo inaczej – gdyby sam nie kochał – nie przedstawiłby obu tych zagadnień tak autentycznie i prawdziwie, jak to uczynił.

Na szczęście, jak już wspominałem, bohaterowie powieści Jana Chruślińskiego po wszystkich dramatycznych przeżyciach, ale dopiero w roku 1997 (a powieść zaczyna w 1939, a więc po blisko 60 latach) odnajdują się, biorą ślub i od 18 lat są nareszcie razem. Na ich przykładzie sprawdza się powiedzenie, że prawdziwa miłość nie przemija. A przecież, kiedy stają na ślubnym kobiercu są już w bardzo zaawansowanym wieku. Podkreślam ten moment – w powieści bardzo optymistyczny – że dopóki życie trwa (jak chce nam powiedzieć autor), warto o nie walczyć. Tym bardziej – co chciałbym podkreślić – iż większość powieści tego typu w literaturze polskiej, nazwijmy je wojenno-wspomnieniowymi, kończy się tragicznie; to taka moda literacka, aby wstrząsnąć człowiekiem. Chruśliński jest pod tym względem inny, pozostawia światło w tunelu, pozwala mimo wszystko spojrzeć na życie właśnie z pełnym optymizmem. Ukazuje z wielką głębią psychologiczną i znawstwem miłość jako źródło życia. A jednocześnie ukazuje historię Polski. Bohaterstwo tych, którzy stają w 1939 roku w obronie ojczyzny, a po klęsce wrześniowej tworzą podziemną Armię Krajową i nie poddają się okupantowi, zaś po wojnie – narzuconemu ustrojowi demokracji ludowej.

Powieść Jana Chruślińskiego – jak łatwo się domyślić – oparta została na prawdziwych zdarzeniach (choć nazwiska jej bohaterów w niej

zostały zmienione). Dzisiaj wspomniana para zakochanych mieszka w Domu Spokojnej Starości. Doczekali Polski niepodległej i wolnej. A wszystko – zgodnie z prawdą historyczną – zaczęło się w połowie roku 1939, gdy bohaterowie powieści byli młodzi i rozpoczęła się wojna, a potem – po jej zakończeniu – też wiadomo, co działo się z ludźmi, którzy mieli inne zdanie od tych, jacy tworzyli socjalistyczną rzeczywistość. I o tym Jan Chruśliński też pisze. O historii, o której młode pokolenia nie powinny nigdy zapomnieć, bo to były dzieje ich ojców i matek. Ale też takich, jak ja, pamiętających tamte lata z autopsji.

Nie będę streszczał książki, którą warto przeczytać, natomiast dodam, że jest ona też m.in. o udziale Szwadronu 19 Pułku Ułanów Wołyńskich z Ostroga nad Horyniem w kampanii wrześniowej i ukazuje nie tylko okres okupacji niemieckiej i sowieckiej na ziemiach polskich, ale nade wszystko bohaterstwo żołnierzy AK w walce o niepodległość. Książka Jana Chruślińskiego ma zatem walory zbeletryzowanego dokumentu historycznego, co dodatkowo podnosi jej war-

Wojewódzki Dom Kultury w Kielcach  
oraz Kielecki Oddział Literatów Polskich  
zapraszają na spotkanie autorskie

**JANA CHRUSLIŃSKIEGO**

*Miłość i wojna* - powieść nagrodzona  
w II Konkursie Literackim im. Stefana Żeromskiego

29 kwietnia 2015  
godz. 18.00  
Sala Kominkowa WDK

Prowadzenie: Stanisław Nyczaj  
Wprowadzenie: prof. Karol Czejarek  
Śpiew: Małgorzata Siemieniec

Spektakl według powieści autora przedstawia  
uczniowie Placówek Oświatowych nr 1 w Busku Zdroju

**Historia oparta na faktach!** wstęp wolny

*Miłość i Wojna* Jan Chruśliński

## Promocja powieści Jana Chruścińskiego *Miłość i wojna* w kieleckim Wojewódzkim Domu Kultury

Spotkanie prowadził Stanisław Nyczaj. Z lewej Autor, z prawej prof. Karol Czejarek



Autor dziękuje głównej organizatorce promocji Małgorzacie Kaczmarek



Interludia wokalne wykonywała Małgorzata Siemieniec



Wystąpienie prof. Karola Czejarka



Autor podpisuje swoją powieść

Fot. Agnieszka Markiton

tość, a jednocześnie jest utworem literackim, który zachwyca, wzrusza, wyciska „łezkę z oka”. I jeszcze jedno moje spostrzeżenie, na które proszę zwrócić uwagę: godna najwyższego podziwu jest polszczyzna Jana Chruślińskiego.

Pragnę jeszcze na zakończenie stwierdzić, iż obserwacje psychologiczne autora są niezwykle trafne i przekazywane nad wyraz ekspresyjnie, a miłość głównych bohaterów akcji daje czytającemu siłę pozwalającą spoglądać na życie optymistycznie. Gdyż czyni możliwym to, co wydawałoby się niespełnialne.

Powieść utrwała jednocześnie mało znane szczegóły historyczne, jak choćby wspomniany przebieg zmagania Szwadronu Pułku Ułanów. Pozwala przy tym na pogłębienie wiedzy zarówno o człowieku, jak i tej historycznej. Zwłaszcza o losach naszej Ojczyzny, doceniając bohaterstwo narodu, jego twardą walkę, aby Polska zawsze była Polską, a Polak człowiekiem prawym i dumnym ze swej narodowej historii. Jak również z re-

gionu swojego pochodzenia – w przypadku Jana z Kielecczyny, będącej jego ziemią rodzinną.

Wierzę też, że *Miłość i wojna* doczeka się przekładów na języki obce. Życzę tego autorowi z całego serca, bo jego twórczość (nie tylko ta książka) jest dokumentem o Polakach i Polsce XX i XXI wieku.

Karol Czejarek

Wystąpienie w dniu promocji książki Jana Chruślińskiego *Miłość i wojna*: 29 kwietnia br. w sali kominowej Wojewódzkiego Domu Kultury im. Józefa Piłsudskiego. Kolejna promocja, także z udziałem Karola Czejarka, odbyła się w warszawskim Domu Literatury 10 maja br. Wówczas treść powieści przybliżył licznie zgromadzonym buski teatr młodzieżowy – uczniowie Zespołu Placówek Oświatowych Nr 1 w Busku-Zdroju, którzy przedstawili spektakl ze świetną recytacją fragmentów i interludiami muzycznymi według specjalnie opracowanego scenariusza.

Redakcja

Stanisław Nyczał

## „Wołam – Człowieku!”, czyli własny i ważny głos poety

Tomem tym Jan Lechicki sumuje swój dorobek poetycki, na który składają się wiersze z wydanych dotychczas zbiorów, takich jak *Kształt*



*bólu, Przetaczanie myśli, Tomograf duszy, Pojedynek z sobą, oraz rozproszone po czasopiśmie, zwłaszcza po numerach „IKARA”, „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego”. Usystematyzował je autor nie wedle chronologii, lecz pod kątem te-*

matyki, problemowo. Tym samym uwydatnił wyraziście, co go najczęściej inspirowało, najgłębiej wzruszało, niepokoiło i skłaniało do refleksji.

Czytelnika zainteresuje każda tematyczno-problemowa sekwencja. Może on książkę otworzyć na dowolnej stronie i znajdzie, czego szuka i oczekuje: dobrą, poruszającą uczucia i wyobraź-

nię, jak też wymowną lirykę. Ale jeszcze bardziej wciągnie go lektura, gdy zacznie książkę czytać systematycznie od stron pierwszych, wglądając uważnie w treść następujących po sobie działów. Ową treść stanowią głównie obrazy i myśli, wyrażone językiem tyleż prostym (bezpośrednim, komunikatywnym), co i stylistyką metafory bądź sentencjonalnej zwięzłości.

Pierwszy dział pt. *Korzenie* mówi o rodowdzie poety, jego związkach z „nawożoną ostrymi kamieniami” ziemią łagowską na Świętokrzyszczyźnie, domem rodzinnym „z maciejką pod oknem” przy „starej wierzbie nad łagowicą”. Mówi o bosym i głodnym dzieciństwie od „kołyski na zdartych biegunach” po „widzenie wybuchów bomb” i „słyszenie szumu pocisków katiuszy”; dzieciństwie zgrzebnym naznaczonym w „genetycznym kodzie” wojną, holocaustem, a także doskwierającą obsesyjnie „pustką samotności [...] niebytych dni”. Mówi o wyniesionych z doświadczeń przekonaniach, a właściwie roztropnych wątpliwościach wynikłych z „przewlekłego zapalenia uczuć” i „nadmiernego widzenia świata”,

## Z benefisu Jana Lechickiego w Wojewódzkim Domu Kultury w Kielcach



Autor czyta swoje fraszki i aforyzmy



Władysława Szproch wygłasza laudację od Zarządu Oddziału ZLP



Od lewej: aktorzy Teatru im. St. Żeromskiego Teresa i Mirosław Bielińscy, Jan Lechicki, Stanisław Nyczaj, Władysława Szproch. Fot. z archiwum Jana Lechickiego

czyli wrodzonej nadwrażliwości. Czyni rozrachunek przed własnym lustrzanym obliczem, „które zniekształciły czas / i meteoryty / rzucone przez ludzką / nienawiść”. Po pojedynku z niespokojnymi myślami znowu, na kolejnych stronach, wracają obrazy ze wspomnieniowej podróży ku „zmarszczkom twarzy Matki” i odzywa się „ostrym nożem w piersiach” ból tęsknoty za tym, co bezpowrotnie stracone. Dalej jawią się sceny szpitalnych bezsennych nocy z „zygzakami elektrokardiogramu”, „przywiązaniem do kroplówki”, gdzie nie wolno pytać „czy warto żyć?” (bo „byłaby to obraza życia”), za to wolno marzyć, choćby złudnie „błądzić / po opłotkach życia / w poszukiwaniu drogi / jedynej i słusznej”. Na jęk karetki pogotowia, gdy „noc zaciska łapy / na szyi ostatniej zgłoski / umierającego dnia”, podmiot wiersza *Nokturn* niepokoi się: „Jak odnaleźć / w składnicy złomu dwudziestego wieku / własne Ja”. Gdy to „Ja”, z kolei – z właściwym poecie przymrużeniem oka – powątpiewa nawet w istnienie duszy w swoim skołatany wewnątrz, które waha się odwiedzić.

Ta dusza jednak istnieje i cała odsłania się w poezji, mającej w sobie tajemną metafizykę. Kontynuację wątku związanego z poezją i rolą poety odnajdujemy w refleksyjnym dziale drugim, zatytułowanym *Peregrynacje liryczne*. Jan Lechicki przekonuje, że nawet ta „niedzisiejsza” poezja marzeń, miłosnych westchnień i spacerów po Mlecznej Drodze, jest właśnie dziś potrzebna, pomimo zwątpienia w to, iż poeta jest w stanie zmienić świat, skoro wznoszony przez niego dom ze słów okazuje się „nieodporny na wstrząsy cywilizacji”. „Každy jego wiersz / to nowe odkrycie” i „wymyślone przez niego metafory / należy chronić”. Zresztą, to on sam, często wytykany przez tłum jako dziwak, wariat, podejrzany odmieniec, jest w istocie „kwintesencją poezji”, „metaforą w ludzkiej skórze / która błąka się / w zwariowanym tłumie”. Następuje więc odwrócenie perspektywy spojrzenia i oceny poety: z potocznej, zwyczajnej, prozaicznej na zadziwioną niezwykłością postawy, przejętą mocą jego uduchowienia. Że można istnieć, zachowywać się i czuć inaczej. Że można być kimś Innym (przez duże „i”). W tym przekonaniu w naszym środowisku literackim partneruje Janowi Lechickiemu Henryk Morawski (poświęcił on zagadnieniu odrębny zbiorek *Inni*). Ten przywilej nadwrażliwej inności poety, który „pisze długi poemat / o nieskończoności uczuć”, wymaga, zdaniem J. Lechickiego, takiej zmiany

poglądu, iż jeśli już posądzać poetę o jakąś nie-normalność, to taką, że „jest nieuleczalnie chory / na człowieka”, tzn. dogłębnie przejęty ludzkim losem. I nie ma temu wyczuleni (czy nawet, jak kto uzna, przeczuleniu) końca: „dlatego [poeta] nie stawia kropki / po ostatnim słowie”.

Jan Lechicki jako długoletni lekarz praktyk, aktywny publicysta i działacz służby zdrowia nie stawiał też nigdy kropki w staraniach, zabiegach, wysiłkach o podstawowe dobro ludzkiego życia, jakim jest zdrowie. Jakże przejmująco i pięknie odzwierciedla się to również w jego poezji! – tu znajduje wyraz w dziale trzecim *Muza i medycyna*.

– „Usiłuję przetaczać moim czytelnikom – zwierzał się przed laty, co jako redaktor umieściłem na okładce tomiku *Przetaczanie myśli* – odzucia i prawdy wyniesione m.in. z wieloletnich doświadczeń zawodowych. Wiersze moje stają się niekiedy rodzajem wzajemnej spowiedzi między pacjentem i lekarzem”.

A w związku z moim zagajeniem do rozmowy pomieszczonej zamiast wstępu w tomiku *Tomograf duszy*: iż pisze o szpitalu, lekarzach, pielęgniarkach, chorych, o „metamorfozach szpitalnego bólu”, lęku mającym „oddech przyspieszony, tętno niemiernowe i skórę białą”, o „gasnących oczach dziecka”; iż pojawiają się motywy butli tlenowej, kroplówki, „czerwonych świateł na drzwiach sal”; iż padają fachowe łacińskie terminy i orzeczenia diagnozy niepokojące tajemniczym szyfrem niczym na kartach chorobowych – odpowiedział:

– Jako lekarz przyglądający się na co dzień ludzkiemu cierpieniu chciałbym w owych utworach wyrażać własny stosunek do odwiecznych strapień i niepokojów człowieka: bólu, choroby, śmierci, przemijania. Jest to tematyka, oczywiście, stara jak świat. Zazwyczaj wszak podejmowali ją tylko ci, którzy cierpieli. Mnie interesuje ona głównie jako obserwatora ludzkich dramatów, chociaż i sam bywam chory.

Zwłaszcza – dodam – czułego obserwatora ludzi udręczonych bólem i lękiem. Lechicki, pomimo długoletniej praktyki w aż trzech specjalnościach medycznych, nie poddał się „szczepionce” profesjonalnego zobojętnienia. Stąd jego poetyckie „diagnozy” mają taki ludzki wymiar. Czytelnik-„pacjent”, jakże często poszukujący wsparcia uczuciowego poza fachową

poradą, odnajdzie w strofach lekarza-poety również logoterapeutyczne wartości.

W tym zbiorze – podobnie jak spośród wcześniejszych w *Pojedyńku z sobą* – owo współczujące uwrażliwienie przechodzi z incydentalności obserwacji, doznań, przeżyć w uogólnienie stosunku do współczesnego człowieka końca XX wieku zagrożonego przez cywilizacyjny szok. Podmiot wierszy odbiera niepokojące sygnały ze świata i zarazem stara się wszystkich, których trapi niepokój, natchnąć nadzieją.

Jednak na drodze do tej z coraz większym trudem wywalczanej nadziei przykrym cieniem kładzie się trauma ludzkiego przemijania. Gdy naraz „chodź nie dają / przywiązane do nóg / ciężarki lat / Serce wymaga / generalnego remontu / a mechanik nie ma / części zamiennych”. Kiedy tylko „smutek i trwoga / idą obok siebie”. Kiedy, niczym najstraszniejsze widziadło, może przyśnić się obraz z wiersza *Jesień życia*, jak „Daleko za horyzontem / tłum starców czeka / aby się dostać na drugi brzeg / wezbranego niebezpiecznie Styksu”. Gdy do reszty przygnębia „depresja starcza”, najdokuczliwsza w Domu Starców. Ta stany i doznawane nagminnie gorzkie samopoczucia może łagodzić jedynie odradzająca życie wiosna, pozwalająca przez zaabsorbowanie „walką powietrzną / dwóch motyli” zapomnieć o nieuchronności drogi donikąd. Czwarty dział, *Liryki o przemijaniu*, pozostaje w pamięci jako swoiste, cenne w profilaktyce świadomości *katharsis*, rozładowujące – najdotkliwsze z bezbolesnych – uczucie strachu... przed niechybnym odejściem.

Dział piąty, przynoszący refleksje o polityce, stawia nas na odmianę w sytuacji życiowego wrzenia. Aż „piasek w oczy szczypie”, bo tu na każdym kroku „człowiek człowiekowi wilkiem”. Tu „syreny krzyczą na trwogę / wyścig trwa”, a „do mety kręta droga”. Tu „nienawiść zabija / jak morowa choroba”. W bezpardonowej walce „poległych nikt nie liczy / ważne zwycięstwo / za wszelką cenę”. Dopiero sygnał karetki pogotowia uprzytamnia, jak bardzo to wrzenie jest ryzykowne, jak wielu przyptaca je życiem będąc w sile wieku. „Bomby słowne wybuchają seriami / zabijają i ranią niewinnych”. Jan Lechicki, wchodząc w trudną tematykę z ogromną pasją, nie tylko kreśli dramatyczne obrazy bezkrwawych bitew, ale i przestrzega. Oto wymowny fragment z wiersza *Amen*:

Ciężkie działa strzelają

do podświadomości tłumu  
Kanonierzy nie wiedzą co czynią  
bo krew się nie leje  
ale zapach prochu  
drażni nozdrza  
i dusi sumienie

Zagrożone jest społeczne i jednostkowe morale, skoro pieniądze stają się „ważniejsze od romantycznej miłości i rodziny”, a u „wodzirejów bankowych kont [...] przyspieszenie / bicia serca / powodują spadki i wzrosty / na giełdzie”. Nieformalny tryptyk o obłudzie: *Fałszywi świadkowie – Wątpliwi bohaterzy – Fałszywi święci* kończą gorzkie słowa etycznej dyskwalifikacji nadużyć i pozorów: „wkoło czują odór zgniły / spod sztucznej żrącej aureoli”. Nic zatem dziwnego, że „na Ziemi / w harmidrze jęków i zgrzytów / coraz trudniej / wsłuchać się / w bicie ludzkiego serca”. Totalną kapitulację niekontrolowanego rozwoju cywilizacji, a nie tryumf, jak się hurraoptymistom wydaje, obwieszcza podmiot wiersza *Wejście w XXI wiek*:

Wykąpany w wodzie  
niezdanej do picia  
ani do celów gospodarczych  
ubrany w garnitur  
z polichloru winylu  
w butach skażonych  
radioaktywną glebą  
wchodzę w XXI wiek  
który wita mnie uroczyście  
syrenami apokalipsy

Mocne w swym znaczeniowym i artystycznym wyrazie są wiersze-protesty Jana Lechickiego, przede wszystkim *Nawiedzeni, Sprzeciw, Marzenia*. Poeta, ceniący mowę skrótu, nie godzi się na różne formy i przejawy ich nadużycia: oszukiwanie wiernych gołostowiem pod przybraniem w kaptur średniowiecznej tradycji, małostkowe kupczenie dobrem, zatrutowanie naiwnych nienawistną pogardą.

Wartościową przeciwwagą są słowa mistrzów, do których wiarygodnego autorytetu odnosi się poeta w dziale szóstym: nośne liryczne wypowiedzi „proboszcza polskiej poezji” ks. Jana Twardowskiego (będące „ewangelią dla wierzących inaczej”), Zbigniewa Herberta (zwiedzającego świat „z plecakiem metafor / w uniformie Pana Cogito”), Wisławy Szymborskiej (rozdawczyni trafnych metafor i ciepłych żartów), Tadeusza



Różewicza (obserwatora życia „z zamkniętymi oczami wyobraźni”), Stanisława Barańczaka (od którego „nauczył się / jak operować / z chirurgiczną precyzją / podatnym na infekcję słowem”).

Okazały tom kończą *Wiersze z podróży* do czarnogórskiego Sutomore (gdzie „gruboziarnisty piasek plaży / jak encefalogram / rejestruje myśli” m.in. „o zamordowanych Żydach z [rodzinnego] miasteczka Łągowa”), do litewskich Druskiennik (gdzie „ptaki śpiewają po polsku / muchy kąsają po litewsku / a Niemen na zakolach / szemrze z wileńskim akcentem”), do Splitu i Dubrownika w Chorwacji „zanurzonych w morzu historii” (której lud „swobodę ukochał / nad życie”), do Plitwickich Jezior na Bałkanach (gdzie poeci znajdują „oazę nieskazitelnej piękna”), na Węgry (gdzie w Bungallo nad gorącymi wodami kąpieliska „potomkowie Bema i Petofiego / moczą strudzone ciała / w historii obu narodów”) i Hajduszoboszlo (gdzie poeta „w południe patrzy rozmarzony / na wyłaniające się z brudnych basenów / boginie, westalki i nałożnice / o prawie idealnych kształtach”), do wiecznego miasta Rzymu o niezliczonych atrakcjach zostawiających mętlik w głowie turysty, na szczyt Wezuwiusza „przykryty płaszczem / wulkanicznego pyłu”, do „zawieszonych między ziemią a niebem” klasztorów Wielkiego Meteoru, Świętego Wawłama i Świętej Trójcy z pokłonem podziwu znad Wisły, do tunezyjskiej oazy w Górach Atlas, na bazar i starożytnych łaźni w Efezie, do Barcelony na fontannę „tańczącą poezją kolorów”, do kościoła Sagrada Familia w Gaudi „szczytami swoimi sięgającymi nieba / odsłaniającego nową przestrzeń”, do świętego Graala w Montserrat, na cmentarz Orląt Lwowskich, do uzdrowiska

w Truskawcu z ludzką menażerią, by popatrzeć na stuletnie klony i dęby, jak stają na baczność przy dźwiękach poloneza Ogińskiego i gdzie w parku „karpackie lasy szumią / z kresowym akcentem”, przed ołtarz pergamońskiego kościoła w Berlinie, w którym przemieszały się epoki.

Liryka Jana Lechickiego ma swoje własne, odrębne oblicze. Przede wszystkim z uwagi na częste i wrażliwe odniesienia do tematyki wynikającej niejako bezpośrednio z medycznych doświadczeń zawodowych autora. Wyzwała ona „ciemną” ekspresję refleksyjnego smutku, nad nieuchronnym przemijaniem. Prócz ostoi w śródziemnomorskiej tradycji kulturowej ważne jest w niej poczucie więzi z osobistą tradycją: stron rodzinnych, z krainą-miejscem pochodzenia, zakorzenienia się. Dla autora tym miejscem jest Łągów, darzony sentymentem i jako oaza wspomnień i jako cel częstych radosnych odwiedzin.

„Chwywanie chwil” jest jakby zachłyśnięciem się rzeczywistością i nabieraniem powietrza w płuca. Sił i skrzydeł wyobraźni dodają wrażenia z obcowania z przyrodą, sztuką architektoniczną zwiedzanych krajów, z tradycją dającą myśli niezbędne oparcie.

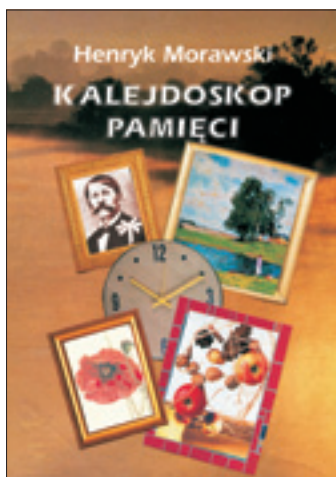
Poezja Jana Lechickiego jest przy tym bardzo bliska dziejącej się „tu i teraz” współczesności ze wszystkimi jej dramataми cywilizacyjnymi i politycznymi. W tej mierze nierzadko wprost eksploduje surowo osądzającymi nasz czas myśloobrazami, zawierającymi, prócz mądrości z wnikliwego spojrzenia, silny – inspirujący i ekscytujący Czytelnika podczas lektury – ładunek ekspresji.

Jan Lechicki, *Wybór wierszy*, Oficyna Wydawnicza „STON 2, Kielce 2015, s. 208.

## Kalejdoskop poranionej i wdzięcznej pamięci

Do tej pory Henryk Morawski znany był przede wszystkim jako poeta. Utrwaliła tę konotację ciekawie pomyślana edycja z 2009 r. obszernego tomu poezji pt. *Wniebogłosy / W niebo głosy*, którą opatrzyłem obszernym wstępem. Natomiast jego proza, ta w najszerszym znaczeniu (od publicystyki, poprzez wspomnienie, reportaży, opowiadanie problemowe bądź humorystyczne, po szkic czy esej literacki) – rozproszona po wy-

dawnictwach zbiorowych i czasopismach – nie była należycie zauważalna, choć krąg zamiłowanych regionalistów od lat ją doceniał. Zauważał i doceniał dzięki temu, że Henryk Morawski nierzadko występował publicznie na spotkaniach autorskich, prezentując wybrane opowiadania i szkice. Byłem parokrotnie świadkiem jego występów i muszę tu dopowiedzieć Czytelnikom, którzy go bliżej nie znają, że kiedy czyta



i komentuje swe utwory, czyni to z takim wewnętrznym zaangażowaniem, iż słuchacze są wprost zafascynowani. Gdy mówi, modulując głos, udziela się im jego wzruszenie, jego osobiste przeżywanie każdego tematu (choćby

nawet skądinąd komuś znanego). Tłumaczy genezę, uwydatnia znaczenie. Nastrój zawsze jest szczególny; subtelny przy wątkach autobiograficznych, emfaticzny, gdy dotyczy pełnych dramatyzmu zdarzeń z ojczystej historii, podniosły w przypominaniu zasług wielkich pisarzy, krzepiących serca Polaków w czasach narodowej niewoli. Ton szczerzej dumy jawi się przy omawianiu dokonań ludzi wobec najbliższej Autorowi ziemi rodzinnej – Stromieckiej, a szerzej biorąc Białobrzeskiej. I nic w tym dziwnego, bo przecież sam Henryk Morawski wnosi wielki wkład, za jaki innych wyróżnia, zaświadczony własnymi staraniami w tropieniu i dochodzeniu do coraz to nowych źródeł historyczno-kulturowych (miejsc, dokumentów, osób), wymagających potem starannego opracowania.

Ta książka, zatytułowana *Kalejdoskop pamięci*, nie omijając poezji, łączy różne, wymienione przed chwilą, prozatorskie gatunki i ich odmiany. Pokazuje całą paletę zainteresowań literackich autora, pozwalając go zobaczyć w pełnym żywiole pisarskiej aktywności. Pod względem tematycznego zakresu są w niej częste odniesienia do tradycji historycznej i literackiej zarówno regionalnej, jak i ogólnonarodowej. Tu Białobrzegi i miejscowości pobliskie, a zwłaszcza rodzinny Stromiec, opromienione zostają estymą. Odkrywając nieznane karty historii, odnalezione w wyniku zapobiegliwej kwerendy po muzeach, archiwach kościelnych czy gdzieś w głębokim terenie, Henryk Morawski dokumentuje i uzasadnia ważki wkład Ziemi Białobrzeskiej<sup>1)</sup> w kulturę polską. Swą małą ojczyznę nobilituje.

<sup>1)</sup> 770-letni rodzinny Stromiec jest położony zaledwie 9 km od powiatowych Białobrzegów. Jest to więc wspólna Mała Ojczyzna Autora

Znamienną właściwością kompozycji *Kalejdoskopu pamięci* jest konsekwentne poprzedzanie każdego prozatorskiego utworu wierszem, co przydaje zarówno narracji jak i refleksjom waloru emocjonalnego – jak we wzmiankowanych wypowiedziach na spotkaniach autorskich.

## I

Pierwsza część książki jest bardzo osobista. Wspomnieniowe opowiadanie *Moja Matka Wojenna* poprzedza wiersz dedykowany pamięci Rodziców, których dojmujące przeżycia okupacyjne poznajemy. Utwór ten przywodzi na myśl – nie zawsze należycie uświadamiane dzisiejszym pokoleniom (średniemu i młodemu) – niezwykle ciche bohaterstwo postaw naszych Matek (tych zwłaszcza z lat wojenno-okupacyjnych) w obronie swych rodzin, kiedy nie mogli stawić czoła wrogom śmiertelnie zagrożeni ojcowie. Bohaterstwo dzielnych matek, w decydujących chwilach wynikłe i z determinacji, i swoistej anielskiej intuicji, nazwanej z czcią przez ojca Henryka Morawskiego „matczynym skrzydłem Boga na ziemi”. Sądzę, iż wielu z własnego doświadczenia (jak i ja, piszący te słowa) mogłoby potwierdzić, że temu darowi wybawicielskiej intuicji i odwadze matek zawdzięcza... wprost swoje ocalenie.

Drugi utwór, *Dziecięca apokalipsa wojenna*, zapowiada wiersz o „życiu skazywanym nieustannie na śmierć”. Autor przedstawia obrazowo i wstrząsająco sytuację swojego rodzinnego Stromca w piekle artyleryjskich działań, gdy w 1944 r. wyzwalający ziemie polskie Rosjanie przełamali silny opór Niemców. Opis jest tak plastyczny, że czytając stajemy się nieomal świadkami paniki mieszkańców szukających schronienia w ziemiance, w której drzwi trafia pocisk, zagubienia w ucieczce i szczęśliwego odnalezienia dwójki dzieci; prześladowały je po nocach jako skutek koszmary senne z uporczywymi wizjami „wojennej pożogi, wybuchów bomb, gęstych strzałów karabinów”. Hekatomba wojennych przeżyć straszliwie na psychice mieszkańców zaciążyła.

Kolejny wprowadzający wiersz *Krwotok pamięci* przywołuje – jako jeden z przykładów hitlerowskich zbrodni – opowiedziany słowami dziecka obraz-autentyk. Oto umiejętnie włączone w tekst reporterskiej relacji wspomnienie napisane w 1946 r. przez 11-letnią uczennicę,

która była naocznym świadkiem rozstrzelania swego ojca w grupie mężczyzn z wioski, wstrząsa bezdusznym okrucieństwem hitlerowskich oprawców.

Zdążających tropem lektury zaciekawionych Czytelników porusza wspomnieniowe relacje sybirackich zesłańców, Żyda, który przeżył holokaust. Porusza też dramat niespełnionej miłości osnuty na kanwie ludowej ballady.

Wchodzimy w lata szkolne Autora – to odrębny temat, powracający zazwyczaj we wspomnieniach sentymentalną nutą po latach, a zwłaszcza przy jubileuszowych koleżeńskich spotkaniach absolwentów. Ale przecież niebłaha, gdy ze wspomnień wyłaniają się postaci nauczycieli, którym się niemało zawdzięcza. Taką postacią dla Henryka Morawskiego była polonistka Liceum Pedagogicznego w Radomiu, o której dopiero po maturze (w drugiej połowie lat 50.) dowiedział się, że była łączniczką w Powstaniu Warszawskim.

I dalej – wybieram z konieczności tytułem przykładowych sekwencji. Oto w cyklu *Trzy listy o miłości* z sentymentu wspomnień wyłaniają się ojcowskie łyzy radosnej miłości; tej miłości płynącej z ukontentowania synowskimi osiągnięciami. Drugi list jest o poezji miłości, jej sile ekspresyjnej i tej psychicznej, duchowej, wzmacniającej w rozłące i samotności. „Teraz już wiem – pisze stęskniona zakochana – że tylko wielka i prawdziwa miłość wszystko pokona i wszystko przetrzyma – nawet niedobre fatum, a nawet śmierć. Pisali o tym tak pięknie i Leśmian, i Norwid, a Ty o tym wiesz najlepiej. Ja zaś piszę o takiej miłości dlatego, że warto jej śpiewać przepiękną biblijną *Pieśń nad pieśniami* – za to po prostu, że j e s t. I oby była w nas jak najdłużej, prawda?”. I naraz po tym natchnionym liryką miłosną różnych autorów zwierzeniu i po wcześniejszych reminiscencjach Leśmianowskich – przeżywamy – jak mówi Autor znowuż słowami z listu zakochanej – „miłość wprost szaloną, a przy tym prawdziwą”, którą za młodopolskim twórcą Stanisławem Przybyszewskim nazwał „opętaniem”. Jedna z czytelniczek tekstu (będącego jeszcze w maszynopisie), rozesłanego wraz z kilkoma innymi w autorskim „rankingu zainteresowania”, napisała: „Z wypiekami na twarzy czytałam o tym miłosnym opętaniu”.

Z dalszych kart ciekawej, wciągającej nas coraz bardziej książki, poznajemy bliżej Białobrzegi, powiatowe miasto z bogatymi historyczno-kultu-

rowymi tradycjami, w którym Autor mieszka i z którym czuje się od wielu lat mocno związany, dając mu z siebie bardzo dużo. Bywałem tam na spotkaniach literacko-muzycznych i z satysfakcją obserwowałem, jak go – jako literata, publicystę i działacza-regionalistę za wkład myśli i serca – cenią. Kiedy wszedłem na jego osiedle, poczułem się swojo, znalazłszy się w miejscu za dbanym, estetycznym. Z opowiadań dowiaduję się więcej „od wewnątrz”, zwłaszcza o różnych postawach i zachowaniach mieszkańców osiedlowych bloków. W lekturowej peregrynacji zaglądamy i do mieszkania samego pisarza. Wchodzimy doń w bardzo szczególnej okoliczności: wizyty przygodnego barda, który bywał w otoczeniu Bursy, Stachury, Wojaczka – dwu ostatnich miałem szczęście bliżej poznać. To ci, którzy wnieśli do poezji bunt i niepokój, nadto realizowali przesłania swych wierszy w życiu, prowokowali ekscytujące sytuacje. Powołując się na nich, bard chce zjednać sobie przychyłność Autora dla swojej literackiej sprawy. Przypatrujemy się uważnie wraz z dziwnym gościem obrazom na ścianach mieszkania, z rozpoznaniem znanych malarzy. Otoczenie obrazów, książek tworzy inspirującą do rozmowy i własnej twórczości atmosferę.

Coraz więcej okazji do wtajemniczenia się, zżycia z naszym poetą, prozaikiem i zamiłowanym regionalistą. Odwiedzamy Stromiec, nazwany przez Henryka Morawskiego „gniazdem tkliwości pełnym”, gdzie w rodzinnym domu „mieszkają dobre duchy”. Poznajemy Autora coraz pełniej i wszechstronniej: na niwie zawodowej jako filologa polonistę, nauczyciela logopedę i pełnego pasji społecznika-regionalistę, działającego od wielu lat dla dobra swojej „małej ojczyzny”.

Co znamienne – we wspomnieniowych opowiadaniach każdej sprawie towarzyszy uczucie: nic nie dzieje się bez emocjonalnego przejęcia. Zaangażowanie w podjęty temat ma wymiar osobisty i wiąże się na ogół z określonym moralnym przesłaniem. Jest to wymiar świadomości zasadzającej się na wskazaniach Dekalogu i tradycji wyniesionej z rodzinnego Domu. Domu pojętego jako ostoja najcenniejszych wartości. Autor to wciąż podkreśla, mówi metaforycznie (w „wierszowych przedmowach”) i niemal wprost, np. w reportażu bądź opowiadaniu poprzez dialog i komentarz odnarratorski.

Na drugą część *Kalejdoskopu pamięci* składają się szkice literackie. Henryk Morawski dowodzi w każdym z nich głębokiego przejęcia podjętym tematem, a nimi w większości (wyjąwszy swoistą odrębność dwu) – „chowania w duszy i sercu” uznania i podziwu kultu dla niezłomnych bohaterów walk wyzwoleniczych oraz kultu dla luminarzy literatury wzmacniających i sławiących ich heroizm mistrzowskim słowem.

To również Wespazjan Kochowski zagrzewał swym hymnem żołnierzy pancernych (wśród nich było dziewięciu ze Stromca) i rycerzy króla Jana III Sobieskiego do bitwy z Turkami pod Wiedniem, a Henryk Sienkiewicz tę zwycięską bitwę opisał i w powieści *Na polu chwały* rozsławił. To heroiczna wprost dzielność „żołnierzy leśnych”, bohaterów walki o wyzwolenie spod rosyjskiego zaboru w 1863 r., dowodzonych w powstaniu styczniowym przez niezłomnego pułkownika Dionizego Franciszka Czachowskiego, stała się natchnieniem dla pisarzy: Elizy Orzeszkowej, Henryka Sienkiewicza, Stefana Żeromskiego; notabene, Henryk Morawski dopowiada znaczenie niedocenionej opowieści *Kryjaki* Marii Jehane-Wielopolskiej z 1913 r. (ze wstępem Stefana Żeromskiego), wznowionej w 1945 i dodaje od siebie – chciałoby się rzec: od serca – piękną *Apostrofę do płk. Dionizego Czachowskiego*, sławiącą Jego patriotyzm i bohaterską postawę w bojach z carskim zaborcą.

Osobny szkic poświęcony zostaje Henrykowi Sienkiewiczowi, piszącemu „ku pokrzepieniu” serc rodaków zniewolonej Polski, który w 1905 r. – przypomina H. Morawski – „w Sztokholmie

przed królem Oskarem II w czasie uroczystości odbioru Nagrody Nobla mówił z patriotycznym żarem: «Głoszono Polskę umarłą, a oto jeden z dowodów, że ona żyje. Głoszono ją podbitą, a oto nowy dowód, że umie zwyciężyć»”.

Autor, idąc w ślad za notatką kieleckiej gazety „Słowo Ludu” z lat 50., że korzenie rodowe przodków Henryka Sienkiewicza tkwią w Grotkach (wsi obecnie należącej do gminy Radzanów w powiecie białobrzeskim), odnalazł w archiwach i aktach kościelnych uwiarygodniające to źródła. Jako pomysłodawca, szybko znalazł sojuszników w Starostwie i Gminie do chlubnego przedsięwzięcia, by Sienkiewiczowskie związki z Ziemią Białobrzeską utrwalone zostały w postaci kamiennego pomnika wraz z tablicą memoratywną – z treścią jego autorstwa.

Ramy działowi szkiców nadają opracowania: początkowe nt. wizji słowiańskiego papieża u Juliusza Słowackiego oraz końcowe upamiętniające niestereotypowo Wisławę Szymborską poprzez nakreślenie portretu noblistki z urywków jej własnych wypowiedzi (chętnie podchwyciłem ten pomysł dla „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego” w numerze 1-4 z 2012 r.).

Jak widać z dokonanego przeglądu, proza Henryka Morawskiego, scalona w jednym tomie, przemawia tak różnorodnością, jak i nośnością zasygnalizowanych przeze mnie tematów. Styl narracji, omówień i przeplatających je strof lirycznych oddziałuje na wyobraźnię, inspiruje do głębszych przemyśleń, angażuje emocjonalnie.

Henryk Morawski, *Kalejdoskop pamięci*, Oficyna Wydawnicza „STON 2, Kielce 2014, s. 246.

## Nie gubmy „okrucich wartości”

Romuald Bielenda w tym – uhonorowanym wyróżnieniem jury II Konkursu Literackiego im. Stefana Żeromskiego – swym najnowszym tomiku stale odnosi się do życia i twórczości autora *Puszczy jodłowej*. Te odniesienia są kluczem do właściwego odbioru całości jako swego rodzaju poematu i odczytania przesłań składających się nań wierszy-części. Przyjrzyjmy się, dla przykładu, kilku z nich, by lepiej odszyfrować kod *Dzbaną pragnień*. Jest w nim mocny napor uczuć, gorących słów, rozlewający się na karty

z każdym uchYLENIEM do emocjonalno-refleksyjnego posmakowania.

W wierszu *Mount Everest wzruszeń* mamy tego próbkę. Doświadczamy na nowo magii i energii pragnień z młodości. Pragnień gorącej miłości, tchnącej z listownych nagłówek rozkochanych w Stefanku pań, co pamiętamy z lektury nie tylko jego *Dzienników*, ale i wspomnień wielbicielek. To wraca teraz i udziela się pocie, który mając za sobą – przytłumiające śmielsze emocje – obowiązki pracowitej codzienności,

Promocja tomiku Romualda Bielendy *Dzban pragnień* w Wojewódzkim Domu Kultury w Kielcach

Bohater wieczoru ze Stanisławem Nyczajem...



...i Anną Zielińską-Brudek

Goście wieczoru  
Fot. Artur Bielenda



wraca nieutuloną tęsknotą za miłosnymi wzruszeniami do czasu pierwszych uniesień serca. Nie



tyle – czy w ogóle nie – do fabuły wzmiankowanych w wierszu *Dziejów grzechu*, ile samej magii szczerzej niewinności owych „wykroczeń” zgoła bezgrzesznych.

Związły rozrachunek obiecanek pokładanych w impulsach ze „strzał

Amora” i „czarnych polewek” rzeczywistego powodzenia przynosi liryk *U-chybieńia*. Trzeba więc – czytamy w *Zmrożonych pocałunkach* na nowo „rozniecać z *Popiołów* / emocje / Rafała Olbromskiego / jako własne”. Po czym „wyzwolić / kopyt krystaliczną energię” i „odjechać szaleńczo / kuligiem / w las uczuć”. Tym bardziej i tym gorliwiej, że nieubłagany czas, krępujący ręce przy uchu dzbana, „zmroził oddechy w sople / wiszące / za chmurami słońca” (*Sople słońca*), że – jak się zdaje – „klepsydra za szybko / przesypuje piasek” i miłość w „kręgu sędziwych przyjaciół” przywdziewa „domowe bambosze” wygodnego spokoju (*Chłód słońca*). Tym bardziej, gdy jesień życia wyjaskrawia przebarwieniami kolorów chęć oszukania wieku „niemodną szminką u twoich ust” i splotami „babiego lata z kasztanem włosów”. Gdy „smutek wrzosów” świeci blade „fioletem uczuć” (*Przebarwienia*).

Ta magia wspomnieniowych nawrotów roznieca drzemiący wciąż u dna pragnień młodzieńczy animusz ku miłosnej ekscytacji „uwalniania / uwiecznionych w staniku / zdumień”, „pieszczoty / każdej chwili / przebudzenia”, by „wyptynąć / na pobudzone / morze zmysłów” ku „szaleństwu / raniącemu spokój / obłąkaniem” (*Fontanna łez*).

Ale nie obiecujemy sobie od razu szaleńczego erotycznego rozbuchania. Radość z ekscytacji musi być roztropnie tonowana, powściągnięta, skoro się już wie, że piękno w miarę pór roku – i życia! – jest zmienne, „instynkt / nie wymaga makijażu / idzie na oślep [...] grzesznymi myślami [...] letnimi wdziękami”, nim je „ogaci jesień / płaszczem cnoty (*Pozory? I Płaszcz cnoty*), nim noc schowa (ukołysze snem, ukołi) „każdy krok doznań [...] ulewę zmysłowości” (*Lednia miłości*).

Sukcesem poetyckim Romualda Bielendy jest śmiałość, na przekór stereotypom, upomnienie się o dostrzeżenie i docenienie „urody posiwiąłego ogrodu”, w którym także i ci sędziwi „chcą zrywać / kiście winogron / pieścić objętość stanika / zwierać w ramionach / pień sosny rozdarty” (*Znak zakwitły i Jeszcze...*). Piękną ilustracją tego jest liryczna „litografia życia”, wzruszająco metaforycznie „retuszująca zawstydzenie”. Jest w tym zaczarowany kod dotyku Krzysztofa Cedro: róży kładzionej „na scenie powieści / zapomnianego pisarza” (*Urna*). Kod do tak wszechobecnej u Żeromskiego miłości w całym bogactwie możliwości jej doznawania.

Romuald Bielenda, *Dzban pragnień*, Oficyna Wydawnicza „STON 2”, Kielce 2015, s. 71.

## Czterolistne otwarcie się ku ufnej wzajemności

„Słowa jak włosy muskają / ledwie to, co przeżywamy” – czytamy w wierszu pt. *Horyzont miłości*. Czyli niełatwo z ich pomocą zgłębić istotę naszych zmysłowo-podświadomych doznań. Pewniej czujemy się w sferze refleksji, toteż poetka chce tę trudność precyzyjnego wyrażania zmiennych uczuć czy innych subtelnych stanów ducha – oczywiście, bez rezygnacji z prób ich pochwytywania i nazywania – przewyciężyć. W ślad za głosem sumienia stara się w tym zbiorze ambitnie co raz to przekraczać pole estetyki ku najważniejszym dziś, jej zdaniem, wyzwaniom etyki. „Trzeba mieć świadomość, / że się kocha i dlaczego”, bo „Nie przedawnia się

wierność / zagęszczona jak wino”, a to w dalszej konsekwencji „daje wiarę w niedostrzegalne – / bez prognoz, dat, kalkulacji”. I tak to w newralgicznym jakby punkcie spotykają się i konkretyzują w intuicyjne przesłania moralne owo niewyraźne z niedostrzegalnym, gdy „Tablica odpowiedzi / odwraca się plecami / z nadcinanym węzłem gordyjskim” – głosi puenta wiersza *Otwieranie pytań*.

W tomiku Anny Zielińskiej-Brudek – zaszczytnie uhonorowanym wyróżnieniem „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego” w II Konkursie Literackim im. Stefana Żeromskiego – mamy aż cztery akty duchowego otwarcia. Pierwszy „na dobroć i spokój”

## Promocja tomiku Anny Zielińskiej-Brudek *W oknie zaufania* w kieleckim WDK

Niespodzianka od przyjaciół



Autorce gratuluje  
biskup Marian Florczyk



Piękne kwiaty od pośła  
Jana Cedzyńskiego



Autorka w rozmowie z Jackiem Wiatrowskim

Bronisław Opatko wykonał m.in. skomponowaną do wiersza Autorki piosenkę



Autorka podpisuje swój tomik

Fot. z archiwum  
Jacka Wiatrowskiego





jest oknem „z widokiem na miłość”, tę „w oszklonym uścisku / niegaszonego światła”. Oknem „Z prawdziwych słów, / jakich nie słyszał nikt”. Może jednak jest to tylko iluzja? Jak przy potknięciu o drugi szczebel sennej „wspinaczki po zaufanie, / póki się jeszcze nie spadnie / z drabiny oczekiwań

/ na romantyczną głowę / za rzeźbienie swoich mrzonek”? Zasnute pajęczyną wątpliwości „okno zaufania” w „rozbudzonym poranku” nadziei pozwala „wyruszyć na poszukiwanie”. Czego? Czegoś niepochwytanego, co próbuje wypatrzeć podmiot sugestywnego kreatywnego liryku *Gdzieś ty jest?*, w którym „Na niebie jesieni / kłębią się koników / siwe łby”, tych rączych, co pod koniec imaginacji, gdy „już dni przyćmione”, „skubią mgłę, / by wymościć / bielone postanie”. W wierszu *Na białym szlaku* akcji poszukiwania miłości „łagodnej, otulonej trwaniem / z prostych słów i gestów / na wyciągnięcie ręki” towarzyszy „szadźka Słońca z Księżycem”, która nie przesłania naszej dobrej planety zaćmieniem; „są widoki na jutro”. Te „widoki” to właśnie zaufanie, „wykołysane” jak niewinne dziecię, to „Sprowadzenie miłości / z nieba na ziemię”. To na „balu spełnionym”

W muzyce spojrzeń  
zatrzymane chwile  
obejmują zasięgiem  
nieznaną bliskość  
splecionych oczu.

to „podczas zalotów z wiosną / zapuszcza kórkę otucha”.

W drugim akcie odnajdujemy „listy pachnące spełnieniem”, sposób, jak „być samym dążeniem”

i w wierszu *Ty jak los* tyleż liryczną w stylistyce wyrażenia, co i uniwersalną w istotnym znaczeniu dewizę wzajemnego szacunku i dobroci:

Należysz do mnie  
z miłości do siebie.

W trzecim akcie dominuje – jako dobra „wskaźówka dnia” – wola odjęcia naszej obciążonej nie lada zmartwieniami powszedniości cierpienia, smutku... A przecież wcale nie jest to proste, gdy widzi się u „naznaczonej” przez „troskliwe” dzieci „łachmanem rozłąki” biduli matuli, że „Po policzku [jej] gorąca łza / jak dotyk krzyżyka na szyi”, gdy spotyka się w „mojej krainie” leżącego „przybędę chromego / zwiniętego w kłębek / i biedę kąśliwą”.

„Dodanie przyjaźni, wzruszeń...” zapowiada część IV zbioru. Nie tylko, bo też jest w niej „spowiadanie się morzu / z odcisków wspomnień”, są powroty do czasu młodości, jawi się piękna liryczna definicja: „Podróż z miłością / jest esencją życia”. Jest wreszcie tekst niezwykle: *Kolęda policyjna*, która „na baczność i spoczniej / ślubuje służyć człowiekowi / na wodzie, w ogniu i powietrzu”, która „jest konieczna do życia, [...] surowa wobec zła i słabości, / dumna, ale sprawiedliwa i ciepła”. W refrenie „salutuje narodzonemu Jezusowi, / by dla praw boskich i ludzkich / nie zabrakło strażników i wart”. Pamiętam, słuchali melodii, a zwłaszcza uważnie słów tej kolędy z zaskoczeniem i podziwem dla naturalności i prostoty widzowie „Teleexpressu”.

Może więc być książka Anny Zielińskiej-Brudek z pięknymi ilustracjami jej siostry Ewy prezentem na szczęście. Znalezienie jej wśród wielu tomików może być przepustką do własnego, osobistego szczęścia dla Czytelnika, który poprzez karty zechce głębiej wejrzeć w tajemnicę magicznego przesłania.

Anna Zielińska-Brudek, *W oknie zaufania*, Oficyna Wydawnicza „STON 2”, Kielce 2015, s. 96.

## Poezja współdoznawania

Świat poetycki Marleny Zynger z każdym nowym jej tomem poszerza się i wzbogaca artystycznie. Mało tego, zyskuje coraz to szerszy rozgłos dzięki przekładom na angielski (autorka często bywa w Londynie), rosyjski, bułgarski. Związane na festiwalach kontakty (tak pod-

czas edycji Światowego Dnia Poezji UNESCO, jak dorocznego Festiwalu Poezji Słowiańskiej) procentują, inspirują, zobowiązują.

Myślę, że z takich inspiracji zrodził się ten zbiór jako trzeci z kolei pełniejszy wygłos poetki. Wygłos przemawiający podjętymi śmiało proble-

## Z Festiwalu Poezji Słowiańskiej w Warnie (maj 2015)



Marlena Zynger, Stanisław Nyczaj, Tomasz Mielcarek – poeta polski zamieszkały w Wielkiej Brytanii

Od lewej: bułgarski poeta i tłumacz Łyczezar Seliaszki, Stanisław Nyczaj, Marlena Zynger, Tomasz Mielcarek



Dzień Flagi w Święto Cyryla i Metodego. Druga z prawej Ełka Niagołowa – przewodnicząca Słowiańskiej Akademii Literatury i główna organizatorka festiwalu



mami obchodzący-  
mi dzisiejszego czy-  
telnika i słuchacza;  
Marlena chętnie  
występuje publicz-  
nie i można powie-  
dzieć, że ze swym  
dzisiejszym odbior-  
cą ma żywą bieżącą  
styczność, zna jego  
reakcję, sonduje za-  
interesowania.

Z przejściem  
kontestuje obcość świata, bezduszny egoizm  
rządzącej nim komercji (nawet miejsca czci „ci-  
chej zadumy wdzięcznej pamięci przemieniono  
w targ, groby na „stoły jarmarczne”), ale też  
kontestuje zwodniczość świata wirtualnego,  
którego „bogowie”, wciągając ufnych marzycieli  
do gry w sieci, zręcznie nimi manipulują; ludzą  
zblizeniami, które w istocie nicują wrażliwe  
osobowości, zniewalają je, uzależniają. Głęboko  
porusza rozpaczliwe wołanie: „obudźcie mnie  
/ śni mi się rozerwane serce [...] przyjaciele /  
obudźcie / ja chcę żyć nie śnić”. Wrażliwy pod-  
miot nie poddaje się, chce wyczekiwaniem,  
upragnionemu przyjacielowi wyjść naprzeciw.  
To mocny atut tomu! Jest w tym postanowieniu  
zdeterminowany; wypracowuje w sobie intersu-  
biętywną technologię postępowania: „dotykam

układów scalonych / Twojej wyobraźni / oraz  
dysku twardego pamięci / pozwalając na swo-  
bodny / przepływ energii i informacji / od ciebie  
do mnie / ode mnie do ciebie”. Pocałunek czule  
„dopowiada”: „muskam Twoją wyidealizowaną  
rzeczywistość / subiektywną kreację”. Wymow-  
ny w tym kontekście – co do znaczenia pięknej  
intencji – jest wiersz niewidzialny most, dla któ-  
rego niezbywalnej trwałości po prostu „ważne  
są przęsła ustaleń / uzbrojone w konsekwencję  
dążeń / szacunek i uśmiech”; nie ma potrzeby,  
na sposób wyrachowanej polityki, „mierzenia sił  
/ jak czynią to USA i Rosja”.

Marlena Zynger wierzy w magiczną moc „sa-  
motnych myśli poetów”, które „rzucane za siebie  
rozmnażają się”, jak i w moc „słów ocalałych”.  
Cała nadzieja w tym, że owe myśli i słowa „jeśli  
padną na właściwy grunt / stworzą ludzi”. Emo-  
cje i refleksje w specyficznym języku i swoistej  
stylistyce poetyckiej wypowiedzi (mniej metafo-  
rycznej, bardziej „oznajmającej”) są tu świadom-  
ie niejako zrównane. Zrównane, bo mają się  
wspierać i dopełniać w sposób naturalny, nie-  
wyszukany, tak jak się ze sobą podczas ważnych  
spotkań rozmawia. Jest to ciekawie intensywne  
– podkreślam z uznaniem – napromieniowanie  
słowem wspaniałych sytuacyjnych relacji: żeby  
poezja współdoznawania, słowem tym wywoła-  
na (jego brzmieniem, liryczną barwą), zaistniała  
autentycznie w szczerej wzajemności.

## Z lekkością i rozważą

„Słowodaj” nie musi być prawdomówny,  
ale przekonujący – ta podszyta subtelnym  
żartem sentencja z rozdziałku *Myśli* trafnie



określa, po pierw-  
sze, nieprostodusz-  
ny sens tytułu tego  
zbiorku *Słowo daję*,  
który wraz z podty-  
tułem *Fraszki i inne  
utwory satyryczne*  
obietuje domyślnie  
przrzeczenia z jed-  
ną dłonią na sercu,  
udającą szczerłość,  
i równocześnie  
z drugą przytkniętą  
palcem wskazują-

cym do czoła, by miał dowierzać, zdrowo się  
z dobrych intencji roześmiać. Po drugie, „sło-  
wodaj” jest podmiotem nie refleksyjnym czy  
emocjonalnym, a ironiczno-prześmiewczym  
i może sobie beztrudnie balansować na krawędzi  
pół- i ćwierćprawd, zwodząc łatwowiernego  
czytelnika. Po trzecie, coś tu jednak musi być na  
rzeczy, skoro intrygują nas paradoksy, zaczepne  
aluzje, karykaturalne obrazki i sytuacyjki pod-  
chwyczone z umizgów rzeczywistości, w których  
od szczypt „mądrości” aż się roi. Można więc  
kiwnąć głową: tak, niby wszystko się zgadza, tyl-  
ko jak wszetecznie! Bo wszelkiemu dobrodus-  
nemu przekonaniu trochę na przekór bądź zgoła  
całkiem na odwrotną i setny ubaw do rozpuku.  
Choć skądinąd trochę odechciewa się żartów na  
podejrzeń, że „Słowodaje / Rządzą krajem”.

Z promocji tomiku Elżbiety Jach *Słowo daję* w skarżyskim MCK



Autorka i Stanisław Nyczaj





Występ teatru „Bez Maski” z MCK pod kierownictwem Jagody Juchniewicz

Na spotkanie licznie przybyli miłośnicy poezji



Autorka podpisuje swój tomik  
Fot. Włodzimierz Jach, Tomasz Pędzich

Elżbieta Jach bawi się słowem, zyskującym pod jej piórem lekkość, ale też waży je i ceni. Jest przeciw pustemu gadaniu, gdy „Wielu słowo daje / I na tym poprzestaje”; przeciw gadaniu nieodpowiedzialnemu we fraszce *Dla świętego spokoju*: „Nie odpowiadać za własne słowa, / Byle spokojna była głowa”; przeciw gadaniu dla zabicia czasu: „Gadu, gadu – do obiadu, / Po obiedzie – jakoś będzie”. Po babsku, ale łębsko w rezultacie uwarzyła w swym „politycznym kociołku” dokładnie i dosadnie, jakie pociąga za sobą skutki nieliczenia się ze słowem, kiedy np. jest jego nadmiar w okresach przedwyborczych pyskusji.

Poetka-humorystka wymyśliła zgrabne fraszkowe „frywolitki”. Dla przykładu: jak w relacjach damsko-męskich uczciwe słowo sprawia obustronny sukces: „Dał dziewczynie słowo / I było – odlotowo!”, ile zaś warte jest „wrywne” przyrzeczenie gołosłowne: „Wczoraj dał dziewczynie słowo, / A dziś chadza z laską nową”, zaś aktorzyna „Dawał słowo, obiecywał, / A potem wariata zgrywał”; krótko mówiąc „Z obietnic – / Nic!”. Lekkoduch „Nie dotrzymał słowa żadnego, / Nawet – kościelnego”. Z kolei – w dowcipie słowno-sytuacyjnym – jak to jest, gdy owo „wrywne” zarzekanie się grozi wpadką:

Mówił, że od kobiet stroni.  
Jedna go dorwała  
I już było po nim.

W rozdziałku *O zwadach i wadach* wchodzi już w grę poważniejsze słowne konsekwencje, że choćby przytoczyć: „Błędy po polsku: / Brak wyciągnięcia / Z błędów wniosku” czy

Zwykle wielość przytaczanych argumentów  
Przykrywa jeszcze więcej przekrętów.

W narodzie „Najlepiej plotka / Rośnie w opłotkach” (rodząc kłamstwo, które „ma krótkie nogi, ale długi język”), a w swarach „Nie kłóć

się z cukiernikiem, / Bo możesz dostać tortem / Razem z talerzykiem”. Na giełdzie wartości „Wszystkie ceny idą w górę. / Cena słowa – wciąż pikuje”, w sądach „Kto wyłoży więcej mamony, / Będzie sprawiedliwiej osądzony”, natomiast po otwarciu granic „Co krok – golizna, / Co słowo – angielszczyzna”. Całkowicie tracą na wartości słowa w „przepowiedniach o końcu świata”.

W cyklu *Wierszy (nie)poważnych* wyborcza debata przechodzi w słowolejstwo: „Pla, pla, pla... / Ple, ple, ple... / Każdy mówi to, co chce”, skutkiem czego „Po godzinie, po debacie / większy chaos ma w temacie”.

Oszałamiającą moc ludzkiej rozmowy w limerkach pomysłowo przejmują wiatry. Oto

Wiatr znad Morza Bałtyckiego  
spotkał kolegę znad Północnego.  
Dawno się nie widzieli,  
zeszło im do niedzieli...  
i nie przegwizdali wszystkiego.

Ale zwracam jeszcze raz uwagę na myśli autorki, mające aforystyczne zacięcie przy wymownym przestaniu: „Nie traktuj nikogo jak powietrze, bo możesz mieć kłopoty z oddychaniem”, „Największa demokracja byłaby na cmentarzach, gdyby nie pomniki”. Dobrze się słucha takich myśli, jakim wtórują słowno-znaczeniowe gry w rodzaju „Po pewnym czasie nawet pewność traci na pewności”.

Ja po lekturze zyskałem pewność niewątpliwą, że w tomik ten, pełen humoru, a także swoiście lirycznych akcentów, warto było się wczytać. A jak już napomknąłem o lirycznych akcentach, to chcę dodać na koniec sugestywne spostrzeżenie autorki, iż „Miłość jest światłem, dlatego zakochani promienieją”. Bardzo trafne i piękne.

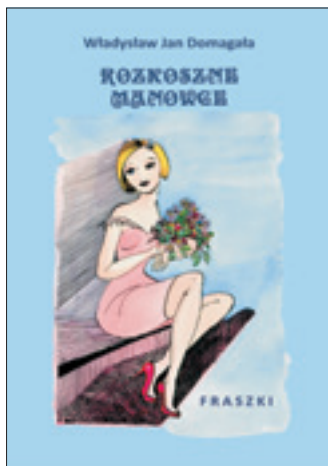
Elżbieta Jach, *Słowo daję. Fraszki i inne utwory satyryczne*, ilustracje Ewy Juszkiewicz-Wojtasik. Oficyna Wydawnicza „STON 2”, Kielce 2015, s. 118.

## Marzyciel i realista

W twórczym dorobku Władysława Jana Dymy, oprócz wierszy lirycznych, na uwagę zasługują krótkie teksty żartobliwe, a zwłaszcza fraszki. Ułożył ich tyle, że udało się z nich skomponować zgrabny odrębny zbiorek. To praw-

dziwa gratka dla tych, którzy autora znali i dziś z sentymentem go wspominają.

Spotykałem się z nim w Kielcach od lat siedemdziesiątych minionego wieku, m.in. w redakcji miesięcznika „Przemiany” przy Śniadeckich, na imprezach literackich w Klubie Dziennikarza na-



przeciw Teatru im. Stefana Żeromskiego, w Klubie MPiK przy Warszawskiej (w pobliżu jego zamieszkania), kawiarni „U Sołtyków”, teatralnej „Dziurce”... Był lubiany za bezpośredniość, życzliwość, uśmiech, stały optymizm, a także za skromność i samokrytycyzm w rozmowach o twórczości. Chętnie przyjmował koleżeńskie rady, najczęściej Zbyszka Nosala i moje. Ufał mi, dlatego czuję się niejako upoważniony do przygotowania utworów, jakie pozostawił, dla szerszego kręgu Czytelników.

Fraszki – zgodnie ze swym satyrycznym charakterem – żartobliwie dotykają różnych spraw obyczajowych, moralnych, jak również obrazują zabawnie bądź karykaturalnie niewłaściwe ludzkie zachowania czy sposoby postępowania.

Na dominację tematyki męsko-damskiej wskazuje już tytuł *Rozkoszne manowce*. Tematyka ta rozbudzała wyobraźnię wszystkich fraszkopisów. Była tak samo aktualna w czasach Reja i Kochanowskiego, Fredry, Boya-Żeleńskiego, Tuwima, Hemara, jak bliższych nam Sztudyngera, Polanowskiego i następnie Bułatowicza (antologisty książki *Z fraszką przez stulecia*) czy Konopińskiego.

Nasz autor podejmował ją chętnie i zajmująco, dworując sobie np. z marzycielskiego ślepego zakochania:

Opanuj się, chłopie,  
nie stój przy tej bramie.  
Bokiem tobie wyjdzie  
ślepe zakochanie.

(*Kubel zimnej wody*)

Podśmiewa się z nadmiaru skrupułów przy miłosnym zadurzeniu, ale i z ryzyka przygodnych miłostek. Ukazuje przesadną skromność pań udających niewiniątka, lecz i spryt odwiedzającej dom koleżanki, która „wykolegowuje żonie męża”.

Poeta jest rejestratorem subtelnych momentów, kiedy pomiędzy „mającymi się ku sobie” zaczynają odgrywać rolę pewne niuanse, np. ukradkowe całusy, oddziaływanie wdziękiem,

powonieniem... Co może wdzięk, pokazuje tytułowa fraszka:

Żeby nie z Zytą,  
byłby jezuitą.  
Ona swym wdziękiem kusząc, sprawiła,  
że na manowce go sprowadziła.

A oto wnikliwe spojrzenie na zamyślonych:

Nic do mnie nie mów,  
o nic nie pytaj.  
Przytul się, tylko  
z myśli mych czytaj.

(*Tajemna mowa myśli*)

Jest mowa o skrytych uczuciach, „czułych ramionach”, przysięgach w blasku księżyca. Takie romantyczne sytuacje wyglądają zabawnie, jednak nie ma bez nich potem między kobietą i mężczyzną uczuciowej stabilności dającej wzajemne przywiązanie, bo

Kiedy na uczucia  
miłości nie starczy,  
to jedno na drugie  
z nienawiści warczy.

(*Z braku miłości*)

Do rodzinnego pożycia wkradają się alkoholizm i rozpacz: „...on zagląda do kieliszka. / Ona ciągle chustkę moczy”. Były „sny o ideałach”, a teraz gorzko obydwójce są sobą „zawiedzeni”. I taki właśnie ostrzegający tytuł ma fraszka.

Imionnik, odnoszący się do imion wyłącznie żeńskich, wskazuje na całą rozległą paletę zalet



Fot. Ewa Juszkiewicz-Wojtasik

## Z promocji tomiku fraszek J.W. Domagały w Wojewódzkim Domu Kultury w Kielcach

Maria Domagałowa (wdowa) i Stanisław Nyczaj na promocji tomiku Autora



Stanisław Nyczaj w rozmowie z ilustratorką tomiku Ewą Juszkiewicz-Wojtasik



Recytatorki i wokalistki. Od lewej: Monika Domagała (wnuczka Autora) i Agnieszka Manacewicz

Fot. Marianna Piotrowska



kobiet zapamiętanych z wyglądu lub ich podpartzonego zachowywania się i rozszyfrowywanych pod imiennym kryptonimem, jaki obrał los. Np. Anna mogłaby „umyc plecy w wannie”, Beacie przeznaczone są „urocze kwiatki” wyhodowane w „ogrodzie marzeń”, Celina „pobudza natchnienie”, tęsknoty zdążają do Danuty, Halusi, Jadwigi, zazdrość – do Elwiry, Weroniki, u Eli ceniony jest uśmiech, „siłą za dwóch” grają uczucia do pięknej Łodzi, Marta uchodzi za nieocenioną, Monika „wzbudza miłosne drżenie”, wielce da się kochać „rozkoszną” Sylwię, Urszula ma zgrabne ciało do przytulenia, gdy się ono „wymknie jej spod koszuli”, wiosenne życzenia przeznaczone są dla Zosi. Imię żony Marii „brzmi jak aria w operze”, czułość wzruszenia kojarzy się z imieniem córki Grażynki.

Słowem, kobiety ekscytują poetę, ma dla nich wielką atencję. Rzadko się trafia jakaś uraza do osoby z dala omijanej, lecz niepostponowanej. To uznanie przechodzące czasami w kult kobiecych walorów jest szalenie ujmujące. Dzięki temu imionnik może przynieść książeczce popularność.

Ale pamiętajmy też o spostrzegawczości Władysława Jana Domagały „dokumentowanej” fraszkowo w miarę przeobrażeń zachodzących w ciągu jego długiego życia – a więc w historii wpierw PRL-u i po ustrojowej transformacji – w fraszkowym dziele *Jak zmieniał się świat z biegiem moich lat*. Przypomniane tu zostają: po przemianach narodowych zmiany w rodach, gdzie zarysowuje się układ „dziadziś obszar-nik, wnuczek komunista”, „wysadzanie z fotela jaśniepana strajkiem”, apelowanie o czyny przy deklaracjach odnowy, egoistyczne podchodzenie do spraw, zmienność postaw, brak szacunku dla językowej polszczyzny. Zaczynają odgrywać rolę układy, „plecy”, ujawniają się podwójne oblicza mocodawców:

Panował monarcha,  
udowadniał swe racje.  
Trzymał się fotela  
i chwalił demokrację.

(*Demokratyczny monarcha*)

W wymownym obrazku *Pod Teklą* w Rynku bezrobotni „szukają wzrokiem / jelenia na te swoje marzenia, / na pisane patykiem, / przegryzione śledzikiem”. Nie ma wypowiedzianych słów

narzekań, tylko cierpliwe czekanie: „– Spokój, przecież nie draka”. I autorefleksja poety:

Zastanawiam się  
i nadal nie wiem wcale:  
– Jakim ja jestem  
swego życia kowalem?

(*Nad sobą*)

Wyodrębnione zostały fraszki *Z nutą dydaktyczną* i *Z nutą liryczną*.

Dydaktyczne, moralizujące „nakazują”: ostrożność („Każde słowo waż i sądź”), pielęgnowanie przyjaźni („Trwalszej niż pień”), potrzebę uczciwej wzajemności („Jak ty mnie traktujesz, / tak ja cię szanuję”), potrzebę prawdziwej miłości („Im więcej komu ją dajesz, / tym więcej ci jej zostaje”). Słowa z „fraszkowego” wstępu o zodiaku i losie spuentowane zostają:

Wartko płynie życie,  
zodiaku wskazania...  
Skutki przyjdzie zbierać –  
owoc wychowania.

(*Skutki przyjdzie zbierać*)

Fraszki *Z nutą liryczną* wyrażają wdzięczność za okazaną troskę w długoletniej chorobie, marzenia o czystym niebie nad Białym Zagłębiem, refleksję o nieuchronnym przemijaniu. A następnie w ostatnim najszcuplejszym objętościowo dziele *Myśli* wyodrębniliśmy odnalezione w papierach pośmiertnych warte zapamiętania sentencje, jak np. „Prawdziwa miłość jest niewyczerpalna”, „Aby mowę mego serca zrozumiało twoje serce!”. I chciałbym zwrócić uwagę jeszcze na ten zapis: „Jak w klatce kanarek, tak moje marzenia”, mówiący o odwiecznym rozdarciu pomiędzy marzycielstwem a realizmem i o skrępowaniu marzeń do śmielszych lotów, które mogą być tylko wyśpiewane jak przez kanarka w klatce. Władysław Jan Domagała wyśpiewuje je swoją liryką. We fraszkach pokazuje, jak się te dwie przeciwstawne postawy – marzycielska i realistyczna – w życiu tyleż boleśnie, co i niekiedy zabawnie zderzają, iskrząc zadziwiającą różnorodnością przejawów.

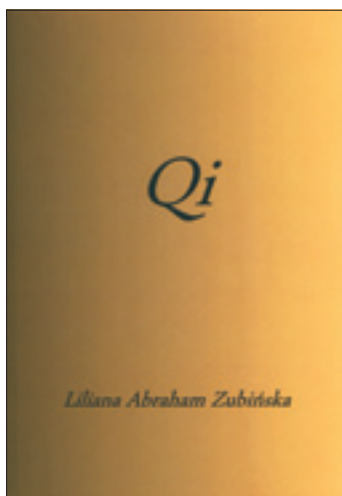
Władysław Jan Domagała, *Rozkoszne manowce*, Oficyna Wydawnicza „STON 2”, Kielce 2015, s. 74.

## Poezja inspirowana Qi-gongiem

„Słowom odbieram nadane znaczenie  
niech znaczą co Jest”

Liliana Abraham Zubińska

16 lutego 2015 r. odbyła się promocja najnowszej książki Liliany Abraham Zubińskiej w Osiedlowym Klubie Kultury „Miniatura” w Kielcach. Książka nosi bardzo krótki tytuł: *Qi*.



Qi w filozofii chińskiej to hipotetyczna energia życiowa, której manifestacją miałyby być zjawiska i procesy natury. Chiński ideogram Qi używany jest na określenie jednoczesnego „życiowego tchnienia” i „kosmicznej energii”. Jest to więc chińska

odmiana idei fundamentalnej: jedności człowieka i wszechświata. Qi przenika cały wszechświat, stanowiąc podstawę, z której tworzy się materia.

Promowana książka Liliany Abraham Zubińskiej zawiera wiersze i ilustracje autorskie, inspirowane Qi-gongiem (Qigong składa się z dwóch słów: Qi – życiowa energia i gong – perfekcyjne opanowanie sztuki kontroli energii życiowej). Liliana ćwiczy Qigong od roku 2009, jako członek Polskiego Stowarzyszenia Zdrowotnego Qigongu w Kielcach. To na zlecenie i za namową tego stowarzyszenia poetka wydała omawianą tu książkę. I przy pomocy tegoż stowarzyszenia zorganizowano uroczystą promocję oraz wernisaż obrazów – ilustracji. Termin promocji wybrano tak, by zainaugurować Rok Kozy w tradycji chińskiej. Dokonano tego dla licznie zebranych członków PSZQ w Kielcach, którzy tego wieczoru przybyli do klubu „Miniatura”.

Liliana Abraham Zubińska jest członkinią ZLP O/Kielce. To ceniona poetka, prozautorka i eseistka. To także uzdolniona plastyczka, o czym przekonali się Jej goście podczas promocji i wernisażu. Prace plastyczne wykonane w większości w technice akwareli na papierze czerpanym są subtelne, sym-

boliczne, niemal „eteryczne” i świetnie uzupełniają filozoficzną, esencjonalną, mądrą poezję. Wiersze przetłumaczono na dwa języki: angielski i niemiecki, co czyni ten zbiór potrójnie wartościowym, gdyż istnieje potencjalna możliwość, że trafi do szerokiego grona odbiorców. Gratuluję koleżance Lilianie twórczego zamysłu, głębokich i mądrych wierszy oraz talentu plastycznego. Życzę dalszych sukcesów na niwie literatury i plastyki.



*Medytacja*



*Chiński smok*



Podczas spotkania towarzysko-artystycznego 16 maja 2015 roku w Zagnańsku k/Kielc, od Wawrzyńca Marka Raka

dostałem interesujący tomik poezji *Markowe haiku*. Poeta wpisał mi stosowną dedykację zaznaczając aktualne swoje zamieszkanie – „z węgierskim pozdrowieniem”. Wawrzyniec urodził się w miejscowości Gnojno w woj. świętokrzyskim. Życiem i tomikiem zaznaczył trzy państwa. Polskę – miejsce urodzenia, Węgry – małżeństwo i miejsce zamieszkania, Japonię – formę literacką. To miłe dla życia zwielokrotnione.

Książka jest doskonale opracowana graficznie. To zasługa Ireny Nyczaj. Okładka jest pełna uroku plastycznego. Czarny duży żuraw na pierwszym planie, a w głębi ilustracji całe ich stado na tle wschodzącego, żółtego słońca. Tytuł *Markowe haiku* wykonany jest kaligrafią przy pomocy pędzla. To ładna kaligrafia nawiązująca do całej okładki, jak i stylem do japońskiej. W środku ilustracje czarno-białe i kolorowe, oczywiście z motywami japońskimi. Szczególnie zachwycony jestem grafikami kolorowymi na stronach 41 i 107, ilustracjami czarno-białymi na stronach 17, 61, 95, 119. Na ostatniej stronie okładki zdjęcie autora i notka biograficzna. Pragnę zwrócić uwagę na piękny papier wykorzystany na okładkę. Tonacja pomarańczowa z iluzją trójwymiarową elementów roślinnych. Znakomity wybór, przez co estetyka książki jest na najwyższym poziomie. Gratuluję Irenie, że z pięknych elementów sztuki japońskiej potrafiła stworzyć urokliwie bajeczne własne grafiki. To świadczy o jej możliwości twórczej, bez zahamowań, a podświadoma spontaniczność doprowadziła do takiego pozytywnego efektu artystycznego.

Haiku napisane są dobrym krojem czcionki, która jest przejrzysta dla czytającego. Nie męczy wzroku. Każdy wiersz ma wokół siebie przestrzeń, przez co staje się wyróżniony i bardziej zachęcający do czytania.

Podziwiam Wawrzyńca za umiejętność opisanie zjawisk lub ludzi w wieloraki sposób. Choćby

## Haiku na każdą okazję

o paniach – w ich różnym wieku, w ubraniach i negliżach, o ich łaskawości lub braku itp. Niejednokrotnie chciałbym znaleźć się w sytuacjach, o których wspomina poeta. Nie będę wybredny i okażę pomoc gdy:

Upadła dama  
na swe łożo mój Boże  
nie będąc sama

Natomiast tutaj chcę być bez strachu w stosunku do dziewanny:

Brak mi odwagi  
choć panna jak dziewanna  
godna uwagi

Optymistycznie do życia nastroił mnie poniższy wiersz. Dostałem nadziei, że w konfrontacji z władzą niekoniecznie muszę być na pozycji przegranej. Oto ta otucha:

Bogumił Wtorkiewicz

HAIKU  
NA KAŻDĄ OKAZJĘ



Władza zmuszana  
tak się lęka że klęka  
na dwa kolana

A oto hipokryzja życia. Spotykam się z nią  
codziennie i z ludźmi, którzy ją czynią. Ten wiersz  
jest jak przesłanie ewangeliczne, nomen omen,  
wg Marka:

Jeśli źle czynisz  
na nic modły boś podły  
piekłem zaś finisz

Autor zwrócił uwagę, że człowiek wykształ-  
cony i rozumny powinien mieć głowę otwartą  
na żarty. Czysty humor nikomu nie zaszkodził,  
a dodaje splendoru człowiekowi, który go po-  
siada. Marek stwierdza:

Równie na żarty  
wykształcony uczony  
ma mózg otwarty

Bardzo zaintrygował mnie wiersz o zaradności  
życiowej. Chwilę myślałem, a może jest to możli-  
we, skoro poeta nad tym się zastanawia. Muszę  
to przemyśleć z tendencją do zrealizowania.  
Oto wytyczne:

Kogo stać na to  
by bez kasy na wczasy  
pojechać w lato

Wawrzyniec opisuje meandry ludzkiego  
postępowania. Jakie to bliskie każdemu czło-  
wiekowi. Widać to na każdym szczeblu władzy  
i społecznego postępowania.

Świat się nie nudzi  
egoista korzysta  
z dorobku ludzi

Japońskie haiku przedstawiają też problem  
typowo polski. Oby tylko w tych dziedzinach Ja-  
ponia nie była drugą Polską, nie ma się co rozwo-  
dzić w opisywaniu problemu. Wszyscy to znają.  
Wystarczą tylko literackie klucze – Marka haiku.

I system kamer  
szczerze nie zapowieże  
mnogości afer

Wciąż płyną skargi  
na oferty z koperty  
i złe przetargi

Dziś był w Warszawie  
winny zbieg gdyż dalszy bieg  
chciał nadać sprawie

Człowiek się boi  
czasem mówiąc nawiasem  
gdzie sami swoi

Jest i przesłanie o ogólnoświatowym wy-  
dźwięku. Tam gdzie człowiek, tam i ten problem,  
czyli:

Człowiek się ludzi  
że wcześniej czy później  
to pozna ludzi

I podobny:

Prawie każdy z nas  
pragnie na ziemskim bagnie  
przedłużyć swój czas

*Markowe haiku* to markowa poezja dla każde-  
go czytelnika posiadającego intelekt i poczucie  
humoru. Nawet jeśli tych cech chwilowo mu  
brak, to osiągnie je po przeczytaniu książki.  
Autor ma doświadczenie życiowe – to wywo-  
dzące się z pracy zawodowej, jak i z obserwacji  
życia. Do tego dochodzi umiejętność literacka.  
Wawrzyniec jest z zawodu technikiem mecha-  
nikiem. To jeszcze jeden przykład osobowości  
twórczej, gdzie formalne wykształcenie nie ma  
bezpośredniego związku z twórczością. Raczej  
wzbogaca osobowość. Kilkaset haiku świadczy,  
że Wawrzyniec ma potencjał twórczy. Na pewno  
pomysły przychodziły mu do głowy o różnych  
porach dnia i nocy, w różnych sytuacjach dnia co-  
dziennego. Erotyki w haiku to dla mnie odkryw-  
cze zjawisko. Wawrzyniec opisuje kobiety często  
precyzując, że są w negliżu, co świadczy o jego  
umiłowaniu życia i piękna kobiecego. Utożsa-  
miam się z jego zainteresowaniami. Jeszcze raz  
wspomnę o pięknych plastycznie ilustracjach.  
Z podobnym zaangażowaniem zachwyam się  
nimi jak niewieścim neglizem. Reasumując, war-  
to studiować te utwory dla humoru i filozofii. Do  
tej książki wprowadzi nas piękny czarny żuraw  
unoszący się z okładki na kwiecistą łąkę haiku.

*Bogumił Wtorkiewicz*

## Silva rerum

Joanna Kłaczyńska debiutowała w roku 2014 zbiorem wierszy *Przed zmierzchem*. Tamten tomik można było nazwać „późnym debiutem”. Takie przypadki zdarzają się rzadko, ale na ogół są one interesujące, bowiem waga refleksji, przemyśleń i doświadczeń bywa – co zrozumiałe – dojrzała. Życie dolewa nam swoich esencji. Te słodkie i gorzkie dary odkładają się w zakamarkach głowy i serca, i nagle dopominają się wystowienia. Joanna Kłaczyńska miała sprzyjający doping: interesowała się między innymi malarstwem, poza tym żyła w atmosferze literackiej od lat, bowiem jej mąż, Włodzimierz, jest znanym i cenionym prozaikiem. No i stało się! Impresje i refleksje poszybowały na papier.

W jazgocie młodoliterackich dykcji i eksperymentów, kolejnych zmian językowego paradygmatu poetyckiego te wiersze nie szukały swojego miejsca. I dobrze. Tak pisaliśmy czterdzieści, trzydzieści lat temu i przy tym na ogół pozostajemy. To nasz świat, to nasz język. Problem jednak polega na tym, czy mamy coś do powiedzenia, czy bagaż życia, doznań i obserwacji jest wart pokazania *urbi et orbi*. W przypadku wierszy Joanny Kłaczyńskiej ten sens – moim zdaniem – się spełnił.

Nowe wiersze Autorki biegną dwoma torami. Pierwszy określiłbym jako „zapis melancholii lirycznej i estetycznej”. Ona bierze się z doznań emocjonalnych, z odkładania tej „czułej wizji świata” w naszych wzruszeniach i zachwytach. Z palpacji wzruszonego serca. Czasami – bywa – kumulują się w czarnych chmurach. Jeśli poeci powinni być wyposażeni w gen „czułej obserwacji”, to Kłaczyńska ma ten gen wielce aktywny.

Znajdziesz, Czytelniku, w tym zbiorze wiersze, które jeszcze umięją się zachwycać. To coraz rzadziej występuje w nowej poezji, która poszła za głosem licznych traum. Kłaczyńska umie – po norwidowsku – cieszyć

się „listkiem do szyby przyklejonym, deszczu kropelką”. Ale w wierszach, po których błąka się uroda świata, rzadko kiedy idzie o efekt estetyczny. Za każdym razem pojawia się refleksja egzystencjalna lub etyczna czy też słowa poszukujące wymarzonego ładu. Jak w tym wierszu o ludziach, którzy są

...dobrzy  
i to mnie urzeka  
że jedną miarą  
mierzą  
życie kota  
i człowieka.

To piękna i mądra pointa, niesłuchanie prosta, a jednak mocno zapadająca we wrażliwej pamięci i wyobraźni.

Poetka unika patosu. Nie dała się uwieść żadnej „mowie wysokiej”. Choć przecież nie stosuje tzw. mówienia wprost, choć metaforyzuje i parabolizuje swoje obrazy, choć stąpa po jakiejś niekolokwialnej łące słów – to chodzi po ziemi, wyczuwając jej grudy pod nogami.

Myślę, że skoro już padło słowo „łąka”, to koniecznie muszę dodać, że jesienna. Jednym z ciekawszych wątków tych wierszy jest dorosłość żywota. Pamiętacie z różnych obrazów i plafonów alegorie pór roku? Tutaj w swym koszu jesień niesie Mądrość. Z jednej strony żal, rzecz jasna, przemijania i uroków minionej młodości, z drugiej jednak bagaż życia staje się mentalnym jego dorobkiem. Żadnej hysterii, żadnej lamentacji. Raczej stoicyzm, a więc to najmądrzejsze pogodzenie z Losem i zdanie sobie sprawy, że przeznaczenie trzeba zrozumieć, a nie przeklinać.

Być może Joannę Kłaczyńską formatuje w swojej mierze wiara? Odniesień tu do niej sporo, choć nie nachalnych, nie ortodoksyjnych. Wątek naszego przeznaczenia w każdym razie jest tu ciekawym motywem. W jednym z wierszy pada przekonanie, że przeznaczeniem rządzą nie prawa ziemskie, nie einsteinowskie. I zapewne dlatego w innych miejscach pojawiają się „mgiełki metafizyczne”. Subtelność Kłaczyńskiej wynika z „religijności uniwersalnej”, a więc z tych snów o transcendencji, jakie hodujemy w sobie wszyscy w naszych pozaracjonalnych nadziejach.



Z nich także umie Autorka wysnuwać domysły eudajmonistyczne. W tej kwestii polecam szczególnie wiersz pt. *Klondike* – tu już ocieramy się o swoiste „przypuszczenie filozoficzne” odnoszące się do ludzkiego przeznaczenia i determinacji w poszukiwaniu Ziemi Obiecanej.

Zadaniem poezji nie jest artykułowanie argumentów racjonalnych czy pragmatycznych. Nie jest udowodnianie czegokolwiek. Zadaniem poezji jest mitologizacja celowości naszego Losu. Wiara w Klondike i w Raj; w Niebo – jeśli wolicie. I to Wam mówię ja – stary, postmarksistowski racjonalista, który nigdy nie przestał wierzyć w Zagadkę Bytu. Ona jest! Ona wyraża się w myślach, snach i słowach, które nie niosą, dowodów, lecz nie zamykają domysłów.

Jest w tym tomiku piękny wiersz o Ikarze i Dedalu. Cytuję:

Dedal  
stałą klei,  
srebrne lotki,  
aby Ikar  
w locie do słońca  
nie spadł  
do oceanu  
mitologii.

Z licznych zapisów, obrazów (np. *Ikar* Bruegla), przypowieści pamiętamy, jak pięta Ikarza za chwilę schowa się pod taflą wody. Ale kto powiedział, że tam jest Hades? Wszystko jest „dziełem otwartym” i potencjalnym wariantem.

Mitologia jest w tym zbiorze piękną kanwą odnie-  
sien. W niej przecież jeszcze pulsuje przedbiblijna

matryca naszej nadziei na z góry ustalony porządek świata i przeznaczenia. Kłaczyńska z dojmującą prostotą umie te wszystkie wątki wpleść w swoje wiersze nieunikające przecież rzeczywistości namacalnej.

Doceniam „nieprzegadanie” tych wierszy. Ich szlachetną prostotę i komunikatywność. Wszystko, co jest „za murem wieczności” spleta się tu w jakąś osobliwą jedność ze zwyczajnością, codziennością, z naszym behawiorem. Poeci Pierwszej Awangardy głosili teorię „jak najmniej słów” – tu ta asceza języka wchodzi w mariaż z jakimś barokiem myślenia. A skoro już padło słowo „barok”, to muszę jeszcze zaznaczyć, że Poetka bywa znakomita także w skądinąd odmiennej „dykcji ascetycznej”. Znajdziemy tu trochę epigramatów, chociażby takich jak ten:

Dwa splecione oddechy  
krzyczą kocham.  
Bezgłośnie.

Trzy krótkie wersy – a jakże wymowne!

W ogóle wiele tu „zderzeń” i „konfrontacji”. Z jednej strony owe uniwersalne, klasyczne symbole, bogata kulturowość tych wierszy, z drugiej pojawiają się w nich sms-y i maile, a więc symbole naszej nowej, elektronicznej epoki. Tego typu mariaże nie wprowadzają tu bałaganu – ta *silva rerum* to głos zhomogenizowanej rzeczywistości, w której żyjemy i przez którą czasami staramy się przebrnąć, korzystając z białej laski poezji. Joannie Kłaczyńskiej ta droga ułożyła się pięknie i mądrze!

Leszek Żuliński

Autorka podczas promocji tomiku *Przed zmierzchem* w Bibliotece Miejskiej w Mielcu, grudzień 2014



## Z pokłosa II Konkursu Literackiego im. Stefana Żeromskiego

### Laureaci pierwszych nagród (Następni laureaci w kolejnych numerach)

Irena Furnal  
(I nagroda za esej)

#### Bohater mojego dzieciństwa

(Fragment książki *Gwiazdzisty pył*)

Dzieci z kamienicy przy Kolejowej 49 zobaczyły wojnę tego wieczoru, kiedy na podwórzu Kozacy rozpalili ognisko i coś na nim piekli. Obok parskają czarne konie, przebierając niespokojnie kopytami. Dzieci – nieprzeganiane – stały cicho koło Kozaków i podziwiały wielkie papachy na ich głowach. Po wyjściu wojsk rosyjskich nad podwórzem zawisł niemiecki zeppelin. Rodzice chwycili dzieci na ręce i wszyscy zbiegli do piwnicy, obawiając się bomb. Ale bomby nie spadły. Stało się to dopiero 4 i 5 września 1939 r., wtedy został zburzony budynek chederu, a na ulicy przed kamienicą leżał zabity koń i przewrócona dorożka. Krótkotrwała okupacja austriacka zapisała się zmianą nazwy ulicy na Franciszka Józefa. Nie zrobiło to na nikim wrażenia, bo w Kongresówce nie uprawiano kultu starego cesarza z bokobrodami. Wejście strzelców Piłsudskiego obserwowano ostrożnie spoza ciężkich zastaw w oknach – szli czwórkami w stronę dworca kolejowego, gdzie kwatrowali. Wielu mieszkańców nie wiedziało, co o tym myśleć, młodzi już coś słyszeli o ojczyźnie światowego proletariatu i o własnej ojczyźnie w Palestynie, ale znajdowali się wśród nich i tacy, jak doktor Szymon Fleszler i Zygmunt (Hersz) Rzędowski, którzy byli uczestnikami I wojny światowej. Rzędowski walczył w I Brygadzie Legionów Piłsudskiego i należał do Polskiej Organizacji Wojskowej, nawet brał udział w rozbrajaniu Austriaków w Kielcach w dniu 1 listopada 1918 r. Potem Fleszler i Rzędowski walczyli jako ochotnicy w wojnie polsko-bolszewickiej.

11 listopada 1918 r. w teatrze Ludwika odbywał się wiec ludności żydowskiej próbującej określić

swoje miejsce w nowej sytuacji politycznej, ktoś puścił plotkę, że Żydzi spiskują przeciw niepodległości, na ulicy zebrał się tłum, doszło do bójek, potem zaczęto demolować sklepy żydowskie, zajścia przerodziły się w pogrom. Zginął 17-letni skaut Chaim Jeger i Szmul Owsiany. Były jeszcze dwie nieznanne z nazwiska ofiary śmiertelne i było wielu rannych. Ówczesne dzieci jak przez mgłę pamiętały to wydarzenie w wieku dojrzałym, dorośli czasem powtarzali przy nich imiona zamordowanych, ale one nie były pewne, czy to prawda, czy coś się im nie przyśniło, bo potem stosunki z ludnością polską jakoś się unormowały. Gustawa nie było jeszcze wtedy na świecie, ale musiał o tym wszystkim słyszeć w domu i na podwórku, od rodziców, starszego rodzeństwa, wujostwa, kuzynów, babci, kolegów.

Formalnie odzyskana niepodległość w dniu codziennym długo była problematyczna i trudna, dopiero szukała swoich ram i właściwego wyrazu. „Gazeta Kielecka”, główny, a właściwie jedyny liczący się organ informacyjny i opiniotwórczy w mieście, stara się dotrzymać kroku wydarzeniom na forum europejskim i w Polsce oraz dociekliwie wnikać w problemy dotyczące lokalnej społeczności. Jak w kalejdoskopie przewijają się przez szpalty gazety najrozmaitsze sprawy, duże i małe, ważne i błahe, z których wyłania się poszarpany obraz pierwszych kilkunastu miesięcy niepodległości w mieście prowincjonalnym, średniej wielkości.

Od samego początku pojawiają się trudności aprowizacyjne. Chleb jest tylko na kartki, 5 funtów tygodniowo na osobę, niebawem będą 3, zdarzy się nawet, że i tego zabraknie dla wszystkich. Julian Gringras jak święto zapamiętał dzień, kiedy starszy brat przyniósł do domu wojskowy komiśniak, który mama kroїła na cieniutkie kromki. W odpowiedzi na widmo głodu tłum zdesperowanych kobiet szturmuje budynek magistratu przy Rynku. Policja przeprowadza kontrolę magazynu

nów sklepów spożywczych i wykrywa ogromne ilości ukrytych zapasów mąki, mięsa, słoniny. Paskarstwem trudnią się zwłaszcza kupcy żydowscy, ale ziemianie nie są lepsi – uchylają się przed dostarczaniem kontyngentu zboża. Szerzy się epidemia tyfusu plamistego. Radni rozważają sprawę zakupu koni do karetki przewożącej zakaźnie chorych. Z powodu trudności z węglem na dwa tygodnie zostaje wstrzymany ruch pociągów osobowych.

Przez młode państwo przetacza się fala strajków. Strajkują kolejarze, pracownicy zakładów przemysłowych, robotnicy folwarczni, pojawia się groźba strajku powszechnego. Liderzy PPS, m.in. Ignacy Daszyński, usiłują przekonać zbuntowanych argumentacją patriotyczną o potrzebie przełożenia na inną porę słusznych skądinąd żądań, ale nie zawsze to skutkuje. Szczególnie służba folwarczna jest nieustępliwa, stawia twarde warunki dotyczące czasu pracy i wynagrodzeń. Ziemianie próbują negocjować, ale czują się osaczeni, zwłaszcza, że w sejmie pojawia się projekt reformy rolnej, która wydaje się im zapowiedzią końca świata. Coś w tym jest, wszędzie czuć wiatr ze Wschodu. Zresztą z Zachodu również – w Niemczech obalono cesarza, komuniści chcą przejąć władzę. W pierwszych dniach kwietnia 1920 r. w Wiedniu Komitet Partii Robotników Polskich wydaje odezwę skierowaną do robotników państw koalicyjnych, by wyzyskali swoje wpływy, aby obezwładnić Polskę jako „jedynego obecnie i niebezpiecznego wroga bolszewickiej Rosji”.

Do Kielc także dociera agitacja komunistyczna. W piwnicy należącej do Izraela Cweygela w domu przy ulicy Kolejowej 18 żandarmeria odkrywa skład niemieckich pism komunistycznych zapelniających pomieszczenie od dołu do góry. Pomimo zaostrej kontroli na kolei jako obiekcie wyjątkowo ważnym strategicznie, broszury przybyły do Kielc w dwu wagonach, potem zwożono je kilkunastoma furmankami. Bibuła miała być rozprowadzona do Radomia, Sosnowca, Częstochowy i innych miejscowości. Rzecz jasna, właściciela kamienicy z synami aresztowano. „Gazeta Kielecka” donosi o zuchwałych wystąpieniach bolszewików na wiecach. 1 maja 1919 r. w Radomiu odbyła się duża demonstracja, w której uczestniczyła PPS, Bund, komuniści, Poalej Syjon. Wznoszono m.in. okrzyki: „Niech żyją komuniści rosyjscy!”, „Niech żyje rosyjska rewolucyjna armia!”. Na zebraniu nielegalnej

organizacji żydowskiej przy ulicy Starowarszawskiej w Kielcach jeden z występujących gościnnie agitatorów bolszewickich groził aresztującemu go wywiadowcy „czerezwyczejką”. To było wtedy, gdy front wschodni zaczął się przybliżać. Jest też przykład z rodzimego podwórka: niejaki Andrzej Pędzik, mieszkaniec podkieleckiej wsi Zagórze, podczas święta kościelnego na Placu Panny Marii uprawiał agitację bolszewicką wśród licznie zgromadzonych włościan. Był lipiec 1920 r.

Mnożą się rozboje dokonywane przez duże grupy bandytów posiadających broń palną. Są to dezertery z wojska i bliżej nieokreśleni osobnicy, którzy dokonują zuchwałych napadów na dwory, plebanie i domy bogatych chłopów. Złupili dwór w Brzezinach i plebanię w Chełmcach. Rabują też kupców żydowskich jadących ze swoich sztetli furkami na targ do Kielc. Szczególnie niebezpieczne są odcinki dróg przez lasy posłowickie i przez Czerwoną Górę. Napastnicy na ogół zadowolają się kradzieżą pieniędzy i wartościowych rzeczy, ale nie cofają się przed morderstwem. Z ich rąk ginie Stefan Sikorski, właściciel dworu w Diamierzycach koło Ractawic i dziesięcioro mieszkańców wsi Piotrowice w gminie Snochowice. Policja nieudolnie ściga przestępców, więc bandyci czują się bezkarni. Statystyki policyjne odnotowują w 1919 r. dziesięć napadów rabunkowych w Miechowskim w ciągu kilku dni. Wyjątkowo zła sława otacza niejakiego Strzępiota, który kpi sobie z organów ścigania. Ziemianie bardziej zagrożonych okolic organizują się w celu samoobrony. Jeszcze w 1922 r., kiedy porządek publiczny powoli krzepnie, składająca się z dezertarów z wojska banda „Siwka” napada na dwór w Niegostawicach w gminie Wodzisław i zabija z broni palnej właściciela Ludomira Winnickiego, jego brata Edwarda – byłego prezydenta Kielc oraz lokaja Ignacego Jacha.

Naturalnie, kielczanie nie przeżywają każdej chwili i każdego problemu w tonacji dramatycznej. 17 czerwca 1919 r. w teatrze „Corso” wystawiana jest farsa Jana Nagórskiego *Wańka-bolszewik*. W ogóle w obu teatrach (drugi to Teatr Polski mieszczący się w gmachu Hotelu Polskiego przy ulicy Kolejowej 29) królują niemal wyłącznie komedie i farsy, „humor, śpiew i tańce”, o czym informuje „Gazeta Kielecka” dużą czcionką na samym wstępie, przed doniesieniami politycznymi i innymi. Widać, że kielczanom żadne „widmo bolszewizmu” nie potrafi zepsuć dobrego humoru.



Ale może taka postawa nie jest pozbawiona sensu – śmiech bywa skuteczną bronią w walce z poczuciem zagrożenia. Dopiero od wiosny 1920 r. zaczyna dominować repertuar patriotyczny, który wcześniej wprowadził Teatr Żołnierski działający od pewnego czasu w domu pana Kisterskiego przy Rynku.

Jak układają się stosunki pomiędzy ludnością polską i żydowską? Trudne pytanie. W maju 1919 r. w Warszawie odbył się walny zjazd Polaków mojżeszowego wyznania, na którym postanowiono pracować nad „uporządkowaniem stosunków między ludnością chrześcijańską i żydowską oraz zespoleniem tej ostatniej z narodem polskim”, a także „zwalczać postulat autonomii kulturalnej i narodowej wysuwanej przez żywoły separatyistyczne”. W Kielcach natomiast na zebraniu rodziców w sali Resursy Obywatelskiej uchwalono rezolucję kierowaną do Sejmu, w której m.in. postulowano „szkoły [...] wyznaniowe, a przynajmniej osobno dla wyznań chrześcijańskich i niechrześcijańskich”. W piątek 15 sierpnia 1919 r. na parkanach wisiała satyryczna klepsydra grzebiąca „przekłętą pamięć” właściciela majątku Zgórsko pod Kielcami, który sprzedał „ojczystą ziemię Żydom”. Jako autora można podejrzewać utraconego konkurenta. Krytyczna sytuacja na froncie wschodnim sprawia, że stopniowo powoływane są do wojska roczniki coraz starsze i coraz młodsze. Grupy komunistycznej i syjonistycznej młodzieży żydowskiej uchylają się od służby wojskowej. Podczas nalotu policji i żandarmerii na kino-teatr „Corso” przy ulicy Dużej zatrzymano około setki młodych ludzi, niemal wyłącznie Żydów, z czego prawie połowa to „popisowi”, którzy zresztą w większości zbiegli podczas sprytnie wywołanego zamieszania. W całym powiecie dzieje się podobnie. Na przykład w Działoszycach młodzież żydowska w chwili przybycia komisji poborowej znika z miasteczka, pozostają nieliczni. Ale tę szalę da się przechylić. Kiedy pojawiają się apele o dary pieniężne na rannych żołnierzy, na Komitet Obrony Państwa, na Skarb Narodowy, na Biały i Czerwony Krzyż, o subskrybowanie Pożyczki Obrony Polski – na publikowanych w „Gazecie” listach ofiarodawców spotkać można wiele nazwisk znanych i mniej znanych obywateli miasta żydowskiego pochodzenia (m.in. dr. Mojżesza Pelca i dyrektora gimnazjum gminy izraelickiej dr. Izaaka Zielińskiego, ale też niejakiego Elia-sza Ajzenberga, który „do rozporządzenia Koła

Polek Patriotek złożył kor. 500”). Wszystkie oferty kielczan pobiło Suchedniowskie Towarzystwo Akcyjne Fabryki Odlewów, której właścicielem był żydowski przemysłowiec Stanisław Starke, wykupując bilety pożyczki państwowej za 11 milionów marek. Wreszcie w 1920 r. rabin Rapoport odprawił w synagodze modlitwy w intencji zwycięstwa oręża polskiego.

Od samego początku dzieciństwu Gustawa towarzyszy „muzyka wojny”, jeśli wolno w tym miejscu użyć żołnierskiej metafory Marszałka. Na szczęście nie bezpośrednio, ale „Gazeta Kielecka” prowadzi stałą rubrykę *Z frontów bojowych* i obywatele dość dobrze są zorientowani w sytuacji na wszystkich odcinkach granicy państwa – i tych ustalonych traktatem wersalskim, i wschodnich, o które toczą się walki. Najpierw wiadomości są optymistyczne. 20 maja 1919 r., we wtorek (w dniu urodzin Gustawa), „Gazeta” donosi, że w Galicji wschodniej nasze wojsko pod rozkazami „jenerała” Iwaszkiewicza przełamało silnie umocnione linie ukraińskie i przeszło do ofensywy, a na Wołyniu kawaleria przeprawiła się na prawy brzeg Styru i odcięła Ukraińcom odwrót na Dubno i Równe. Zajęto Łuck, wzięto do niewoli dowódcę frontu ukraińskiego atamana Osieckiego oraz 2000 jeńców. Radość, mieszkańcy Kielc dekorują domy flagami w barwach narodowych (odcienie czerwieni i rozmiary płócien zupełnie dowolne, jeszcze ich nie zadekretowano).

Euforia nie trwa długo, 6 czerwca wojska bolszewickie przekraczają granicę Galicji wschodniej i zbliżają się do Tarnopola. Wprawdzie atak odparto, ale już po czterech dniach sprawozdawca „Gazety” informuje ozdobnym stylem: „Widmo bolszewizmu, którego fala na wschodzie rozbija się o opancerzoną pierś naszych bohaterkich wojsk, zaczęło zazierać nam w oczy już i od południa”. Chodzi o zbliżającą się do granic Polski węgierską armię bolszewicką. Nie jest spokojnie i na zachodniej granicy, trwają prowokacje niemieckie, rośnie napięcie na terenach plebiscytowych, na Śląsku wybuchło powstanie, niestety, przegrane. W listopadzie i w grudniu mówi się o klęsce Petlury i Denikina, wojska bolszewickie przechodzą do natarcia i na całym froncie posuwają się naprzód, wprawdzie nasza armia odpiera ataki i czasem odnosi większe sukcesy, ale między wierszami można wyczytać, że sytuacja staje się coraz poważniejsza. Brak węgla, brak chleba, wystąpienia rodzimych komunistów są zatrwajające.

W styczniu 1920 r. Kołczak i Denikin ponoszą kolejną klęskę, Kołczak abdykuje, armia białych niewiele ma już do powiedzenia, za to aktywność wojsk bolszewickich na wszystkich frontach – litewsko-białoruskim, wołyńskim i podolskim – wzrasta. W komunikatach z frontu coraz rzadziej pojawiają się zwroty, że nasze oddziały nacierają, czy choćby odpierają ataki, coraz częściej: „trwają zacięte walki”. Wszakże w pewnym momencie szale wojny zaczynają się gwałtownie przechylać to na jedną, to na drugą stronę, wydaje się nawet, że „ofensywa bolszewicka ma się ku końcowi”, ale armia czerwona znów atakuje, a w maju następuje „piorunująca ofensywa polska” i zdobycie Kijowa!

Na tę wiadomość oddział wojska z Bukówki z orkiestrą na czele przemierza ulice Kielc, dołączając do niego przechodnie, na domach znów pojawiają się flagi biało-czerwone, lecz święto nie trwa długo. Była to ostatnia dobra wiadomość przed ostatecznym starciem dwu potęg.

Pod koniec maja ma miejsce nowa ofensywa bolszewicka, w czerwcu oddajemy Kijów, trwają ciągłe albo drobniejsze starcia, albo wielkie bitwy na Ukrainie z Armią Konną Budionnego, w której szeregach znajduje się podziwiany przez Gustawa Herlinga-Grudzińskiego za oszczędny styl literacki polityruk Izaak Babel. Od początku lipca mówi się już, że „nieprzyjaciel wzmacnia swoje pozycje” i że trwają „zacięte ataki bolszewickie” czy „nieustanne krwawe walki”. 15 czerwca 1920 r. zostaje ogłoszony pobór powszechny dla mężczyzn urodzonych w latach 1895 i 1902, na początku sierpnia dostają wezwanie na front roczniki 1890–1894. 7 lipca Józef Piłsudski w imieniu Rady Obrony Państwa kieruje do narodu słynną odezwę *Obywatele Rzeczypospolitej do broni!*: „Ojczyzna w potrzebie [...]. Wzywamy tedy wszystkich zdolnych do noszenia broni, by dobrowolnie zaciągnęli się w szeregi armii, stwierdzając, że za ojczyznę każdy w Polsce z własnej woli gotów złożyć krew i życie”. Kilka dni później „generał” Józef Haller ogłasza podobny apel *Pod broń!*, zapowiadając, że tworzy armię ochotniczą. Także biskupi wzywają do nabywania pożyczki odrodzenia i do wstępowania w szeregi armii ochotniczej.

Przez Kielce przejeżdżają pociągi z rannymi żołnierzami z frontu. W początkach lipca zatrzymują się już na dworcu i ranni rozwożeni są konnymi podwodami do miejscowych szpitali. Karetki i zwykłe furmanki ciągną pod balkonami mieszkania państwa Herlingów, przez okna widać

całe okrucieństwo i nędzę wojny. Szpitale są przepelnione. „Gazeta” apeluje do serc odbiorców: „Pomyślcie o rannych żołnierzach!”. Prosi o dary w postaci żywności, oczywiście, lepszej (podstawową zapewnia wojskowa intendentura), wina na wzmocnienie sił chorych („otwórzcie wasze piwniczki”), odzieży i koców, zachęca panie z towarzystwa, aby odwiedzały rannych i czytały im książki, odrywając ich myśli od strasznych przeżyć. Lekarze przestają nadążać z operacjami, brakuje pielęgniarek. W Hotelu Polskim Czerwony Krzyż organizuje szybkie kursy pielęgniarskie dla kobiet, które chciałyby pomóc fachowemu personelowi medycznemu.

W mieście zatrzymuje się coraz więcej uchodźców z kresów wschodnich objętych pożogą wojny i rewolucji. Po krótkim postoju wielu z nich rusza dalej, do krewnych w małych miasteczkach i na wsiach. Na ospałych do niedawna ulicach panuje gwar i tłok, ulicą Kolejową, potem Poczтовую i Dużą, w stronę Rogatki Krakowskiej ciągną umęczeni piesi, chłopskie wozy z resztkami uratowanego dobytku, bryczki, powozy, żydowskie bałaguty, czasem przejedzie, trąbiąc nerwowo, mercedes-benz albo chevrolet.

Dość opieszale i nie bez swarów partyjnych powstaje wreszcie Kielecki Komitet Obrony Państwowej, który w połowie lipca zamierza rozpocząć werbunek ochotników do armii. „Gazeta Kielecka” apeluje: „Młodzież do szeregów!”. W granicach województwa leżą takie miasta, jak Sosnowiec, Częstochowa, Starachowice – stąd zgłasza się wielu ochotników (wręcz się mówi o „niebываłych sukcesach”), z Kielc – jak na lekarstwo, już więcej z małych miejscowości. Owszem, deklarują swój udział nauczyciele szkół powszechnych, ochotnicza straż pożarna i harcerze od 14 roku życia. Aby zawstydzić resztę obywateli miasta, gazeta rozwija wątek harcerzy, jeszcze dzieci prawie, i osiwiatych strażaków. Kiedy 19 lipca oddziałek harcerzy przy dźwiękach orkiestry wojskowej ruszy późnym wieczorem ulicą Poczтовую i Kolejową na stację, będą go żegnać zapłakane matki i rozentuzjasmowany tłum na chodnikach, będą kwiaty i wiwaty. „Gazeta Kielecka” poświęci cały artykuł opisowi tego pożegnania:

„Onegdaj do Warszawy odjechał oddział kieleckich harcerzy. Przed odjazdem zebrali się oni w ogrodzie miejskim przed pomnikiem Staszica, gdzie odśpiewali pieśni patriotyczne, następnie uformował się pochód z orkiestrą [...] i wyruszył

na stację. Odjeżdżającym towarzyszyły tłumy publiczności”.

Przykład harcerzy nie od razu zadziałał. 23 lipca „Gazeta” stwierdza, że „liczba ochotników zmniejsza się z każdym dniem”. Po wsiach powiatu pińczowskiego krążą agitatorzy bolszewicy, którzy namawiają poborowych do uchylania się od wojska, przekonują ich, że powinni podrzeć karty mobilizacyjne, gdyż Polska za kilka dni przestanie istnieć. Na Ponidziu jest ich najwięcej, ale pojawiają się wszędzie i nie zawsze są to obcy. W domowych stronach Stefana Żeromskiego, w Wilkowie, zbrodniczą agitację uprawia znany wszystkim mieszkańiec pobliskiego Krajna. Naturalnie, policja interweniuje.

28 lipca „Gazeta Kielecka” alarmuje w czołówce: „Wróg jest już w granicach państwa!”. Równocześnie kino-teatr „Corso”, niepomny na powagę sytuacji, zachęca kielczan: „Spieszcie wszyscy do ‘Corsa’. Dziś wspaniały program”. Za parę dni wizytówka „Corsa” na długo zniknie z pierwszej strony gazety – w całej Polsce zaczyna obowiązywać zakaz urządzania koncertów, występów kabaretowych i innej działalności rozrywkowej. Niebawem pojawia się kolejny alarm: „Białystok padł!”. Dopiero teraz rusza fala ochotników do biur werbunkowych, jest ich w mieście kilka. W Jędrzejowie na front zgłasza się młodzież z Państwowego Seminarium Nauczycielskiego Męskiego wraz z nauczycielem. 8 sierpnia zostaje zaprzysiężony w Kielcach I baon ochotników, który po mszy polowej natychmiast udaje się na stację.

Wcześniej i żywiej od mężczyzn zareagowały panie kieleckie, ogłaszając werbunek do ochotniczej legii kobiecej. Chętnych do służby pomocniczej nie brakuje.

10 sierpnia rząd wydaje dramatyczną odezwę do rodaków, w której m.in. zapewnia, że „postanowił bronić Polski do ostatniego kawałka ziemi ojczystej”. I jeszcze raz apeluje: „Do broni, Polacy!”. Następnego dnia ruszają z Kielc na front 2 kompanie 4 p. p. Legionów, dwa oddziały policji i oddziały ochotników z Kielecczyny. Ustalił się już rytuał żegnania tych, którzy – miejmy nadzieję – ocalać ojczyznę i których rodziny może już nie zobaczą. Najpierw uroczysta msza polowa na placu Bazarowym, potem zaprzysiężenie poborowych i ochotników, wreszcie odmarsz przy dźwiękach orkiestry wojskowej na dworzec kolejowy głównymi ulicami miasta. Na chodnikach tłumy, lecą wiązanki kwiatów, słysząc życzenia zwycięstwa,

wiwaty, błogosławieństwa i płacz kobiet, okrzyki zagrzewające do walki.

W następnych dniach miasto pustoszeje i przy-cicha. Komunikaty o sytuacji na froncie w dniach 13-17 sierpnia „Gazeta” podaje ostrożnie, skromną czcionką, jakby z niedowierzaniem, że okupione ciężkimi walkami sukcesy naszych wojsk mają decydujące znaczenie dla dalszych losów wojny, nawet odparcie bolszewików z przedpoła Warszawy i przełomowe kontruderzenie znad Wieprza nie objawiają się jeszcze w całej doniosłości, o „cudzie nad Wisłą” długo nie będzie mowy. Dopiero od 18 sierpnia zaczyna się ciąg entuzjastycznych doniesień wielkimi czcionkami: „Zwycięska kontr-oferensywa”, „Pogrom bolszewików nad Bugiem”, „Zwycięski pochód naszej armii” itd.

Chyba ogólnemu zamętowi i gorączce ostatnich tygodni należy przypisać przeoczenie przez dziennikarzy „Gazety Kieleckiej” faktu, iż podobnie jak w całym kraju, w Kielcach zgłosiły się do wojska na ochotnika młodsze roczniki patriotycznie nastawionej młodzieży szkolnej. Gutek ma nieco ponad rok, kiedy jego niespełna siedemnastoletni brat Maurycy, Morek, od miesiąca promowany do klasy VIII, wstępuje w szeregi ochotniczej armii. Nie sam, razem z całą jego klasą i z paroma innymi z Państwowego Gimnazjum im. Jana Śniadeckiego. Nie wiemy, na który odcinek frontu skierowano Morka i jego kolegów. Nie wiemy też, kiedy opuścili dom i szkołę, by walczyć, i kiedy wrócili, by zdać formalny egzamin dojrzałości. Czy zdążyli na początek nauki we wrześniu, czy zasiedli w ławkach dopiero w październiku po ostatnich bojach nad Niemnem? Zdaje się, że pozostawali na froncie do końca kampanii, gdyż dyrektor gimnazjum w przemówieniu, do którego wrócimy, mówił o opustoszałych klasach.

Nie wszyscy wrócili. W latach 1919-1920 pięciu (według innego źródła siedmiu) uczniów szkoły poległo, z klasy Maurycyego dwóch. Jeden, Zygmunt Jachimowski, pochodził z Ponidzia, drugi, Lucjan Chróścicki, był synem urzędnika kolejowego w Kielcach, który mieszkał z rodziną w budynku dworca kolei zamykającego perspektywę ulicy Sienkiewicza. Kiedy w 1929 r. na placu dworcowym stanął pomnik Niepodległości przedstawiający orła zrywającego się do lotu, rodzice mogli to uznać za hołd złożony także ich dziecku. W szkolnym katalogu klasowym przy nazwiskach obu uczniów-żołnierzy widnieje adnotacja: „Poległ na Polu Chwały 1920 r.”. Natomiast Maurycy (jako

Abram Mojżesz) na świadectwie dojrzałości ma zapisaną uwagę: „W r. 1920 podczas najazdu nieprzyjaciół stanął w obronie Ojczyzny w szeregach armii ochotniczej”. (Na świadectwie pisownia nazwiska: Cherling vel Grudziński, wcześniej, z wyjątkiem klasy VII, nie stosowana; różnice pisowni są skutkiem nieustalonych zasad ortograficznych, toteż znaki cyrylicy, którą były sporządzane metryki oraz inne dokumenty w zaborze rosyjskim, zastępowano literami alfabetu łacińskiego według reguł transliteracji albo transkrypcji).

Wśród szkolnych kolegów znajduje się Ludwik Jankowski z Suchedniowa, który niedawno dołączył do klasy Maurycego i z którym Morek zaprzyjaźnił się na całe życie. Może to frontowa przyjaźń, jak Cezarego Baryki z Hipolitem Wielosławskim, tylko bardziej trwała. Ojciec Ludwika jest urzędnikiem kolejowym na stacji w Zagnańsku, ale rodzina ma szlacheckie korzenie i Jankowscy mieszkają w Berezowie w pięknym modrzewiowym dworku naprzeciw młyna, który niebawem kupi Józef Jakub Herling. Zostaną więc sąsiadami i wiele ich jeszcze w przyszłości połączy.

Młodzieńczym bohaterom złożył hołd dyrektor szkoły Ildefons Sikorski w przemówieniu wygłoszonym na I zjeździe wychowanków Gimnazjum im. Jana Śniadeckiego w 1936 r.:

„Jest lipiec pamiętnego roku 1920. Wróg u bram stolicy...

Na zew naczelnego wodza: ‘Obywatele! Ojczyzna w niebezpieczeństwie!’ 200 uczniów szkoły wstępuje w szeregi ochotniczych obrońców kraju. Wszyscy uczniowie od klasy IV do VIII, od lat 15 wzwyż solidarnie i karnie stawiają się na apel, klasy opustoszały – zamknięte [...].

Zaszczytnie funkcję obrońcy kraju pełni młody uczeń – żołnierz, nieledwie żołnierz pachole!

Z pola nie wróci już 7 uczniów, wielu ranami pieczętuje tak wczesną i pierwszą służbę żołnierską dla umiłowanej Rzeczypospolitej”.

Nazwiska poległych i pomordowanych uczniów (jeszcze osiemnastu w latach 1914-1918) zostały zapisane na dwu marmurowych tablicach pamiątkowych, które umieszczono w korytarzu przy wejściu do budynku. Był to dar od nauczycieli i wychowanków dla tych, co odeszli, i przestanie dla każdego rocznika, który wstępował w mury szkoły.

Ta żywa w Kielcach międzywojennych legenda po II wojnie światowej przygasła, W 1950 r. z przyczyn politycznych szkołę rozwiązano i zlikwidowano. Do jej pomieszczeń przeniesiono żeńskie

Gimnazjum i Liceum im. Błogosławionej Kingi, które z tych samych powodów przemianowano na II Żeńskie Liceum Ogólnokształcące. Z tych samych – wyrwano obie tablice pamiątkowe, których nie ruszyli podczas okupacji stacjonujący w budynku hitlerowcy. Dla podkreślenia postępowego ducha szkoły na frontonie gmachu umieszczono inną, dedykowaną również przedwojnemu uczniowi gimnazjum – komuniście Stanisławowi Toporowskiemu, uczestnikowi wojny w czerwonej Hiszpanii.

Legenda o bohaterskich uczniach-żołnierzach była też prywatną legendą Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Miał do brata wiele pretensji – o komunizm, o rolę, jaką odegrał w polskim sądownictwie po wojnie (choć publicznie o tym nie mówił i może wszystkiego nie wiedział), o rzeczenie się praw do schedy po ojcu, ale udział Maurycego w tej młodzieńczej krucjacie stawiał obok legendy o przodku – powstańcu styczniowym. Morek był bohaterem jego dzieciństwa, który go potem rozczarował. Tak bywa z idolami młodości.

„Chcę tu powiedzieć jeszcze jedną rzecz – mówił w jednym z wywiadów – cofając się do mojego dzieciństwa. Każde dziecko ma tendencję do szukania swojego bohatera czy to w książce, czy w filmie, czy w rzeczywistości. Ja zastanawiałem się nad tym, kto był bohaterem mojego dzieciństwa, i doszedłem do wniosku, [...] że był to mój starszy brat, późniejszy prawnik, adwokat przed wojną, po wojnie sędzia Sądu Najwyższego w dziedzinie prawa rodzinnego, A podówczas, kiedy stał się moim bohaterem, uczeń siódmej czy ósmej klasy gimnazjum, drugiego gimnazjum w Kielcach, gimnazjum Śniadeckiego. Otóż, cała jego klasa bez wyjątku, wstąpiła na ochotnika do Armii Polskiej w 1920 roku, żeby stawić opór bolszewikom. To, że brat udział w kampanii dwudziestego roku, uczyniło go w moich oczach bohaterem. Było to zresztą typowe i świadczyło o tym, o czym się dzisiaj albo nie mówi, albo zapomina, że był niesłychany patriotyzm, że rok dwudziesty i walka w dwudziestym roku, w dwa lata po odzyskaniu niepodległości, była czymś niesłychanie żywym, spontanicznym. Dlatego ta armia była tak wielka”.

*Irena Furnal*

<sup>\*)</sup> Autorka zmieniła tytuł pracy nadesłanej na konkurs pt. *Chłopiec z ulicy Kolejowej*.

## Pocałunek na dobranoc

(Fragment)

Nareszcie ruszyli.

W pogodny wczesnojesienny dzień 2013 roku sto tysięcy związkowców na kilkanaście godzin sparaliżowało centrum Warszawy. Szli wolno, z determinacją, acz bez agresji wśród łomotu bębnow, wrzasku trąbek, jazgotu kołatek, gwizdków i syren alarmowych, huku co i rusz wybuchających petard. Lekki wiatr tarosił sztandary i proporce, omiatał transparenty z okolicznościowymi hasłami, nadywał z daleka rozpoznawalne koszulki z logo organizatorów akcji protestacyjnej oburzonych. Oburzonych na bezrobocie, brak perspektyw życiowych dla młodych, chaos, korupcję, arogancję i indolencję władzy, śmieciowe umowy o pracę, wydłużenie wieku zawodowego równo dla mężczyzn i kobiet do sześćdziesięciu siedmiu lat. Wyjątkowo nie było burd ulicznych, tłuczenia szyb wystawowych, demolowania przystanków, starć z policją, toteż badawcze oko kamery telewizyjnej niespiesznie przemieszczało się z transparentu na transparent, z twarzy na twarz. Aż trafiło na cherlawego mężczyznę około siedemdziesiątki ze szczerkowatą wiechą siwych włosów, w rozpiętej skórzanej marynarce i spranych dżinsach, krzepko dzierżącego w szponiastych dłoniach drewniany drążek z nadstawką ze styropianu, na której czerwoną farbą, koślawymi literami wymalowano hasło PRECZ Z KAPITALIZMEM!!!

Siedzącego w Kielcach przed telewizorem Fabiana Gajskiego formalnie zamurowało z irytacji.

Chryste Panie, żebym do reszty wyłysiał!

Żeby mnie wściekła kaczka kopnęła poniżej kości ogonowej!

W żadnym razie to nie mogła być prawda. Ale to była prawda. To był Luluś.

Łyknąwszy słodkawej kawy z porcelanowej filiżanki Fabian mocniej wparł się plecami w oparcie głębokiego fotela, ciekawy ciągu dalszego. Ledwo zakończył ów taktyczny manewr, Luluś zniknął z pola widzenia ustępując placu długowłosej i długonogiej piękności, popychającej ładnie przystrojony wózek spacerowy z uspionym dzieciątkiem.

Właściwie na tym koniec akcji. Nikt z elit władzy nie wyszedł do demonstrantów. Przynajmniej tego dnia, każda ze stron pozostała przy własnej racji.

Wreszcie pochód rozwiązano. Zwinięto sztandary i transparenty. Pochowano bębny, kołatki, syreny i koszulki. Autokary z przyjezdnymi we wzorowym porządku opuściły stolicę. W centrum rychło przywrócono normalny ruch kołowy i pieszy. Tylko na krótko pozostał smród pojedynczej spalonej opony samochodowej.

Polacy, nic się nie stało.

Owszem nic, niemniej barwne widowisko z Lulusiem w jednej z główniejszych ról uruchomiło w umyśle Fabiana istną lawinę wspomnień. Zamyślony, z roztargnieniem ogarnął wzrokiem przestrzeń za oknem dużego pokoju na drugim piętrze bloku, z widokiem na południe. Ludzie z osiedla ospale snuli się między bankiem, pocztą, sklepami. Bezdomny pracowicie grzebał w śmietniku. Trzy psy zajadle obszczekiwały się nawzajem, wszakże z bezpiecznej odległości. Skwerek w kształcie rombu obsiadło to samo co zwykle stado wron. Wszystko naokół funkcjonowało w miarę normalnie. Tu nie było specjalnie do czego się przyczepić. Lecz wystarczyło nieco wyężyć podrażnioną mózgowicę, aby świat stanął dęba tak samo jak dziadków walach Kary, kiedy sobie przypomniał, że kiedyś był stuprocentowym ogierem.

Za sprawą Lulusia stało się właśnie tak.

Stąd nasza dzisiejsza opowieść.

Na początku była zbrodnia.

Trzy lata po wojnie, w połowie sierpnia w Łanach na Ponidziu wypadł wielki odpust Maryjny zmyślnie połączony z zabawą strażacką na korcie tenisowym koło pałacu Łańskich. Od ucha rznąła kapela Byczyńskiego z Tatarki. Zawzięcie wirowały pary. Obficie zaopatrzony bufet serwował kiełbasę, bułki, piwo i wódkę. Ktoś komuś dał kopa i w zęby. W krzakach na potęgę uprawiano miłość. Aż do rana nad ogrodem niosły się śpiewy, wrzaski i gwizdy. Ani oka zmrużyć. Toteż mieszkająca nad głównym wejściem do pałacu kierowniczką szkoły Marianna Górka nie spała caluchną noc. Ale najgorszego miała dopiero doświadczyć idąc z wiadrem po wodę do wspólnej studni u stóp pałacowego wzgórza.

Ledwo otworzyła na głucho zaparte ciężkie, dębowe odrzwia, na szczycie marmurowych schodów zobaczyła w kałuży zakrzepłej krwi tysawego mężczyznę około czterdziestki z wbitym w plecy bagnetem. Cios wymierzono celnie, wprost w serce. Wszystko wskazywało na to, że przed kimś uciekając w panice, próbował dostać się do środka. Może nawet tłukł w drzwi pięściami wołając ratunku. Doznała strasznego szoku. Sama w wojnę straciła

męża. Jeszcze tego samego dnia w popłochu opuściła placówkę, nawet nie oglądając się za siebie.

Z tej przyczyny w powiatowym mieście Łysobyki powstało małe zamieszanie. W trybie ekspresowym należało zwerbować nowego kierownika. Po krótkich przepychankach wskazano na małżeństwo Joannę i Jerzego Gajskich ze wsi Celty nad Nidą, nauczyciela i bibliotekarkę, rodziców małego Fabiana. Brzuchaty, jednooki inspektor szkolny Żur wydał stosowne polecenie służbowe. Do Celtów wysłano umyślnego z dobrą nowiną.

Należało tylko przytaknąć.

– Jedziemy – oświadczył zwięźle Jerzy.

Fabianowi łzy zakręciły się w oczach. W Celtach miał wszystko. Braci ciotecznych, dziadków, Nidę, Karego, jamnika Łapkę – co tylko małemu do szczęścia potrzebne. Toteż wizję przenosin przyjął jako karę główną za winy niepopelnione.

– Sami sobie jedźcie – wyszlochał.

Zmienił zdanie, gdy ojciec sięgnął do szafy po gutaperkę, którą ze świstem przeciął powietrze. Starcie pierwszego stopnia z owym przedmiotem nie należało do szczególnie przyjemnych, o czym miał okazję przekonać się od czasu do czasu.

Dziadek Jan Łyszcz ze strony matki, żołdat carski z czasów pierwszej wojny, silnie powłóczył lewą nogą od postrzału w kolano, bez dalszej zwłoki zaprzął do furmanki Karego, półkoszki wymościł sianem, załadował pościel, garnki, dwie pierzyny, drewniany kuferek z książkami i co tam trzeba. Starsi usiedli z przodu, Fabian z tyłu, tuląc do piersi sukę, której szeptał do kłapciatego ucha słowa pełne otuchy i nadziei, że mimo wszystko, może jakoś to będzie, nie dadzą się przerobić na mydło.

Jechali niespiesznie przez Mamroty, Kuźnice, lessowy głęboki wąwóz z wyrobionymi w urwistych ścianach setkami jaskółczych gniazd, Glinki i Łabędziów. O Łysobyki ledwo zahaczyli. Dalej szlak wiodł na południe jak na Działoszyce, Kazimierzę Wielką i docelowo Kraków. Już około południa dojechali przed pałac, dla Fabiana miejsce zesłania i katorgi. Ech, gdyby nie gutaperka, inaczej brzmiałby śpiew Ponidzia.

Na schodach czekała na kierownika czereda większych i mniejszych pociech obojga płci. Wszyscy na bosaka. Dziadek zebrał lejce w garść.

– Prrr, Kary!

Jak nakazywał obyczaj, pierwsza zeskoczyła z fury matka.

Wyciągnęła do jedynaka opiekuńcze ręce. Za żadne skarby nie chciał okazać niemęskiej słabości

i zostać okrzyknięty przez miejscową społeczność żalonym maminsynkiem. Jeszcze czego. Podał zatem matce Łapkę, sam zaś zeskoczył tak niefortunnie, że na powitanie Łanów zarył nosem w ziemię, przy okazji gubiąc drucziane okulary, zresztą ku niebywalej uciesze tubylców. W trymiga pozbiarał się o własnych siłach. Otrzepał proch z ubranka. Roztarł obolałe kolana. Odnalazł i przetarł rąbkiem koszuli pogięte binokle. Potem władczo popatrzył na pouśmiecane szeroko, równie umorusane buzie rówieśników.

– Jestem Fabian Gajski, a to mój tata, będzie tutaj kierownikiem – zakomunikował butnie, usiłując już na wstępie odzyskać stracony teren.

– Wiemy, wiemy! – zakrzyknięto chóralnie.

W ich śmiechu i zachowaniu nie było nic obraźliwego. Wedle zasady równania w dół. Upadek i blizny to całkiem męska rzecz. Grunt, że nie był rzeczonym maminsynkiem, bo akurat tego by mu nigdy nie wybaczone. Od grupy odłączył się Fabianowy równolatek o rudawych, twardych jak druty włosach i tknął Gajskiego juniora palcem w pierś.

– Jestem Luluś Kwietnik. Od września idę do pierwszej klasy. A ty?

– Też idę do pierwszej.

– To morowo. Jak chcesz, możemy siedzieć w jednej ławce.

– Pewno, że chcę. Jeszcze jak.

Dziadek zadał Karemu parciany worek z sieczką i owsem, po czym przy wydatnej pomocy dzieciarni rozpoczęto właściwe zasiedliny. Kuferek, pierzyny, garnki wtaszczono na piętro po drewnianych kręconych schodach. Drzwi do mieszkania po Górkowej zastali otwarte na oścież. A w nim kredens, dwa stoły, sześć krzesel, łóżce, tapczanik z wystającymi sprężynami, dwie lampy naftowe, nawet napoczęte pudełko zapatek na półce koło pieca w kuchni.

Tylko wejść i mieszkać. Aby zaś tradycji w pełni stało się zadość, dziadek wydstała z za pazuchy flaszkę siarczystego bimbrowa ze śliwek domowego przemysłu. Rozlał do trzech garnuszków. Córce co nieco, żeby się nazywało, sobie i zięciowi pod strych. Ponieważ przekąsić nie było czym, więc zapalili po skręcie, też własnej produkcji. Ażeby dymem odpędzić złe duchy tego pałacu, włącznie z duchem owego czterdziestolatka z bagnetem w plecach. Na wzmiankę o nim matka przeżegnała się dyskretnie poza plecami męża niedowiarka. Pomoże nie pomoże, na pewno nie zaszkodzi, jako że z duchami, pod każdą długością i szerokością geograficzną, nigdy nic nie wiadomo.

Chwilowo nikomu do niczego niepotrzebny Fabian wyszedł na balkon z solidną, żeliwną balustradą. Ciekawie wystawił głowę między prętami. Dzieciaki wciąż sterczeli u stóp schodów, ciekawi dalszego biegu wypadków. Bądź co bądź coś działo się wreszcie w zabitej dechami wioszczynie, wdzięcznie rozłożonej na pagórkowatym terenie, z dala od głównych arterii komunikacyjnych. Zwłaszcza Luluś z uporem maniaka obserwował balkon i okna.

– No i jak ci tam jest? – zawołał cienkim głosikiem.

– A nijak – odparł zgodnie z prawdą Fabian.

– W pałacu i nijak?

– Co mi tam pałac. Jak nie ma Nidy, to nie ma niczego.

– Jest, jest, ino zaczekaj.

Tymczasem starszyzna opróżniła butelkę. Dziadek wziął bat. Zabrał koniowi worek ze spyżą. Niemrawo wgramolił się na kozioł. Na wszelki wypadek zaklął siarczyście po rusku. Targnął lejcami.

– Wio, Kary!

Łanowska gromadka odprowadziła furę aż do starej, sromotnie okopconej kuźni, za którą zaczynała się cienista aleja kasztanowa. Fabian ze smutkiem wyglądał za odjeżdżającymi, dziadkiem i Karym. Każdemu z osobna przesłał tajemną myśl i ledwo słyszalne westchnienie.

Szkoda. Ale cóż?

Czas naglił.

Do września pozostało niewiele dni. Do Łanów kolejno ściągnęły posiłki w osobach pani Heleny Otulskiej oraz panów Grzegorza Karolusa i Adama Sęsoły, którym oddano do dyspozycji trzy licho umeblowane pokoje na piętrze, z wejściem od północnej strony, gdzie dawniej rezydowała służba pałacowa. Panów Fabian ledwo pamiętał, siedzieli jeden dwa, drugi trzy lata, nim poszli do wojska. Insza inszość Otulska. Uczyła w Łanach całe siedem lat jako wychowawczyni klasy z Fabianem i Lulusiem. Nie za wysoka, elegancka i gorącego temperamentu brunetka o fiołkowych oczkach bez reszty zawładnęła umysłami i sercami wychowanków. I nie tylko. Aż nie mogła opędzić się przed adoratorami z bliska i daleka. Na zawsze też pozostała we wdzięcznej pamięci Fabiana.

W szkole zaczął się więc ruch i gorączkowe przygotowania. Podczas gdy ojciec porządkował kancelarię, matka urządziła bibliotekę w rotundzie od północy. Natomiast Fabian w asyście nieodstępnej i nieocenionej miejscowej cicerone zwiedzał okolicę. Czynną kuźnię. Aleję kasztanową łączącą pałac z szosą przelotową Łysobyki – Dzia-

łszyce i dalej. Kurhan powstańczy w południowym rogu ogrodu, usypany na pamiątkę siedemnastoletniego Wilhelma Łańskiego, który zginął w powstaniu styczniowym. Pospólną, głęboką na siedemdziesiąt metrów studnię z kieratem i dwoma czterowiadrowymi drewnianymi pojemnikami na łańcuchach. Gdy jeden z wodą wyjeżdżał z otchłani na powierzchnię, drugi pusty opadał w dół. Ponieważ ludziom było za ciężko, do kieratu przyprzęgano konia. Fabiana aż przytknęło z emocji. Nigdy nie widział czegoś podobnego. Studnie w Celtach były głębokie najwyżej na trzy lub cztery metry.

Nieco dalej leżał owalny staw, mulisty i mętny, pełen śmieci i robactwa. Jechało smrodem jak z wychodka. Fabianem zatrzęsło z obrzydzenia.

– Luluś – zagał rzeczowo – jest tu jakaś lepsza woda?

– A niby skąd?

– To gdzie się kąpiecie?

– No tu, w tym stawie.

– Bo ja kąpałem się w Nidzie, wiesz?

– Co mam wiedzieć albo nie wiedzieć, kiedy nigdy nie widziałem Nidy.

– Nigdy nie byłeś na przykład w Łysobykach?

– Nigdy. Bo i po co?

Blisko stawu mieściły się dawne dworskie zabudowania, jak obora, stajnia, stodoła, spichlerz i ceglane czworaki.

– Tu jest mój dom.

– Marny jakiś.

– Tobie nic nie dogadza.

– Bo ja nie chciałem tutaj przyjeżdżać. Ojciec mnie przymusił.

– Jak?

– Przygroził mi gutaperką.

– Cóż to takiego?

– Taki pejcz.

– Boli?

– Oooo!!! Ciebie ojciec rżnie?

– Ale pasem, żebym nie zardzewiał.

Powyższa spowiedź była załączkiem wielkiej, dozgonnej przyjaźni. Czymś w rodzaju braterstwa krwi. Bo nic tak nie łączy, jak wspólnota w zbieraniu cięgów.

Z czworaków wyszedł wysoki, mocarnie zbudowany chłopak pod dwudziestkę, z zabójczym wąsikiem i szopą jasnych włosów.

– To mój brat Konstancy, ale wołamy na niego Dziedzic – pochwalił się Luluś. – Jest po zawodowce w Łysobykach. Hej, Dziedzic, chodź do nas.

Poznaj mojego kolegę Fabiana. Syn kierownika.  
Będziemy siedzieć w jednej ławce.

Dziedzic podał łąpsko wielkie jak topata do chleba, w którym drobna dłoń malca uwięzła niby haczyk w pysku szczupaka.

– Serwus, chłopie – zadudniło wysoko w powietrzu jak przed burzą nad łąkami za Nidą. – Pilnuj Lulusia, żeby się uczył, bo bez tego ani rusz. Trochę z niego letkiewicz i nie za bardzo uważny. Podpowiedz mu też, jakby czego nie wiedział. Dobra, chłopie?

– Dobra, panie Dziedzicu.

Prosta, jasna odpowiedź serdecznie ubawiła młodziana, albowiem ryknął śmiechem, jakby przeciągle zagrzmiało na rychłą burzę.

W nagrodę Fabian został wytarmoszony za obydwie uszy. Dziedzic oddalił się w kierunku głównej wsi pogwizdując przez zęby i kopiąc pomniejszych przydrożne kamyki. Fabiana mocno zastanowiło, że między braćmi nie było najmniejszego pod-

bieństwa. Dziedzic bardziej przypominał bociana, zaś Luluś gołębia.

– Duży – szepnął z uznaniem i zawiścią.

– No – potwierdził rad z pochwały Luluś. – W Łanach jest najsilniejszy i nie ma takiego, żeby mu stanął na nogę.

– Po co miałby stawać?

– Żeby dostać w zęby.

Tłumaczenie wypadło przekonująco. Świeżo zadziergnięta przyjaźń zaczęła nabierać rumieńców i głębi. Chociaż brakowało Nidy, przecież były inne atrakcje i godne poważniejszego zastanowienia przypadki. Negatywne emocje zaczęły z wolna ustępować placu pozytywnym. W Łanach też mogło być ciekawie i przyjemnie. Byle nie tracić ducha. Toteż Fabian zdążając pod górkę do pałacu, próbował naśladować Dziedzica zagwizdać przez zęby. Niestety, nic z tego nie wyszło. Przynajmniej na razie.

Henryk Kawiorski

Elżbieta Musiał  
(I nagroda za poemat)

## Mówię pochyloną cambrią

(Fragment)

Czwarty wymiar

*A jednak ciało. Kulę się w sobie, aby nie stanąć w cztery oczy z patrzącym, który doskonale mnie nie widzi. Przymus bycia obiektem krępuje ręce. Jestem odrzuceniem. Jestem kłębkim w swoim brzuchu, własnym dzieckiem, które nie chce się narodzić, a wykluć się musi. Matką własnego ciała szukającego w sobie ujścia. I zagnanym w kąt zwierzęciem. Jestem twoją rzeźbą<sup>1)</sup> i nie mam twarzy, choć nosiłam kiedyś szaroniebieskie oczy. Nawet cień erotycznej przyjemności został odjęty. Teraz chowam wstydliwą krzywdę odrzuconej kobiety.*

*Unieważnienie ciała to jest brak dotyku w spotkaniu z Innym.*

Akty sygnowane: Katarzyna Kobro.

Sama nie mogłaś w to uwierzyć: wyparłaś ciało z rzeźby, a ono powróciło głodne, chłodne i bite. Mięso potrzebuje chleba, a z kromką krucho.

Ciemna piwnica a może czarna dziura  
i głuchy głos zwrócony do ściany:



Jestem matką – więc cierpię,  
jestem rzeźbiarką – tym gorzej,  
lepiej nie być kobietą.  
Potem już tylko skrzypiące drzwiczki paleniska i  
w popiół obracałaś drewniane dzieci<sup>2)</sup>.  
Przez chwilę było ciepło. On nie rozumiał aktu  
rozpaczy. Grzał przy ogniu jedną rękę, bo drugiej już nie miał<sup>3)</sup>.  
Na ołtarzu płonęła logika sztuki, matematyczne rozgrywki  
z płaszczyznami i przestrzenią, przysł prymat  
rozumu. Proporcje 8 do 5 znowu się sprawdziły.

I nastąpiła przestrzeń zimna, do której otworzyłaś  
za młodu ramiona. Wiało przez świat, ciebie, Innego i instalacje.  
Inny to jest ten bliski człowiek, który chciał cię zmienić  
w Takiego Samego. Zdejmował z ciebie ciało, jedyną różnicę.  
Potem wiatr historii przyłożył rękę.

Gdyby nie życie bajek o zmroku nad łóżkiem córki, milczenie  
i okładanie mężowskim szczudłem byłoby domem. Dopiero cisza  
nazywana martwą wyjawiała sprawę istnienia kobiety  
u boku.

A był czas, że poprawiał ortograficzne po tobie, wymyślał ci czapki  
i słuchał, jak powtarzasz po Luce<sup>4)</sup>: „Różnica seksualna  
powinna realizować się w spotkaniu z Innym”.  
Od pierwszej lekcji nosiłaś w sobie załączek  
nowego. Radykalność otwierała bryłę  
na przestrzeń. Kilka prostokątów  
wyciętych z kwadratu Malewicza i jedna płaszczyzna  
falista. Coś z muzyki i matematyki. I jeszcze kolor  
dla dematerializacji. Jedna blacha biała odpływa, a obok  
niebieska dla rozbicia monolitu. Lekkość na wskroś  
ukonstytuowana.

*Najtańszą czerwienią rysuję usta, tak jak ty  
przed wyjściem z domu, aby nie być powietrzem.*

*Wiszę wbrew prawu ciężenia. Jestem owalnym kamieniem<sup>5)</sup>  
wspartym o pręt cienki jak nitka. Jedna z nieludzkich planet  
ludzkiego układu krążenia. Lewituję dzięki twojej wyobraźni  
i sprawdzam na sobie czwarty wymiar<sup>6)</sup>. Przez Euklidesowy  
już przeszłam i nie chcę tam wracać.  
Wstąpiła we mnie nad wyraz odwaga.*

O 10 lat wcześniej od samego Miró i Picabia. Centre Pompidou  
stało otworem. Vasily Kandinsky patrzył na rzeźby  
jak na objawienie liczby. A ty brałaś nauki survivalu  
w wychudłym krajobrazie i notowałaś pamięć w szarym  
zeszycie. Czarne myśli lgną do szarego.

Brak emocji w rzeźbach. Może życie  
przejrzało się w ich zwierciadle, może najpierw kochałaś

za mocno na dobre, a potem złe przyszło.  
Może w cieniu Innego nie było łatwo.  
Gdybyś poczekała jeszcze chwilę  
ze swoją młodością. Twój czas teraz nastał.

Ciąg Fibonacciego to jest stroma piramida liczb,  
na której nie spocznie serdeczny ptak. Pochłania go  
zaraz przestrzeń, w którą wnika  
i która wsiąka w niego.

Doskonała liczba i nieśmiertelna. Oto, czego nie ma ciało.  
Codziennie potykałaś się o jego kalectwo. Brak ręki  
zastąpił skrzydłem, w miejsce nogi wstawił lotkę.  
Tobie oddał własny ból fantomowy.

Ciąg Fibonacciego to jest stroma ucieczka na szczyt  
z instynktem formy, a potem nieskończenie wiele  
zejść zachodnią stroną  
już w ciele Syzyfa.

Na nogach sine miejsca po odmrożeniach. W Wilejce  
zero bezwzględne jest absolutne, a ty bez pończoch  
woziłaś na sankach drewno z lasu i Innego  
do szkoły. Mężniataś, mężem nie będąc.  
Gdyby staruchom nie wrastały paznokcie do bólu,  
córka nie miałaby mleka. Dobrze, że staruchom  
wrastały paznokcie.

Wzrost metr sześćdziesiąt cztery i wyczyny pływaczki.  
Zastygasz jeszcze czasem w tym bezruchu wyjętym  
z Nowosielskiego. Od Strzezińskiego czapka  
wsunięta na głowę łamie stereotyp ulicy. Strzeziński  
to jest ten Inny, który chciał z ciebie zrobić  
Takiego Samego.  
W zamian strugałaś mu kredki, nabijałaś blejtramy.

Błądzisz po wysypiskach i szukasz tożsamości<sup>7)</sup>,  
jak kiedyś wyrzuconych rzeźb<sup>8)</sup>.  
Wiała przez nie w piwnicy ciemna obojętność. Kotki,  
pieski i lalki z trykotowymi główkami  
sprzedawały się lepiej. Aż wreszcie  
udaje się zejść ze stromizny  
ciągu Fibonacciego.  
Płeć jak nieoperacyjny nowotwór.  
Jeszcze tylko złote zęby wypchnąć z dziąseł  
na czarną godzinę dla Niki.

Gazety milczą. Na pogrzebie pustki.  
Te błękitne kwiatki nie są od Innego. Na grobie  
przysiadł smutek rzeźby i czasem przylatuje  
mysikrólik.

<sup>1)</sup> Pierwsze akty rzeźbiarskie Katarzyny Kobro z roku 1925 były przez nią numerowane: 1, 2, 3 itd. W 1948 r. pojawiła się nowa seria brył obrazujących kobiety. Akty u tej rzeźbiarki należały do rzadkości. Traktowała je jak twórczość rodzinną, wypoczynkową i osobistą. Mówiła się, że aktami zaprzeczyła głoszonej przez siebie idei wyzwolenia rzeźby od ciężaru zamkniętej bryły i wyprowadzenia jej w przestrzeń (abstrakcyjne kompozycje przestrzenne). Sama Kobro w aktach upatrywała odniesienia do umysłu kobiecego. Do historii przeszło już jej zdanie: „Czynność rzeźbienia aktu daje emocje rzędu fizjologicznego lub seksualnego, ja rzeźbę z natury tak jak idzie się do kina, by lepiej wypocząć”.

<sup>2)</sup> K. Kobro po domowej awanturze i zarzuceniu jej przez męża, Władysława Strzezińskiego, że nie ma opatu i nie ma na czym ugotować dla córki, spaliła swoje drewniane rzeźby z lat 1925–1928. Zdarzyło się to podczas II wojny światowej.

<sup>3)</sup> W I wojnie światowej Władysław Strzeziński stracił rękę, nogę i wzrok w jednym oku. Katarzyna Kobro opiekowała się nim i ich córką Niką. Była akwizytorką, pielęgniarką, kucharką i pomocą techniczną dla męża artysty. To ona w czasie wojny dbała o dom, zdobywała opał i jedzenie.

<sup>4)</sup> Luce Irigaray pisała, że różnica seksualna powinna realizować się w spotkaniu z Innym, w spotkaniu, które nie znosi różnicy, lecz ją potwierdza. „*Jest [w takiej relacji] wzajemna akceptacja inności drugiego, jego nieredukowalnej autonomii, jest respekt, a nawet więcej: zachwył*”.

<sup>5)</sup> Konstrukcja wisząca (1) Katarzyny Kobro, 1921, oryginał zaginął, rekonstrukcja z roku 1972.

<sup>6)</sup> Czwarty wymiar w sztuce to nic innego, jak identyfikacja podmiotu i przedmiotu, czasu i przestrzeni, materii i energii. Uważa się, że Katarzyna Kobro wprowadziła matematykę do sztuki. Jej interpretacja względności i czwartego wymiaru w kompozycjach przestrzennych przyniosła niespotykane wcześniej rozwiązania w rzeźbie. Zespoliła ją z przestrzenią w jeden organizm, który nigdzie się nie zaczynał i nie kończył. Była prekursorką rzeczywistości wirtualnej, niejako przewidziała grafikę komputerową. „*Bez wątpienia Kobro była artystką, która wyprzedzała swoją epokę. Dzięki temu stała się jedną z nielicznych Polek, które prace przekroczyły granice kraju i odniosły sukces. Za życia w Polsce była niedoceniona, żyła w cieniu twórczości swojego męża, choć należy pamiętać, że to ona zaraziła go pasją do*

sztuk plastycznych. Z czasem została uznana za jedną z najbardziej wpływowych artystek XX wieku” (Jolanta Nowaczyk, *polskiemuzy.pl*).

Katarzyna Kobro i Władysław Strzemiński (malarz i teoretyk sztuki) stanowili małżeński duet awangardowy w sztuce. Napisali wspólnie wykładnię nowoczesnej, awangardowej sztuki w dziele: „Kompozycje przestrzeni. Obliczenia rytmu”.

<sup>7)</sup> Katarzyna Kobro urodziła się w Rosji w 1898 roku, była córką Mikołaja Georga Kobro, ze starego niemieckiego rodu von Kobro, i Rosjanki Eugenii Wasiljewny Rosanowej, w jej żyłach płynęła także krew łotewska. Katarzyna Kobro i Władysław Strzemiński wzięli w Rydze ślub kościelny, to było warunkiem uzyskania przez Kobro obywatelstwa polskiego. Zamieszkali w Polsce. Podczas okupacji (II wojna światowa), wobec nacisków władz niemieckich wynikających z jej niemiecko-rosyjskiego

**Irena Paździerz**  
(I nagroda za powieść)

## Ucieczka w dorosłość

(Fragment)

Marek wyjechał z Muszyny. Stał na dworcu pekaesowskim w Krynicy i przyglądał się rozkładowi jazdy. Cekał, żeby wewnętrzny głos podpowiedział mu, dokąd powinien jechać, gdzie jest miejsce, które będzie mógł nazwać domem. Intuicja milczała. Najwyraźniej nie chciała się wtrącać w jego sprawy. Musiał sam podjąć decyzję. „Co by było, gdybym teraz pojechał nad morze?” – niezbyt logiczna myśl wpadła mu do głowy. Skrzywił się, ale zaraz potem zaczął rozważać. Co prawda nie jest to pora, gdy niemal cała Polska jedzie na północ i musi się zmieścić na niezbyt długim wybrzeżu. Na plaży miejsce przy miejscu zasłonięte parawanem, gdzie indziej koce i gdy chcesz wejść do wody, musisz iść zygzakiem, a i tak kogoś niechący obsypiesz piaskiem, piorunujący wzrok odprowadza cię aż do brzegu. Jaki jest sens jeździć nad morze w sezonie? Teraz jest lepiej. Pusto i cicho. Tego mu potrzeba. Mówią, że tylko w ciszy można usłyszeć głos swojego sumienia. Na sumieniu wcale mu nie zależało, bo uważał, że ma czyste jak u noworodka. I cóż wielkiego się stało, że uciekł z domu. Nie on pierwszy, a zresztą jest dorosły i może sam decydować o swoim życiu. Rozejrzy się nad morzem. Jak mu się spodoba, zostanie na stałe, a jak nie, to może zaciągnie się

pochodzenia i w trosce o los dziecka, podpisała „listę rosyjską” uprawniającą m.in. do zwiększonego przydziału żywności. Strzemiński nigdy nie wybaczył jej tego kroku. Od tego momentu nastąpił rozłam w szczęśliwym jak dotąd małżeństwie i nienawiść małżonków po grób. Kobro nie sposób jednoznacznie przypisać związku z jakąkolwiek narodowością.

<sup>8)</sup> Jeszcze trwała II wojna światowa, gdy Katarzyna Kobro i Władysław Strzemiński wrócili z Wilejki do Łodzi. Tam się okazało, że ich dom zajęli Niemcy, a rzeźby zostały wyrzucone na śmietnik. Kobro chodziła więc po łódzkich wysypiskach i szukała swoich prac. Znalazła część rzeźb, oczyściła je, zapakowała w dorożkę i przywiozła do domu.

*Elżbieta Musiał*

do marynarki albo wróci w góry. Musi wypróbować wszystkie warianty.

Podszedł do kasy i miał zamiar kupić bilet do Warszawy. Za nim stanęła korpulentna blondyna i opierając się rękami o jego plecak, przechyliła się w stronę kasy i głośno spytała:

– Z którego stanowiska odchodzi autobus do Warszawy?

Marek lekko się zachwiał. Takiego ciężaru na plecach nie mógł utrzymać.

– Musi się pani tak pchać? – odwrócił się i zrobił krok do przodu.

– Patrzcie jaki delikatny. Człowiek chce się zapytać, a taki nie przesunie się ani na krok. Przypiął się do kasy i kupuje bilet już z dziesięć minut, a mnie autobus może odjechać. Nikogo to przecież nie obchodzi. Młodzi się stale rozpychają, wszystko ma być dla nich.

Kobieta jeszcze coś mówiła, ale starał się tego nie słyszeć. Odsunął się od kasy, ale przejście do drzwi zatarasowało dwoje starszych ludzi. Kobieta z podkurczoną nogą opierała się o kule, a jej partner uspokajał ją i postawił ogromną walizę pod nogami Marka.

– Czy moglibyście państwo trochę się przesunąć? – spytał grzecznie, ale kobieta wsparta na kulach najwyraźniej była czymś zdenerwowana, bo ostro zareagowała:

– Mało masz miejsca? Tak trudno ci przejść? Gdybyś chodził o kulach, tak jak ja, wiedziałbyś, ile wysiłku kosztuje każdy krok. A to ja muszę się przesunąć. Patrzcie państwo, hrabia się znalazł, nie może przejść.

Marek wziął głęboki oddech. Nie będzie kłócić się z rozjuszonymi starymi babami. Uważają, że jak dłużej żyją i na dodatek chodzą o kulach, to im wszystko wolno. Przecisnął się między walizkami, torbami i wózkami do przewożenia bagażu. Odetchnął z ulgą, gdy znalazł się wreszcie na zewnątrz.

Ustawił się na stanowisku drugim. Tam powinien za chwilę podjechać autobus do Warszawy. Był dziesiąty albo piętnasty. Każdy z pasażerów miał ogromną walizę i kilka podręcznych bagażów. Zapewne skończył się turnus sanatoryjny i kuracjusze odjeżdżali do domów. Na wspomnienie słowa „dom” coś ścisnęło go w gardle i musiał odchrząknąć. Na pewno martwił się o niego. Matka zawsze o byle co wpadała w panikę, więc na pewno teraz jest tak samo. Ojciec. Zapewne mało go to obchodzi. On nie reaguje tak nerwowo. Zapewne uspokaja matkę albo się znowu kłóci. Ona nie chce przyjąć do wiadomości jego argumentów. A Zoja? Poczuł, jak łzy napływają mu do oczu. Potarł je wierzchem dłoni i zacisnął zęby. Jeszcze tego by brakowało, aby ludzie zobaczyli jak płacze. Nie uroni ani jednej łzy. Nie ma mowy. Będzie twardy. Czy życie nie udzieliło mu lekcji? Rozmażesz się, znaczy jesteś mięczak. Musi z siebie wyzwolić ducha wojownika.

W Warszawie wysiadł na dworcu Zachodnim. Wszystkie dalekobieżne autobusy tutaj się zatrzymywały i nie jechały dalej. Z rozkładu jazdy wynikało, że najbliższy pociąg w stronę Wybrzeża odjedzie za godzinę. Ostatni przystanek to Świnoujście. Podjął decyzję, że wysiadzie w Międzyzdrojach. To niewielkie miasteczko. O tej porze musi tam być spokojnie. Wynajmie jakiś pokój i rozejrzy się.

W pociągu było tak mało ludzi. Cały przedział miał dla siebie. Nie od razu, ale jak w Gdańsku wysiadły dwie osoby, podróżujące razem z nim, nikt nie wsiadł. Ułożył się wygodnie na siedzeniu, podłożył plecak pod głowę i natychmiast zasnął. Obudził go konduktor.

– Chyba wysiadasz w Międzyzdrojach? Niedługo będzie stacja. Widziałem, że śpisz. Nim byś się obejrzał byłoby Świnoujście.

– Dziękuję panu – wymamrotał ziewając.

– Nie ma o czym mówić. Zawsze staram się budzić pasażerów, którzy nad ranem smacznie śpią. Więcej z nimi kłopotów, gdy przegapią stację, gdzie zamierzali wysiąść. Natychmiast wpadają w panikę i u mnie szukają rady. A czy ja

im mogę pomóc? Muszą czekać na pociąg jadący w odwrotnym kierunku albo łapać okazję. Busy często kursują. Nie ma sytuacji bez wyjścia, ale lepiej kogoś obudzić, gdy się zapamięta, gdzie ma wysiadać.

Marek uśmiechnął się. Rzadko takich ludzi spotyka się w podróży. Podniósł plecak i zerkając w lusterko, przeczesał ręką włosy.

Zanim zacznie szukać kwatery, postanowił, że pójdzie przywitać się z morzem. Wiał silny wiatr z północy i nic nie zapowiadało, że nastąpi poprawa pogody. W górach leży śnieg, ale nad morzem wcale nie jest lepiej. Co prawda nie ma tu śniegu, ale ostre podmuchy niczego dobrego nie wróżą. Chmury szybko przetaczały się nad głowami i słońce nie może wyzwolić się z ich zasłony. Od czasu do czasu rozświetlało ulice, ale zaraz potem zasłaniały go kolorowe chmury. Co kawałek zmieniały barwę od bieli, przez czerwień, róż, aż do ciemniejszej szarości. Czy to zapowiada rychłą zmianę pogody? Marek nie miał pojęcia o jej prognozowaniu, ale jak pociągnął nosem, wydawało mu się, że poczuł powiew wiosny. Może intuicja go myli, ale teraz nie chciał się z nią spierać i dalszych oznak postanowił poszukać na plaży.

Wiosna. Przedwiośnie. Czas na to, aby przemianę zacząć od siebie. Wiosna utwierdzi go w przekonaniu, że postępuje dobrze. Wszystko z jej powiewem się odradza. Jeśli przyroda, to dlaczego nie ludzie? Marek poczuł wewnętrzny zew. Siły natury przejmowały nad nim kontrolę. Musi odnaleźć samego siebie. Zagubił się gdzieś pomiędzy matką, która chciała wszelkie przeszkody usunąć z jego drogi, a czymś, co uciekało precyzyjnemu nazwaniu. Przyjaźń? A może miłość? Tylko czy nie możemy kogoś kochać bez okazywania mu zainteresowania seksualnego? Nie pożądał Zoi. Pragnął tylko przytulić się do niej i w jej ramionach znaleźć ukojenie, uwolnienie od trosk i kłopotów. Mógł tylko o czymś takim pomarzyć. Nigdy by się na to nie zdobył. Wiedział, co mu wolno, a czego Zoja na pewno by nie zaakceptowała.

Zatrzymał się przy wejściu na molo. Pod daszeniem znajdowało się kilka butików z odzieżą i barów serwujących fast foody. Wszystko pozamykane, chociaż nie, na końcu było słabo oświetlone okno, a przed nim na chodniku stał w rozkroku niewielki plastikowy manekin w kucharskiej czapce wskazujący ręką drzwi. Marek

pociągnął nosem i poczuł zapach frytek. Matka zawsze krzyczała, gdy nie chciał jeść obiadu. Potem zarzucała go pytaniami, aż w końcu się przyznawał, iż w Mac Donaldzie zjadł Big Maca, podwójne frytki i popił coca-colą.

– To śmieciowe jedzenie – leciała takim tekstem, jakby nauczyła się na pamięć reklamy, która wyśmiewała wszystkie bary szybkiej obsługi, a sama polecała taką samą byle jaką żywność, tylko z owoców morza. Nie lubił krewetek. Przypominały mu larwy i nie mógł ich przełknąć. Matka co jakiś czas, zgodnie z zaleceniami dietetyków, stawiała przed nim sałatkę z białymi larwami i z czegoś tam, co wydawało mu się równie wstrętne. Gdy nie chciał jeść i wybrzydzał, jak to określała, wznosiła oczy pod niebiosa okazując w ten sposób pogardę dla jego kulinarnego gustu. Przed zjedzeniem krewetek wzbraniał się także, gdy wyjeżdżali za granicę i miejscowe *spécialité* składało się z owoców morza. Wąsate kraby, oślizgłe muszle. Należało je otworzyć i siorbiąc wyciągnąć ze środka małża. To było ohydne, ale matki nie można było przekonać, żeby zamówiła coś innego. Najczęściej ubiegała zamówienie jego i ojca, i dla całej trójki kazała przynieść paellę, gdy byli w Hiszpanii, a małże, gdy zatrzymali się w Prowansji w Aigues-Mortes. Ta miejscowość nie kojarzyła mu się z Świętym Ludwikiem, który stamtąd odprawiał kolejne wyprawy krzyżowe, ani ze średniowiecznymi murami, ale z kopiastym talerzem małży. Matka musiała sama je zjeść, bo ojciec, tak jak on, czuł do nich wstręt. Teraz nikt nie będzie mu mówił, że frytkami z coca-colą „zepsuje sobie żołądek”.

Wszedł do baru i usiadł przy stoliku najbliżej wejścia. Na zewnątrz jakaś para kłóciła się. Słowa docierały do środka pomimo zamkniętych drzwi.

– Wiesz, kim ty jesteś? – facet wykrzywił się i zbliżył twarz do dziewczyny. – Jesteś zwykłą kurwą. Nie potrafisz się opamiętać. Ze mną ci nie wystarczy, musisz szukać innego?!

– Odczep się – dziewczyna wyrwała rękę z jego uścisku, chwiejnym krokiem podeszła do wystawy i oparła się o nią całym ciałem.

Marek odwrócił się. Obserwację przerwał mu kelner. Stanął obok niego i zapytał:

– Co ci podać?

Niepotrzebnie dodawał to „ci”; dla Marka oznaczało to, że traktuje go na równi z sobą, a przecież był młodszy od niego o parę lat. Ciekawe, jakim sposobem dostał tutaj pracę? W jego

wieku powinien chodzić do szkoły. W Polsce istnieje przymus nauczania i skończenie edukacji co najmniej na poziomie gimnazjum.

– Frytki i coca-colę.

– Trzeba poczekać z dziesięć minut.

– Mnie się nie spieszy.

– To dobrze, bo ostatnio wszystko nam się psuje. Mój ojciec niepotrzebnie zatrudnił takiego paździerza. Wielki jak Godzilla, ale wszystko psuje i potem zrzuca na mnie. Ojciec mu wierzy, a to kasztan. Robi beznadziejne miny, że niby nie jego wina, a ja obrywam.

Małolat najwyraźniej miał zamiar przysiąc się i naużalać, ale Marek powstrzymał go: – Frytki i cola – przypomniał.

Chłopak odwrócił się. Był niezadowolony, że jedyny klient, jaki się dzisiaj napatoczył, nie ma ochoty z nim rozmawiać. Nielekko mu było. Tydzień temu wywalili go ze szkoły za to, że spuścił wpierdół temu wyczesanemu Sebkowi. Co, miał pozwolić, aby taki zajob mówił, co ma robić? Niedoczekanie. Ojciec niczego nie kmini i dlatego, aby go upodlić, zabrał go ze szkoły i kazał zapierdalać w tej budzie.

Marek odwrócił się w stronę okna. Para, która przed paroma minutami kłóciła się, przesunęła się na drugą stronę chodnika. Dziewczyna stała opierając się ręką o wystawę kolorowej, seksownej bielizny, a chłopak przytrzymywał ją za ramiona i coś mówił. Dziewczyna przymknęła oczy i wydawało się, że żadne słowa do niej nie docierają. Była pijana. Takie wrażenie odniósł Marek, ale nie wiedzieć dlaczego, żal mu się zrobiło dziewczyny. Wiedział, że nic dla niej nie robi, ale życzył jej, aby wyswobodziła się od tego drania.

Rozmyślenia przerwał mu potężny drab. Postawił przed nim frytki i colę, i spytał niezbyt uprzejmie:

– Jeszcze coś sobie życzy?

– Nie – Marek zaprzeczył i na pierwszy rzut oka widać było, że małolat dobrze ocenił pracownika nazywając go Godzillą. Rzeczywiście przypominał wielką małpę.

Marek zjadł frytki, popił colą. Zaspokoił głód. Teraz najchętniej by się położył i przespał. Przypomniał sobie, że postanowił iść nad morze. Zimne powietrze powinno odgonić senność. Leniwie podniósł plecak i wyszedł.

Podmuch zimnego powietrza gonął plastikowy kubek i papierową torbę, Marek założył na głowę kaptur i opierając się wiatrowi, ruszył przed

siebie. Na molo wiatr wzmagął się. Ze złością szarpał brudne flagi Polski i Unii Europejskiej. Ktoś, do kogo należały, najpewniej zapomniał ich zdjąć po jakimś święcie. Teraz wyglądały jak brudne ścierki.

Marek zawiązał troczki przy kapturze ściągnął je mocno, widać mu było tylko kawałek twarzy. Groźna kipiela wylewała się do połowy plaży. Cofając się wygładzała piasek, ale zostawiała połamane muszelki i zapewne coś jeszcze, bo mewy z wrzaskiem siadały na plaży i to coś z niej wydziobywały. Przed nadejściem kolejnej fali podrywały się, trzepocząc skrzydłami utrzymywały się w górze przez kilkanaście sekund, a potem znowu siadały na odsłoniętym skrawku ziemi. Marek obserwował je przez chwilę, ale bardziej interesowało go morze i grzywiaste fale. Kojarzyły mu się z surfingiem. Tylko kto w tak zimnym morzu zdecydowałby się na ujeżdżanie fal? Co innego na Hawajach albo w Kalifornii. Tam nigdy nie jest zimno. Rozmarzył się, ale na krótko. Może powinien zainteresować się sportem? Na taką myśl skrzywił się nieznacznie. Gdyby wzburzone morze nie przyprawiało go o dreszczyk emocji, które być może należałoby nazwać strachem, zdecydowałby się na uprawianie dość ryzykownego zmagania z morzem. Myśl o surfingu odłożył na później.

Być może zdecydowałby się zawrócić w stronę butików, gdyby nie zwrócił uwagi na małolata z baru idącego przez molo marszowym krokiem. Nie patrzył pod nogi. Wzrok miał utkwiony w przestrzeń, jak gdyby koncentrował się na linii horyzontu. Był blisko końca, gdzie fale rozbijały się i białymi grzywami wyznaczały brunatną linię, poza którą nie warto wychodzić, gdy nie chce się odbyć kąpieli w lodowatej wodzie. Małolat

zatrzymał się pół kroku przed kolejnym zalewem mola przez huczące fale. Marek nie wytrzymał i krzyknął:

– Uważaj!

Małolat odwrócił się i spojrzał na Marka pustym wzrokiem.

– Dokąd leziesz?! Zatrzymaj się!

Chłopiec cofnął się o krok i wydawało się, że wreszcie Marek zauważył. Zamrugnął oczyma. Wreszcie oprzytomniał (tak się przynajmniej Markowi wydawało), zrobił dwa kroki w bok i zatrzymał przy barierce.

– Zwariowałeś! – Marek najwyraźniej był poruszony. – Nie widzisz, jakie fale! Zmiotą cię do morza!

– Spoko. – Małolat machnął ręką i splunął. – Nic mi się nie stanie. Zawsze, gdy jest taka fala jak dzisiaj, podchodzę blisko, zatrzymuję się o krok od niej. Chce mnie dosięgnąć, ale ja się z nią tylko droczę. Niedoczekanie. Morze mnie nie zabierze, choć bardzo się o to stara.

– Nie musisz być w barze?

– Nie chce mi się. Niech Godzilla się trochę powysila. Dobrze mu to robi. Brzuch ma wypasiony, jakby stale ziemniaki żarł, a gęba masakryczna...

– Nie lubisz go?

– A co ma do tego lubienie. Mnie on nie pasi i tyle. Słuchaj kolo – odwrócił się w stronę Marka i wykrzywił: – Może ty szukasz jakiegoś zajęcia? Ojciec na pewno cię wyhaczy. Zgłoś się. Wtedy mnie zwolni. Jak luknie na ciebie, to na pewno wyczai bazę. Wie, że ja wbijam w tę jego knajpę. To co? Sztama? Idziesz do mojego starego, a ja się urywam.

*Irena Paździerz*



## Przemijanie

Rozjarzona słońcem złota łąca piaszczysta przyjemnie kontrastowała z zielenią leszczyny i splątanych jeżyn. Łąca wlewała się w błyszczące jezioro, a obok na pagórku stał dom i zabudowania gospodarskie Guniów. Wszystko pod czerwoną dachówką. Sielskość wsi spokojnej. Wierzyć się nie chce – tyle czasu! A obrazek, który jest we mnie wydaje się piękniejszy, wypolerowany czasem i chyba świadomością bezpowrotu.

Wakacje w trzydziestym siódmym. Za cenzurkę do klasy drugiej ojciec posadził mnie na ramę i zawiózł do Majów w Kopałównce. Pięć kilometrów pięknej jazdy. Góra kwiatowa, Wełecz, Oleszki – rodzinna wieś taty. Kostki Małe i Duże... Pojechaliśmy w prawo – do Kopałównki, przysiółka między lasami – weleckim i boguckim. Ongiś mógł to być zaścianek hreczkosiejów, lepszych niż zwyczajne chłopstwo. Wskazywała na to sama nazwa tych kilku chłopskich zagród, w których przeważnie gospodarowali honorni Kopałowicze. A właśnie moja babka po mieczu była *de domo* Kopałówna, a pradziadek Kopała był kiedyś gajowym w weleckim lesie. Stąd kolidacje „mezaliansowe” z Majami, jako że Majowa była także Kopałówna z domu. A Paweł Kopała, sierota i brat Majowej, był „rezydentem” ich chałupy i moim totumfackim, co przydawało mi znaczenia i splendoru, bo dorastający parobek we wszystkim był lepszy i ważniejszy ode mnie, chociaż trzewiki wkładał tylko do kościoła.

Chałupa Majów miała ściany pobielane wapnem z lekką domieszką lakmusowej farbki, a czała strzechy była solidna i miała równo przycięte knowia. Maj był chłopem w sile wieku, żyłasty i wysoki, sprawiał wrażenie Herkulesa w drobniejszym wydaniu. Ona piersiasta i dupiasta, że aż dziw brał, iż nie dała temu Majowi potomka. Niewyżytym instynktem macierzyńskim obdarzała więc Pawła i mnie, co wspominam z rozrzewnieniem i czule.

– ...Dziecko obudzisz, zaraz! – strofowała szeptem swojego Maja, który wstawał ze słońcem i, bywało, zawadził o łąkę stojącą pod oknem.

– Ciii! – odpowiadał Maj i oboje wynosili się klapiąc po polepie do drugiej izby, gdzie gotowało się stawę.

A mnie pod pierzyną było puchato i dobrze. Krowę brałem na postronek tylko wówczas, kiedy miałem na to ochotę, ale mleko, masło, śmietaną i ser żarłem zawsze do syta. Nic dziwnego więc, że ten pierwszy pobyt na prawdziwych wakacjach kojarzę zawsze z wyuczoną w szkole piosneczką:

Za moją białą chatą,  
na łące, na wygonie  
słoneczne ciche lato  
koniczynami płonie.  
Mieni się złote łąny  
srebrzyście i bogato,  
jest jakiś świat kochany  
za moją białą chatą.  
Za moją białą chatą  
na łąkach płótna zgrzebne  
i mgły się nisko ścielą  
na moje łąny chlebne...

Słowa nie przylegają dokładnie do realiów dzisiejszego krajobrazu, ale nastrój pozostał we mnie taki.

Musiał to być późniejszy sierpień, bo „działy” były już dorodne i krzewy leszczyny uginały się pod koszyckami seledynowych orzeszków. A może był to lipiec, tylko mnie te niedojrzałe owoce tak wybornie smakowały, że na wspomnienie ślinotok pozostał do dziś.

W jeziorze obok Guniów pławiliśmy często konie. Ja na kobyle Maja i Guniowe chłopaki na swoich bachmatach. Kto nie dosiadał lub nie trzymał za ogon pływającego konia, ten nie ma pojęcia jak to jest. To tak jakbyś, bracie, znajdował się w stanie nieważkości w drodze do nieznanego światła. Mógłby ktoś wznosić zastrzeżenie, że porównanie nie jest adekwatne, bo woda zbetała się z mułem i kobyły czuć było końskim łajnem i potem. Nieważne. Poeta napisał kiedyś: „...miodny zapach końskiego nawozu...”, powąchajcie.

Gończy piach na wydmach parzył w południe bosa stopy. Ale u podnóża pagórków nagarniętego nie wiedzieć skąd piasku płynął strumyk. Kryształowo czysta woda w cieniu rozłożystych olch była zimna nawet w samo południe.

Po wieczornym udoju ciotka Majowa zapalała w izbie lampę naftową. Cedziła mleko i szykowała wieczerzę. Siadaliśmy z Majem na przyzbie,

a gospodyni podawała nam ogromne pajdy z masłem i z serem oraz garnuchy z mlekiem „prosto od krowy”.

Rówieśnikiem Pawła Kopały był Ignac Kopała, syn Ludwika. O! to już był autorytet. Gospodarka większa, para koni, kilkoro bydła, stada drobiu. Zabudowania schowane w olchach i tuż obok węzowaty strumień tej kryształowej wody. Ignac z Pawłem miewali kawalerskie konszachty, ale mnie – smroda, do tajemnic nie dopuszczali, chociaż – jako miastowego – tolerowali z wyrozumiałym pobłażaniem.

W tak naszkicowanym pejzażu moich pierwszych wakacji, który noszę w sobie te osiemdziesiąt parę lat, jawię się dziś jako „sarkofag”, któremu się cknę. W ciągu minionych dziesięcioleci dowiedziałem się, że sąsiadujące z Kopałówką Grochowiska słynne są z racji pobytu tam generała Langiewicza ze swoim powstańczym wojskiem, o stoczonym w lasach boju, o zdradach i upadku styczniowego zrywu. A jak wieść gminna niesie, zdradzali okoliczni chłopci, którzy po bitwie odzierali z dobytku i odzienia trupy ruskie i powstańcze, że potem na pobojuwisku nie wiadomo było, czyje są nagie ciała – polskie czy ruskie. Do dziś potomków tamtej chłopskiej biedy nazywają wzgardliwie „ucinane nóżki” – dla upamiętnienia odrąbywania nóg wraz z butami, jeśli trup nadmiernie opuchnięty nie oddawał chodaków dobrowolnie – lub „wisieluchy” – dla przypomnienia pradziadów, którzy ujętym we wsi, czy na drogach powstańcom zakładali pętle na szyje w zamian za ruble i medale ruskie. Pięć rubli za buntowszczyka. Czy kojarzenia tych obrazków z przeszłości są dla moich ziomków jednakowo odrażające? Wiem na pewno, z jakim pietyzmem i czcią porządkowaliśmy wspólnie mogiłę powstańczą, kiedy w czterdziestym ósmym rozbiliśmy obóz harcerski pod Grochowiskami.

Obciążony więc sielskim wspomnieniem dzieciństwa, miotany mieszanymi odczuciami w ocenie nie tak znowu odległych zdarzeń tragicznych, powodowany tęsknotą do przeżytego i potrzebą przymierzania nabytej wiedzy o tamtym, długo noszę w sobie autentyczną niezbędność konfrontacji marzeń, zachceń i tęsknot z konkretnymi na dziś.

Było wczesne lato, kiedy z Rysiem, wyekwirowani w zakąskę i butelkę żytniej wytyczyliśmy

szlak przez lasy, pastwiska, pola i łąki ku Grochowiskom i Kopałówce. Pogoda cudowna, chociaż po południu lunęło, ale to było później. Na razie notuję oczami przemiany krajobrazu, jakie niesie ze sobą czas.

Oto „łowiska”, na których pasażerów krowy i konie. Powojenna parcelacja zamieniła dawny step w szachownicę poletek, typowo świętokrzyskie kwadraciki i prostokąty zastąpiły stepową zieloną dawniej i jednolitą ruń. Tu żyto, tam ziemniaki, ówdzie łączka lub bagienko. A w samym kącie pod mikułowickim lasem zarys wykopu w torfiastym gruncie z przeznaczeniem na basen kąpielowy. Tylko kto się będzie kąpał w torfiastym mule? Nieistotne. Statystyka i inicjatywy się liczą.

Kroczymy. Prowadzi Rysio, mój bratanek. Wyciąga długie nogi bez mała dwu- metrowca, że ledwo nadążam. Idziemy wzdłuż rowu oddzielającego chłopskie pola od miastowych „łowisk”. Ciągle jest grząsko i mokro. Przeskakujemy strumyki, a to znowu taplamy się w niewielkich rozlewiskach i oczeretach. Pod lasem chałupa z obejściem gospodarskim. Poszczekują dwa psy i gapi się gromadka dzieciaków.

– Rakarz – informuje kompan.

– Dawniej hycel.

– Może być, co za różnica.

– Smrodu nie czuć.

– Zaraz będzie smród.

Na zachodnich obrzeżach „łowisk” wczesnoletni zefirek niósł fetor rozkładającej się padliny. Jakieś niewielkie budynki z rozległym terenem ogrodzonym siatką, na której rozsiadły się wrony.

– Co to jest?

– Tutaj rozcina się zdechłe cielęta, kozy i inne padła na skóry, tłuszcze, mięso dla lisów i odpadowe żarło dla ptactwa.

– Widać, że syte i pewne siebie. Przypominają sępy z telewizji. Czekają.

– Albo im tu źle? Ciepło, spokojnie i żarła od cholery.

– Smrodu nie czują?

– Iii tam. Do wszystkiego można przywyknąć.

Tuż za „łowiskami” znajdował się kiedyś cmentarz choleryczny. Grzebano na nim ludzi zmarłych na cholere w drugiej połowie XIX wieku. Żelazne i kamienne krzyże i obeliski, nazwiska, daty, sentencje i przyczyny zgonów byłyby dziś przyczynkiem do historii miasta i okolicy. Byłyby... Krzyże poszły pewnie na złom albo



na młodsze groby gdzie indziej, bo to symbole i historyczne, i zawierające w sobie wartości artystyczne. Niczego tu nie znajdziesz. Mogiły zarosły zieliskiem, nikt od lat się o nie nie troszczył, stepowieją i samoczynnie niwelują teren. Ktoś odkrył tu pokłady piasku i ludzie dziurawią ziemię, inni sypią w dziury śmiecie. Rysiek pokazuje ledwie widoczne, ale jeszcze regularne zarysy dawnych obwałowań.

– O, jest jeszcze pamiątka z tamtych lat!

„Wyciosany” z kamienia pień drzewa z podciętymi konarami. Kiedyś na grobie symbolizował nieuchronną starość? Chorobę? Może śmierć? Fundator musiał mieć wyobraźnię i pieniądze. Czy spotkali się na tamtym świecie? Może rozdzielił ich czyściec? Skowycze we mnie chęć zabrania tego pnia – jak i po co? Rozkruszają tu chłopcy młotami i sypną do wykopu na fundamenty pod nowy dom, zaleją cementem. W cementowym domu zrodzi się nowe życie, nieświadome, że czerpie siłę także z historii minionych pokoleń.

Potem były tylko pola, lasy i śródleśne łąki. Był to jeden z najprzyjemniejszych etapów na szlaku. Kłaniały się seledynowe kłosy żyta, krzepiły zielone łany wykłószonej pszenicy i owsa, łąki w czas sianokosów oszałamiały wonią ziół, sosny płakały żywicznymi łzami, bo kto to widział ranić drzewa!

Oto grabi siano młoda kobieta i kiedy się pochyla po przygarście suchej mierzwy, to odsłania zdrowe jasne uda, budząc niezdrowe myśli. Czy niezdrowe? Pytanie nie jest retoryczne, ponieważ odpowiedź na nie nie jest jednoznaczna i oczywista. Inaczej odpowie na nie ksiądz z powołania, inaczej ja, jeszcze inaczej Rysiek, inaczej dewotka i – może – grabiąca to siano. Bez filozofii – akcent był przyjemny.

Tuż za weleckim lasem stoi chałupa, przy niej gromadka zasmarkanych dzieciaków z paluchami w zadziwionych buziach – cóż za wędrowce idą? Pies ujada zawzięcie, ale do łydek nie doskakuje, chociaż parkanu nie ma. W obejściu poniewierają się narzędzia rolnicze i widać, że nie gospodarz tu rządzi i dokłada ręki jak trzeba...

– Gdzie tata? – pytam najmłodszego.

– W robocie na kolei.

– A mama?

– Na jarmarku – buczy śmieiej.

Chłop-robotnik pieniądze ma i ma w dupie gospodarkę. Wniosek jest sensowny, tylko nic

z niego nie wynika. Obok chałupy nasyp, a na nim błyszczą w słońcu szyny kolejowe, których za moich czasów tutaj nie było. Ale wtedy zagony były dopieszczane i po bułki do miasta się nie jeździło. Dzisiaj kolei znowu nie ma. Szyny idą na złom.

Zanurzamy się w miedzę między żytami. Jakaś łąka i szopenowskie wierzby, ogrodzone drągowiną pastwisko i nasyp kolejowy – kiedyś wymarzony, dziś niepotrzebny. Wypolerowane szyny błyszczą w słońcu i nie pasują do tego krajobrazu. Może dlatego, że są jedynym tu wyznacznikiem postępu? Czy jedynym? A gawrony nad padliną?! A elektryczność, kosiarki?... Tak, ale te szyny mają, obiecują młodym inne światy w jedną i drugą stronę. Obiecują!

Już nie mają. Za torami łąki. Ludzie zwijają się, bo po niebie przewalają się niedobre chmury, a kołtuniąca się z zachodniego horyzontu wyraźnie grozi – jest ołowioczarna i zła, co rusz kreślą ją zygzaki błyskawic. Może przejdzie bokiem...

Dachy Grochowisk przebijają się czerwienią poprzez korony sadów, a w prawo tuż obok wsi stoi zwarta ściana boguckiego lasu. Drożyną wijącą się jego skrajem dochodzimy do wielkiego głazu z wyrytym napisem, że to właśnie w setną rocznicę... Jak to było? „Ucinane nóżki” operowały tu, czy może gdzieś dalej?

– Zbiorowa mogiła jest na skraju wsi – Ryszard, jak zwykle, jest dobrze poinformowany. Ogrodzona żelaznym płotem. Duży krzyż. Napis okolicznościowy.

– Tamten czas był trudniejszy, jak myślisz?

– To zależy. Porównań może być sporo: żołnierz i uzbrojenie, koń i maszyna, aprowizacja dziś i wówczas, zaplecze, poparcie środowiska...

– Także zagrożenie dziś i wówczas, medycyna, karma dla koni i paliwo do czołgu. Niezbędna analiza różnych punktów widzenia...

– Ja wolałbym wojować w tamtych warunkach.

– Jasne. Większa szansa na wyniesienie łba.

Nie wiem, czy sosny, pośród których pałaszujemy gotowane jaja, kiełbasę i pomidory, mogłyby opowiedzieć jak to naprawdę było. Raczej nie. Mają może po sześćdziesiąt lat.

Ale kiedy skręcamy w lewo i idziemy lasem na skrót do przymierzonego azymutu na Kopałówkę, Rysiek pokazuje mi w gęstym poszyciu regularne ślady grobli kiedysiejszych stawów.

- W tym miejscu stał młyn wodny.
- A dziś ledwie te zarysy.
- Są zapisy i przekazy. I te groble, których prawie nie ma...

Wychodzimy z podmokłego i gęstego lasu w rzadką i karłowatą sośninę na piaszczystych wydmach. Jest sucho i parno. Piasek grzeje w stopy przez podeszwy. Wyłaniają się uprawne pola, a o dwa stajania dalej zabudowania Guniów. Czerwona dachówka nie jest już tak wyrazista. Czas przyćmił ją nalotem szarości i wyblakłego brudu. Przegięty dach i zaniedbanie w obejściu świadczą o braku gospodarskiej ręki. A jezioro zapodziało się gdzieś – ziemia je wessała.

W olszynach wzdłuż strumienia z zimną wodą pokazują się bogatsze zabudowania, których dawniej nie było. Napotkanego dziadka pytamy o Ignaca Kopałę.

– A dyć to ta gospodarka – wskazuje paluchem starą chałupę pod papą, chylącą się stodołę, sadek ze zdziczałymi drzewami...

W zagrodzie nikogo. Kury rozgrzebują końskie łajno, prosię ryje obok koryta, kwoka gdacze niespokojna o rozłazące się kurczęta. Za stodołą w znacznym oddaleniu obredlają ziemniaki. Kobieta prowadzi konie przy pyskach, a utykający chłop trzyma czepigi.

- Dzień dobry!
- Prrr! Dzień dobry.
- Szukamy Ignaca Kopałę.
- To ja jestem. O co chodzi?

Powołujemy się na kuzynostwo, a co najmniej na powinowactwo.

– A no, to jak rodzina, to poczekajta. Przejedziemy ino tam i nazad, żeby skończyć. Wio, matka!

„Matka” to jest żona Ignaca. Urodziła mu trzech chłopaków i córkę, ale się „towarzystwo” po świecie rozleciało. Kiedyśmy z Ryśkiem nzbierali suchej olszyny znad strumienia i przygotowali ognisko. Ignac ze swoją przysiedli się.

Schuchrał się ten Ignac. Kiedyś kawaler na okolicę, a dziś chudy, szerniały, postarzały ponad wiek, żylasty, spracowany ponad siły chłop. Uśmiecha się jednak przetykaną „ubytkami” gębą i zajada przypieczoną na patyku kiełbasę, a pięćdziesiątka żytniej przelatuje mu przez gardło jak innemu kropla.

– Tego kulasa – wyjaśnia – to mi na budowie przetręciło. Stróżowałem, bo trzeba było zarobić, nie? Czwórka dzieci, bracie.

– A gospodarka?

– To w dzień. W nocy tam. Ino kobita mi się udała. Dzieci się wyuczyły – same techniki. I wnuki są. Córka w pekaesie po samochodówce, jest jeszcze przy nas.

Właśnie przyszła ścieżką między żytami od autobusu. Krótko przycięta blond czuprynka, przylegające do półdupeczków dżinsy, pierśiątka jak dwie kubańskie pomarańcze skryte pod kusą białą bluzką – wszystko to w niczym nie przypominało wiejskiej dziewczuchy z moich „dobrych” czasów. Jak chociażby jej mama, która ma obfityść „dobra” za i przed sobą. A kiedy się ta smarkata pochyla nad ogniskiem, by dołożyć patyków, to jej się bluzka zadziera ukazując gołe plecy i wymykającą się ze spodni gumkę od rajstop. Bez halki! Ryszard spogląda, ale nie spostrzegam podniecenia. Cholera! Jak to jest? Dawniej wystarczał rąbek.

Lunął deszcz. Był przyjemny, bo ciepły i pachnący, ale ognisko zgasło. Ścieżką między żytami odprowadza nas Beata do pekaesu. Poszedłem przodem. Niech sobie młodzi poćwierkają.

– Nieźle się całuje to dziewczę, wujku – dogonił mnie bratanek.

– Bój się Boga, przecież to rodzina!

– A gdzie ona ma to napisane?

Dziadek Piotr przygotowując mnie do dorosłości zaśpiewał mi piosenkę, której fragment zapamiętałem:

O! wyjdź na balkon dziewczico  
I uchl sukni choć rąbek.  
Ja kocham cię gołębico,  
Twój stary, siwy gołąbek.  
Piosenkę wiatr niech poniesie  
Melodia ma w dal niech popłynie  
Ja wyjść do ciebie nie mogę,  
Bo mieszkam we suterynie...

Przy okazji wspomnę współczesnego dziadka spod supermarketu, któremu nastolatka z gimnazjum zrobiła „loda” w krzakach tuż obok. Za trzydzieści złotych, bo tyle miał. Chciała pięćdziesiąt, ale ostatecznie... Mała nie zamartwiała się, bo miała jeszcze zapas gotówki za sprzedane przed tygodniem dziewictwo. Telewizja kłamie?!

*Leopold Wojnakowski*

# Twórczość członków nowego Zarządu Kieleckiego Oddziału ZLP i uczestników Festiwalu Poezji Słowiańskiej w Warnie (2013, 2015)

Beata Kępińska

## Sezonowy przestój

### Do Stwórcy

Zielona Ziemia, z dala piękna,  
nadzieję budzi, spokój daje,  
lecz lepiej z bliska nie oglądać,  
jakie są nasze ludzkie „raje”.

Stworzyłeś, Boże, takie cuda  
i dopuściłeś, żeby człowiek,  
który tajemnic wiele wydarł,  
mógł się panoszyć tak swobodnie?

Spójrz tam, to państwo głodne, wielkie,  
ten golem na glinianych nogach,  
samogon pije i się chwieje,  
atomem straszy pycha chora.

A Europa tłusta, syta,  
w błazeńskich płasach ubawiona,  
śmierć zatrudniła w gabinetach,  
morduje dziecko, matkę, ojca.

Zaś w Ameryce, gdzie wolności  
pomnik tak wielki wystawiono,  
kneblują teraz ludziom usta,  
pętają nową poprawnością.

W Azji człowiecze żółte mrówki  
w biegu żyją i umierają.  
Potrafią bardzo być okrutne.  
Też duszę nieśmiertelną mają?

W zawojach straszni džihadyści,  
Allahem Ciebie nazywając,  
wciąż krwi złaknieni, z wzrokiem dzikim  
niewiernym głowy obcinają.

Kim jesteś, Panie, Stwórcu Świata?!  
Czyś jest Demiurgiem obojętnym?  
Czy Starcem, który już nie włada?  
Czy wciąż Jezusem Miłosiernym?

28 października 2014

I przyszła jesień brązowobura,  
nad miastem zwiśla smogowa chmura,  
ulice mokre, parki rozmyte,  
w knajpach podają kawę ze splinem.

Ja melancholię także złapałam,  
byłam ochrypta i obolała,  
może z Hongkongu gość przywłócił gripę,  
spraszałam kumpli na swoją stypę.

Ty popatrzyłeś zza okularów  
na zmkłą kurę podczas wagarów.  
Szkietko ci zaszło mgiełką wzruszenia,  
gdy w samochodzie przeszłam do dzieła.

Wziąłeś do domu, dałeś pierzynę,  
nos wysmarkałeś, poileś winem.  
Doszłam do siebie, a potem wiosną  
uciekłam z Kotem i twoją forszą.

Bo my dziewczynki tak właśnie mamy,  
chętnie przez zimę wypoczywamy.  
Gdy tają śniegi, nadchodzi ruja,  
to opuszczamy dobrego wuja.

24 października 2014

### Smutna w domu uciech

Tak, to ja jestem smutną dziewczyną,  
Do mnie wpada bohema na wino,  
Ja ich smucę całkiem przyjemnie  
I wysłucham o żonie oziębtej.

Pana także rozkosznie zasmucę.  
I co z tego, że to jest dom uciech?  
Te wesołe są raczej dla plebsu,  
W smutku lepiej zażywa się seksu.

Czy pan widział Bergmana choć trochę?  
Szwedzkie lato, erotyzm i zбочek.  
Aż we wnętrzu mam bolesne ściski,  
Piękny umysł, a instynkt tak niski.

Ja mam zwykle tragiczne poranki,  
Bo mi też dolewają do szklanki.  
Tak bym chciała uśmiechnąć się szczerze,  
Tylko w szczerłość w ogóle nie wierzę.

Pan się nawet nie rozebrał jeszcze,  
A ja łzawym językiem już pieszczę.  
Obmacuję cię wzrokiem ponurym.  
Czy wyciągnąć biczyki i sznury?

Co pan skrywa pod za dużym paltem?  
Ach, to wiersze! A są choć coś warte?  
Nie, nie wezmę ich w zamian za miłość,  
Ale miło się z panem smędziło.

### **Pamiętnik nastolatki**

Wyczytałam, zdrowe są orgazmy,  
onанизować się jednak wstydzę.  
niektóre koleżanki już się kochały,  
a ja się chyba trochę brzydzę.

Minęła wreszcie podstawówka,  
w gwiazdę się teraz bawimy.  
Mówili wypij, nie bądź głupia,  
wyluzuj, zapal, dla rozrywki.

Wiedziałam, że plemnik i jajeczko,  
na lekcjach wychowania uczyli,  
Ktoś się na mnie na górze uwziął  
i owulacja była w tej chwili.

Testy wszystkie dodatnie,  
świat bywa niesprawiedliwy,

zygota rośnie, perspektyw brak,  
a wuefista to ch... upierdliwy.

Obcy i w moim brzuchu,  
krew pije, z tlenu objada,  
Matka, że mało mam ruchu  
i dlatego jestem blada.

Ono podobno już ssie paluszek,  
ma nos zadarty i oczy moje.  
Mam teraz podwójną duszę?  
Co ksiądz mi na to pytanie odpowie?

Tobie, mamo, nie wyznam,  
skąd moje poranne mdłości.  
Nie, nie od tego przytyłam,  
że mi gotujesz pyszności.

Mamo, ty mi od razu dałaś  
miłość i ładne imię?  
Wiele nocy nie spałaś,  
dzięki tobie ja żyję.

Chroniłaś, karmiłaś, przewijałaś,  
tata się wypiął i poszedł,  
szaliki nocami dziergałaś,  
brałaś prace zleczone.

Ten szalik miękki, czerwony...  
jego właśnie użyję.  
Okręcę, mocno zaciągnę...  
Szybko, szybko zabiję.

*Beata Kępińska*



Festiwal Literatury Kobiecej w Siedlcach – nominacja do Nagrody Pióra.  
Druga od prawej Beata Kępińska

**Nad morzem**

Nad morzem  
kobiety  
toną w niespokojnych lustrach  
rozczesują mokre drogi  
uciekają brzegom wyobraźni  
wypatrują mężczyzn

gdy wracają  
morze jest spokojne

**Przyglądam się**

Przyglądam się  
drobnej wiosennej trawce  
ledwie jest  
a już żągiel nadyma  
metafizyczną pełnią  
barwi twarz  
dostatkiem nadziei  
sięga  
świętego błękitu  
obejmuje  
bieguny świata

**W tle świata**

Jadę  
mijam drzewa i ludzi  
zostawiam obrazy i sprawy  
znikam w tle świata

codziennie tak samo  
codziennie ten sam  
wciąż od początku

**Край морето**

Край морето  
жените  
потъват в неспокойните огледала  
разчесват мокрите си пътища  
побягват към края на въображението  
разглеждат мъжете

когато се връщат  
морето не се притеснява

**Заглеждам се**

Заглеждам се  
в малка пролетна тревица  
едва е поникнала  
а вече надува платна  
метафизическа пълнота  
краси лицето и  
очакването на надеждата  
достига  
свещеното синьо  
прегръща  
полюса на света

**На задния план на света**

Аз пътувам  
преминавам покрай дървета и хора  
изоставям обrazy и дела  
пропадам на задния план на света

така всекидневно  
всеки ден все това  
отначало

Превод: Алиция Апдреева

## Żegnaj Mistrzu

*Na śmierć  
Stanisława Barańczaka*

Smucę się  
twarz chowam w dłonie  
oczy zamykam bólem  
bo byliśmy uczniami  
tej samej szkoły  
która zaraziła nas poezją

Byłeś dla mnie  
Mistrzem i Królem  
słowa i metafory

Wędrowaliśmy  
po nie tym świecie  
Od Ciebie  
uczyłem się  
jak operować  
z chirurgiczną precyzją  
podatnym na infekcję słowem

Wiedziałem że cierpisz  
podwójnie  
i duszą i ciałem

Twoje wiersze  
zostaną na zawsze  
w mojej pamięci  
bo są one  
zakodowane w moim sercu  
jak rogal świętomarciński  
w sercach poznaniaków

## Globalne ocieplenie

Do stwierdzenia globalnego ocieplenia  
niepotrzebne są liczniki Geigera  
Efekt cieplarniany przynoszą  
wiatr i wezbrane rzeki  
Zdania uczonych są podzielone

Ziemia tymczasem oddycha coraz trudniej  
i od czasu do czasu dostaje zadyszki

Ludzie patrzą w niebo  
i liczą że dobry Bóg  
przeniesie ich  
na spokojniejszą planetę

## Dziwny człowiek

Spojrzenie ma  
dziesięć lat bez wyroku  
a niemal za każdym słowem  
za każdym zdaniem  
powtarza „Jak Boga Kocham”  
i po tym nawet  
nie drgnie mu powieka

Ludzie tymczasem  
schodzą mu z drogi  
bo przeraża ich jego  
„Jak Boga Kocham”

A Pan Bóg  
mówi do swoich wiernych  
wybaczcie mu bo nie wie  
co czyni i dodaje:  
ten człowiek jest opętany  
przez Szatana

## Plakat

W wielkim mieście  
małych ludzi  
na słupach ogłoszeń  
przyklejono wielki plakat  
który zawiadamiał  
o spotkaniu wielkiego człowieka  
z jeszcze większego miasta  
który będzie mówił  
o stosunku Maksimum  
do Minimum

Ludzie przystawali  
przed słupem ogłoszeń  
i pukali się w czoła

Ktoś u dołu plakatu  
napisał:  
„wypchaj się dupku”  
Ktoś inny:  
„do psychiatryka z nim!”

A na całym plakacie  
ktoś zrobił sprejem  
wielki znak zapytania

### **Madonno Polaków**

Madonno Polaków  
Królowo Polski  
od wieków patrzysz  
na pielgrzymów  
pytając dziś samą siebie  
kim oni są  
i zastanawiasz się  
czy abdykować  
czy cud uczynić  
aby w kraju nad Wisłą  
nie było rokoszy  
i swarów wszelakich

Królowo Polski  
nie wierz tym  
co na klęczkach  
przychodzą do Ciebie  
i dają Ci sutą daninę  
którą zdobyli  
denuncjując przyjaciół

### **Fałszywi świadkowie**

Fałszywi świadkowie  
sprzedają przyjaciół  
za trzydzieści srebrników  
Nie patrzą w oczy „przestępcy”  
który oświadcza  
Jestem niewinny Wysoki Sądzie

Sąd jednak nie stanął  
na wysokości zadania  
i skazał niewinnego człowieka

Fałszywi świadkowie  
chodzą z oczyma  
wpatrzonymi w ziemię  
i myślą o swoich czynach  
które parzą ich jak  
wulkaniczna lawa

### **Wątpliwi bohaterzy**

Wątpliwi bohaterzy  
płacić sobie kaźną  
za wątpliwe czyny  
których świadkowie  
nie żyją

Na piersiach dźwigają  
wątpliwe krzyże zasługi  
Na akademiach z okazji  
siedzą w pierwszych rzędach  
z dumnie podniesioną głową

Wychodzą na trybunę  
aby z pożółkłych kartek  
odczytywać swe bohaterstwo  
którego dowody  
zginęły z archiwów  
w niewyjaśnionych okolicznościach

### **Marzenia**

Czasem marzą mi się  
zakłady utylizacji słów

Słów mówionych  
pisanych i śpiewanych

Słów parszywych  
cuchnących gorzkich  
i zatrutych nienawistną pogardą

Słów które kaleczą  
język  
serce  
i duszę

Słowa te  
należy utylizować  
jak trucizny zawarte  
w wodzie  
powietrzu  
i glebie  
aby człowiek  
doszczętnie nie zginął  
na śmietniku cywilizacji  
XXI wieku

*Jan Lechicki*

## Babcia Anna

Miałaś  
błękitne nieśmiałe oczy,  
płowosrebrną czuprynę.  
Twój ogród  
– od wczesnej wiosny do zimy  
bajkowy gobelin –  
sprawiał, że uśmiech  
sam wyptywał.

W ogrodzie  
zrazu zieleń skromna,  
później kwiaty przecudnej urody,  
owoce dorodne.  
Uspianie jesieni,  
szadź rysująca  
srebrne wzory na drzewach.  
Z drobnych płatków  
utkany przez śnieg  
miękki gruby dywan.

Kochałaś tak żarliwie  
wszystko i wszystkich,  
że niewiele z Ciebie pozostało:  
drobna postać, błękit...

Gdy odeszłaś  
na początku grudnia,  
nikt w to nie uwierzył.  
Pozostawiono dla Ciebie  
opłatek, prezenty,  
miejsce przy wigilijnym stole.

Gdy nie wracałaś,  
czekano  
do następnej zimy.

## Chodziła miłość...

Po świecie  
chodziła miłość  
boso  
w uplecionej z modraków sukience  
i rozdawała  
uśmiechy kwiaty,  
listy, ły,

pierścionki, obrączki,  
słowa.  
Czasami piękne,  
czasami puste.

Dziwili się wszyscy,  
skąd tyle miała darów,  
a ona  
z życia je brała.

## Matylda

Długie czarne,  
niepokorne włosy,  
wymalowane, czerwone,  
wyzywające usta.  
Sama w ogromnym domu  
Malowała i wódkę piła.

Gdy wracała pijana nad ranem  
ze spotkania z bracią pacykarzy,  
furtka zamiast zamknąć się cicho,  
z hukiem strzelała jak na wiwat.

Sąsiedzi z sarkazmem mówili:  
– O, jest nasza pijaczka,  
sama czy z jakimś amantem?

Później spała długo,  
kawę piła i malowała.  
Sam Monet by jej pozazdrościł.  
A inni malarze  
z podziwem głowami kiwali.  
Tyle światła, tyle piękna,  
tyle barw  
i te cienie, i te blaski,  
i ta mgła.  
Ona jest artystką  
przez duże A.  
Wszystkich nas o niebo przerasta.

Zasnęła przy sztalugach  
na zawsze  
pewnej wiosny,  
gdy magnolie ciekawie  
przez okna zaglądały.  
Czarne długie włosy,  
czerwone smutne usta  
i obrazy, obrazy,  
obrazy...



Z promocji tomu *Koralowe sny* w kieleckim Domu Środowisk Twórczych



Stoją od lewej: Czesław Janusz z DŚT, Romuald Bielenda, Irena Nyczaj, Jacek Wiatrowski – współorganizator spotkania, Ewa Wojtasik, Stanisław Nyczaj. U dołu wokalistka Małgorzata Siemieniec

Fot. Paweł Nyczaj



Aktorka Teatru Lalki i Aktora „Kubuś” w Kielcach Agata Sobota (od lewej) recytowała wiersze Autorki. Fot. Anna Bilka

## Tylko wspomnienia

Nie wierzę, gdy mówisz:  
– Nie kocham, odchodzę.  
Nic nas nie łączy.

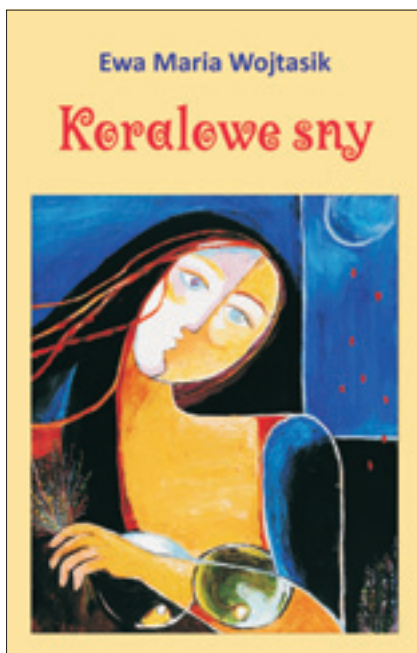
Nieprawda.  
Łączą nas wspomnienia,  
słodkie jak kolorowe karmelki  
w szklanym słoju,  
ciepłe promieniami  
majowego słońca.  
Czasami gorzkie.

Żal,  
że nie przybędą nowe  
w chwilach zwątpienia  
i smutku.

## Odeszła miłość

Odeszła na chwilę  
miłość zmęczona.  
Ukryła się  
w gęstym lesie  
pachnącym żywicą.  
Wiezorami  
na piaszczysty brzeg schodziła,  
by podziwiać bezmiar Bałtyku.

Smutki  
w słodkiej maladze topiła.



Zapomniała  
o wszystkim, co było.  
Nie wróciła.

Siedzi teraz wysoko  
w Górach Świętokrzyskich,  
zastłuchana  
w muzykę kosmosu.

## Jesienny wieczór

Rozpostarte cienie cieni  
na murawie.  
Jesień coś szepce  
pożółkłej trawie.  
Nocną zmianę  
wiatr zaczyna.  
Porozrzuca trochę liści,  
potańczy, pośpiewa,  
paniom zmarszczki wygładzi,  
dzieciom sny pokoloruje.  
Zachęci ptaki  
do lotu.  
Ale one,  
tak jak my  
zauroczone polską ziemią,  
z niechęcią myślą  
o odlocie.

*Ewa Maria Wojtasik*



Współorganizatorzy spotkania: Jacek Wiatrowski i Marek Cichoński

Fot. Anna Bilska

## Z Festiwalu Poezji Słowiańskiej w Warnie (2015)

Stanisław Nyczaj

Станислав Ничай

### W tym zawikłanym krajobrazie świata

W tym zawikłanym krajobrazie świata  
jestem obecny. Sprawdź na każdej mapie.  
Oto rozpięty na równoleżnikach  
oddycham całą szerokością skóry.  
Na mojej twarzy rozlega się łuna  
słońca równika i śniegów bieguna.

Jestem obecny. Śledzisz każdy ruch mój.  
Drgają anteny, wzrok zdziera z ekranu  
maskę szarości do koloru skóry.  
Oddycham – i ty swój oddech nasilasz,  
aż po muzykę, którą jest uwodzony  
słuch... Rośnie akord w nas pnączem swych tonów.

### В неясната картина на този свят

В неясната картина на този свят  
ме има. Провери на всяка карта.  
Ей тук, на паралелите, съм проснат,  
през всички свои пори дишам...  
И по лицето ми полека се разтича  
екваториално слънце, а от полюсите – бяло.  
Така че – има ме!  
Ти следваш всяка моя тръпка.  
Звънят антени, а очите свалят от екрана  
на маските дъха и сивотата – чак до кожа.

И дишам аз. Ти също дишаш ускорено,  
докато не нахлува музика, която  
слуха ни заплменява. Расте акордът в нас  
в изтляваща тоналност.

Превод: Бойка Драгомирецкая



**Станислав  
НИЧАЙ**

Роден е през 1943 г. в гр. Новице. Поет, есеист, издател, литературен анализатор. Завършил е Факултета по полонистика в гр. Ополе. Автор е на повече от двадесет книги в различни жанрове, в това число – и с поезия. Сред заглавията му: „Прекъснат сън”, „Най-тихата смелост”, „Пламенен водопад”, „Извънмерно”, „Албум с любовна лирика”, „Избрани стихотворения”, „Афоризми”, „Игри с природата”, „В дискусия”, „Копнеж за надежда”, „Шеги на масата”, „Най-малко думи”, „Метафизика на творението”, „В писателските кръгове. Спомени” Основател и Главен редактор на литературно списание. Негови творби са превеждани на различни езици. Организатор на общонационални сесии за Стефан Жеромски. Понастоящем е и Председател на Съюза на писателите в гр. Келце. Носител на редица награди, сред които: два пъти на Фондация за наука и култура „Станислав Сташиц”, наградата „Ярослав Ивашкевич” и др.



**Zwątpienie**

a m o ż e  
 jesteśmy myślami Boga  
 co wiecznie rodzą się i umierają

czas zaś nie ma znaczenia  
 jak w przypadku gwiazd na niebie

może żyjemy w sferze ewoluującego  
 potężnego ducha

jesteśmy częścią samorozwiązującego się  
 [zadania  
 gigantycznej boskiej łamigłówki

giniemy bezpowrotnie jako hipotezy złe  
 trwamy na wieki jako użyteczne

i miłosierdzie nie istnieje  
 więc  
 n i k t n a s n i e w y s ł u c h a

**Hiob inaczej**

doświadczani jesteśmy wszyscy  
 j a k H i o b

dawane jest nam  
 odbierane

czasem nie zdążymy pokochać  
 innym razem ukochamy za bardzo

doświadczani jesteśmy  
 czy też  
 d o ś w i a d c z a m y s i e b i e

**Съмнение**

може би ние сме Божии мисли  
 които вечно се раждат а после умират

и няма значение времето  
 нито звездите в небето

навярно живеем в царство  
 развито  
 от мощния дух

или сме просто част от задачата  
 на гигантския ребус на Господ

и умираме всички завинаги,  
 и струваме колкото само  
 най-слабите хипотези

без милосърдие никакво  
 така че – кой ще ни слуша!

**Йов, но различен**

ние всички сме като Йов  
 преживяваме изпитания

дава ни се  
 и ни се взема

понякога нямаме време  
 дори да обичаме  
 а друг път обичаме твърде силно

нас ни изпитват  
 или така се усещаме

## Oświęcim

Stos butów –  
tych co zgwałcono,  
zastrzelono z bliska,  
zaduszono gazem  
lub półżywych  
spalono w piecach.  
Buty –  
na każdy wiek i każdą płeć.  
Buty –  
przegryzione zwierzęcym głodem,  
wykrzywione bólem,  
wyciągające suche języki –  
chór z otchłani,  
wybuchłe  
skamieniałe pytanie...  
Obok przechodzi z ciekawością  
gładko ogolony,  
pachnący „Chanelem”,  
zadowolony z siebie  
i drżący ze zgrozy  
świat.  
Przechodzi,  
wzdycha litościwie  
i  
odchodzi,  
nie zważając,  
że w samym sercu  
ponurej gromady  
szarpie się jak mysz  
i przeraźliwie  
piszczy  
przyciśnięty,  
obolały  
świerszcz...

## Bruzdy

I każdą wiosną odgarniam z radością  
stronice świętej księgi – ziemi.  
Tak jak w świątyni, kłaniam się pokornie  
jej niezawodnej miłości. Z natchnieniem  
układam bruzdy – wiersze.  
Staram się aby sięgały jak najgłębiej,  
potem trochę nawozu, trochę pieśni  
i z hojnością – nasienia.

Czuję grudy jak przegłodzone ptaki,  
które całej zimy na mnie czekały.  
W trop za mną idzie matka,  
bosą stopą wyrównuje, poświęca  
wśród obłoczków szarej pary.  
I w tej dziwnej chwili, z tą parą  
ulatują w powietrze jej głębokie zmarszczki  
i mama staje się młodsza, młodsza...  
Idziemy samotni – syn i matka,  
wśród brzd w niebiesiech znikamy,  
a tam słońce – przemądrość Boża –  
zaprasza nas do złotego rydwanu...

O, biedna matko, lekka jak ptak,  
to tylko optyczne złudzenie.

Co najwyżej dziś osiągniemy znów ziemi,  
do której z tobą na wieki powrócimy.

## Szklana kula

Zobacz – Twój śmiech  
jest szklaną kulką,  
zgubioną  
w lustrzanym labiryncie  
z czarnych szkieletów  
słów.

## Winda

Gdy mijałem  
jej piętro –  
siódme,  
gdzie oczy jej  
nienasycone –  
skurczony w kącie  
poczułem  
jak wściekle tyka  
dynamit  
mego serca.

## Cisza

I znów wraca cisza –  
czyż nie jest głosem Boga?  
*Pyta czy już wiem kim jestem.*  
A szczegóły widać – woda jest przejrzysta  
do dna.

Swoje miejsce zajmuje wszystko,  
co przedtem  
tułało się bez celu.

Krystyna Cel

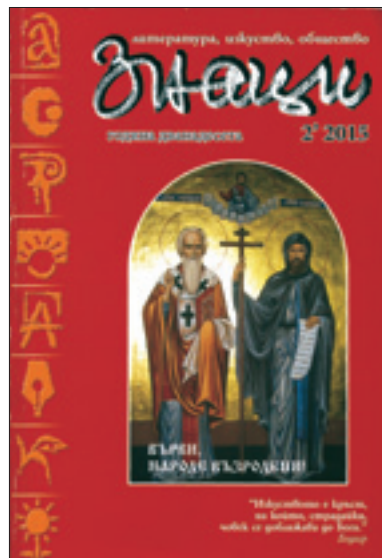


Ceniony bułgarski poeta i tłumacz Łyczazar Seliński (ur. 1949, syn Petyra Selińskiego – nauczyciela, poety i prozaika) jest absolwentem filologii bułgarskiej Uniwersytetu Sofijskiego, gdzie ukończył również kurs języka polskiego. Kilka lat pracował jako dziennikarz, zaś od

26. jest nauczycielem języka i literatury bułgarskiej. Odznaczony orderem „Neofita Rilskiego” – najwyższym w bułgarskim systemie edukacyjnym.

Wydał 18 zbiorów poetyckich, m.in. w j. polskim wiersze wybrane pt. *Inny głos* (Londyn 2014), kilka tomów opowiadań, esejów, a także studium poświęcone twórczości wybitnego poety bułgarskiego Atanasa Dałczewa. Jego wiersze tłumaczone były na angielski, rosyjski, serbski. W Polsce ukazały się m.in. w „Poezji dzisiaj”, „LiryDram”.

Znany jest też jako tłumacz z języka polskiego. Wydał do tej pory w Bułgarii 12 książek: zbiór opowiadań dla dzieci L. Tymowskiej, tomy poetyckie H. Poświatowskiej, St. Jurkowskiego, D. Koman, B. Zalot, G. Walczaka, M. Mackojć, M. Zynger, A.M. Musz, M.B. Kielar, A. Wróbla, powieść A. Nawrockiego *Cień jego anioła*.



Wiersze dwujęzyczne S. Nycza, T. Mielcarka i M. Zynger pochodzą z tej antologii

## Muzeum Zegarów Słonecznych

W tym królestwie czasu  
czuję jak wieczność  
wskazówkami zegarów  
zatacza swój krąg  
jak przyptywa i odpływa  
znacząc w milczeniu  
także i moje  
minuty i sekundy

i tylko władczy Kronos  
uśmiecha się pobłaźliwie  
a nawet drwiąco  
bo to przecież on  
najstarszy zegarmistrz świata  
nieubłaganie odmierza czas

## Prawie ludzki

Zostawiłam za sobą  
złoty szelest jesieni

nad moją głową szary obłok  
a pod stopami zmieszany z deszczem  
brudny śnieg  
w tym ponurym krajobrazie  
próżno szukać choćby jednej  
obietującej chmurki

jakże spokorniał ten odmieniony świat  
taki nagi taki odarty z blasku  
że prawie ludzki

## Samotnia

Tu promień słońca  
wbiega jakby od niechcenia  
i chyłkiem umyka

tu czas z nikim i z niczym  
już się nie ściga  
a sen zwleka z przyjściem  
i aż po północ rozciąga  
ciszę wieczoru

w takiej samotni  
można nareszcie  
przyrzeć się sobie

## Cisza

I

W chaosie świata  
coraz mniej miejsca  
dla ciszy

bezszelestna nieporadna  
kuli się po kątach  
próbując przeczekać  
wrzaskliwy zgiełk świata

zepchnięta w ślepy zaułek  
nie chce zamienić się w kamień  
i pozostać już tylko  
w słowach poetów

II

Cisza może być tak głęboka  
że wystarczy zamknąć powieki  
by jej przestrzeń uczynić  
wprost niewymierną  
a siebie

znikającym punktem  
w kosmicznym chaosie

cisza może być tak głęboka  
że wystarczy zamknąć powieki  
by w jej martwej czeluści ujrzeć  
wezbrany żalem niedosyt

## Moje obce ciało

Takie niesprężyste takie obce  
drętwieje sztywnieje  
jakby miało zastygnąć  
na wieczność

nawet mi go żal  
że tak już zmęczone  
a przylega do mnie  
mocno i nierozzerwalnie

jakby uporczywie strzegło  
mojej nieśmiertelnej duszy

*Krystyna Cel*



Festiwal SCYZORYKI 2015. Werdykt w kategorii LITERATURA ogłasza Beata Kamińska – kierownik Referatu w Wydziale Edukacji, Kultury i Sportu Urzędu Miasta Kielce. Obok jurorzy z KO ZLP: Ewa Wojtasik i Stanisław Nyczaj



Jurorzy wręczają statuetkę SCYZORYKÓW laureatowi nagrody w dziedzinie prozy Maciejowi Dworakowi  
Fot. Łukasz Zarzycki



## Perfidne kłamstwa „Radostowy”

Przykro mi, że zmuszony jestem zakończyć ten numer stanowczą reprimendą na paszkwile zamieszczone w starachowickim piśmie „Radostowa” (30-lecie Oddziału ZLP w Kielcach, nr 199-200, s. 52-53; *Krajobraz po grubej kresce*, nr 203-204, s. 45), które red. nac. Antoni Dąbrowski podpisał pseudonimem „Henryk Market”. Przyznał się do tego w telefonicznej rozmowie z Janem Chruślińskim, mającym doń uzasadnioną pretensję za obraźliwą insynuację, jakoby nie należał do ZLP (z domniemaniem, iż wbrew regulaminowi II Konkursu Literackiego im. Stefana Żeromskiego wziął w nim udział), a przecież od 2012 roku Jan jest członkiem naszego Oddziału.

Nie chowając, jak Antoni, głowy w piasek, postanowiłem – za radą wielu oburzonych niegodziwą, kalającą własne, świętokrzyskie gniazdo postawą „Radostowy” – ująć się, gwoli uczciwej sprawiedliwości i uszanowania godności, w obronie znieważonych pomówieniami i kłamstwami pisarzy. Zarówno goszczących na naszym jubileuszu z Zarządu Głównego, jak i z Kieleckiego Oddziału ZLP. Po to, by przemilczenie nie zostało odebrane za moją – i naszą (w imieniu Kieleckiego Oddziału i Redakcji „SKL”) – akceptację. Nie godzimy się na kolportowane dla taniego poklasku żądnych „sensacji” osób z gruntu fałszywe interpretacje i oceny.

Perfidne, zmanipulowane zarzuty i oskarżenia dotknęły nie tylko (co okaże się później) prezesa ZG, wybitnego poetę Marka Wawrzkiwicza, któremu „Radostowa” z maniackim uporem od lat zarzuca „konfidencyjną przeszłość” oraz że „apoteozowany [przez takich, jak ja – S.N.] dzierży swój urząd czwartą kadencję i mimo sędziwego wieku ani myśli zwolnić fotela na Krakowskim Przedmieściu”. Paszkwilant nie chce przyjąć do wiadomości tej prawdy, że prezes Wawrzkiwicz dawno został oczyszczony z zarzutu, jakoby był w PRL konsultantem trefnych służb, nie znalaziono na złośliwe pomówienia żadnych dowodów, żadnego aktu posądzanej niecnie „współpracy”

nigdy nie podpisał, a w wyborach na kolejne kadencje wygrywał głosowania z ogromną liczebnie przewagą (ostatnio 89. głosami w stosunku do 30. oddanych na rywala Dariusza Tomasa Lebiodę z Bydgoszczy). Tak niemal gremialne zaufanie delegatów na kolejnych krajowych zjazdach przecież o czym świadczy!

Paszkwilant pisze zgryźliwie o swoich kolegach z Oddziału w pierwszym z wymienionych wyżej tekstów (niby-felietonów), gdy był jeszcze jego członkiem. Zanim wraz z Agnieszką Ziębą-Dąbrowską zostali skreśleni przez Prezydium ZG ZLP wraz z 20. innymi z oddziałów warszawskiego i gdańskiego za horrendalne zaległości składkowe od wielu lat. Wiadomo, składki są wymogiem statutowym obligującym moralnie wszystkich; bez ich systematycznego uiszczania Związek praktycznie pozbawiony zasilenia regularnymi dotacjami z zewnątrz, nawet przy wszystkich sprawowanych s p o ł e c z n i e funkcjach, nie mógłby działać, podołać powszednim nieodzownym wydatkom, utrzymać siedzib w większości oddziałów ani bankowych kont!). Czytam z rosnącym zażenowaniem zdumieniem: „Na 30-lecie O/ZLP zjechała do Kielc cała wierchuszka Zarządu Głównego z Markiem Wawrzkiwiczem na czele oraz faworytą – poetessą z Końskich. Liczący ponad 50 osób Kielecki Oddział reprezentowany był przez garstkę pisarzy, głównie oldbojów i pieścuchów PRL-owskich władz”. Zenit złośliwości „Market” osiągnął, nazywając cenionego w kraju krytyka literackiego i poetę Stefana Jurkowskiego „krytykantem” bądź „nawrotnym krytykiem warszawki”, który ośmielił się Elżbietę Musiał określić „jedną z najwybitniejszych poetek polskich”. To dla „Marketa” było za wiele, więc dodał kąśliwie: „Musieliśmy uwierzyć mu na słowo, bo nie przytoczył nawet jednej przekonującej metafory”. Wyobrażam sobie, jak zrzęda mina kpiarzowi-ironiście, gdy zobaczył w gdańskim „Autografie”, w numerze 1 z br. (a tam już chyba trudno o nadzwyczajne „chody”!) tytuł recenzji Andrzeja Wołosewicza

z dwu ostatnich jej tomów: *Elżbieta Musiał – zbyt dobra, więc dlatego... nieznaną?* (2015, nr 1, s. 35). Paszkwilant szczególnie wziął się, by dokuczyć Elżbiecie. Tak bywało już w felietonach z ubiegłych lat, ale teraz przybrało znamiona chorobliwej antypatii i niszczenia jej dobrego wizerunku, a nawet zniesławienia. „Jury w składzie: Stefan Jurkowski, Janusz Termer i Stanisław Nyczaj deszczem komplementów i nagród obsypali znowu Elżbietę Musiał (jej «poemat» czytała dwójka aktorów z Teatru Żeromskiego)”. Natomiast wg oburzonego „Marketa” „zdecydowanie nie doszacowano zbioru wierszy inspirowanych Biblią Agnieszki Zięby-Dąbrowskiej, któremu przyznano jedynie wyróżnienie «Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego». Podobnie potraktowano jej zbiór opowiadań”. W drugim tekście „Radostowy” rana krzywdy sprawionej jakoby werdyktem jury jest rozdrapywana do żywej krwi: „Nyczaj, chcąc wyjść z twarzą, wpadł na istic szatański pomysł: wręczył jej świstek zwykłego papieru, gdzie stało, że na jego wniosek autorce przyznano wyróżnienie «Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego». Gros trofeów przypadło Elżbiecie M. za *Trzy poematy*. A więc nagroda pieniężna i rzeczowa, wyjazd do Brukseli, odczytanie fragmentów przez dwóch wynajętych do tego celu aktorów, medal Zasłużony Kulturze «Gloria Artis» (wręczony genialnej autorce tuż przed kieleckim jubileuszem na salonach MKiDN (innym członkom Zarządu O/ZLP medale i ministerialne nagrody wręczono na miejscu)”. Kłamstwo za kłamstwem. Zacznijmy od tego, że Glorię Artis E. Musiał otrzymała w auli Domu Literatury w Warszawie podczas otwarcia 43. WJP.

Toż przecież mój wniosek został w podanym w tym numerze werdykcie jury zapisany jako wyróżnienie „ŚKL”. Że honorowe? Kilku pominiętych uczestników rywalizacji o nie by westchnęło! Dają lobby na szybszą książkową publikację. Bo pieniądze na nagrody i wyróżnienia w konkursie, pomimo usilnych zabiegów, pozyskaliśmy w rezultacie symboliczne. Wbrew bezpodstawnemu podejrzeniu „Radostowy”, główna laureatka w dziale poezji, Elżbieta Musiał, nie otrzymała żadnej kwoty, przyjmując pierwszą nagrodę w formie bezpłatnego udziału w kilkudniowej studyjnej wycieczce autokarowej do Brukseli, przyznanego w wyniku znowuż moich intensywnych próśb w rozmowach z posłem

do Parlamentu Europejskiego dr. Czesławem Siekierskim.

Wśród licznych omyłek zadziwiają aż trzy błędne informacje w ważnych kwestiach. Po pierwsze, nagroda przypadła nie *3 poematom*, a zupełnie nowemu, przystanemu pod godłem „Czas niedokonany” poematowi: *Mówię pochyloną cambrią*. Po drugie: aktorzy Teresa i Mirosław Bielińscy czytali fragmenty z zawartego w tomie *3 poematy* utworu *Ars moriendi...* Po trzecie, występ aktorów – z braku związkowych funduszy – pokryła z własnych środków autorka. Nie było też opłacanych z kasy związkowej zwrotów kosztów podróży ani opłat za noclegi (WBP użyczyła ich w swym apartamencie gościnnie, a w Bursie Szkolnej przy ul. Jagiellońskiej nocujący płacili sami; tylko Agnieszka Zięba-Dąbrowska, niemająca pieniędzy, na moją pisemną prośbę do Dyrekcji nocowała bezpłatnie, przywieziona i wyżywiona przez Jana Chruślińskiego, który przybył do Kielc na jubileusz 8 grudnia, dzień po obradach i werdykcie jury). Jurorzy dostali skromne, jak na duży konkurs, honoraria (każdy w kwocie brutto, w tym na pokrycie wydatków pobytowych) za ocenę wielu nadesłanych prac o objętości w wymiarze książkowym. Nie przywiózł jurorów swym samochodem Jan Chruśliński, jak kłamliwie sugeruje Czytelnikom „Henryk Market”, chcąc wplątać laureata II nagrody za powieść *Wojna i miłość* we współpracę z jurorami. Przybyli do Kielc osobno w przeddzień, 7 grudnia, by wziąć udział w popołudniowych obradach zakończonych zaprotokołowanym werdyktem.

Zadziwia swoisty antyfenomen, z jaką łatwością przychodzi Antoniemu dyskredytować ludzi wartościowych, którzy byli, czy są jeszcze, mu życzliwi. Jakby dla snucia jakiejś teorii spiskowej o upadku Związku, jego „wierchuszki”, opłacało mu się tracić ich przychylność. Jakiż z niego zadziora! – ktoś pomyśli, wielbiący rozróby dla draki. Jakiż dziennikarski temperament! A to zwykła hucpa, szalbierstwo, werbalne kunktatorstwo. W każdym akapicie padają zdania mijające się z prawdą. I chyba paszkwilantowi o to chodzi, by przypominać starszym kolegom, że w PRL-u pracując w gazetach, byli bardziej dziennikarzami niż pisarzami. Wszak pracowali w swoim ulubionym żywiole słowa, tworzyli warsztat pisarski, utrzymywali rodziny, a przeszedłszy na emeryturę, nadrobili brakujący

wcześniej na twórczość czas, odnieśli w krótkim okresie sukcesy literackie, jak poniżani przez „Marketa” w określeniach: Henryk Kawiorski (laureat I nagrody w konkursie za powieść *Pocałunek na dobranoc*) czy Tadeusz Wiącek (autor powieści *Marionetki*, uhonorowany Medalem „Gloria Artis”.

Z innych wcale niebłahych kwestii szczegółowych pragnę retorycznie zapytać, na jakiej podstawie paszkwilant przypisał solidnemu w opłacaniu składek Henrykowi Morawskiemu z Biało-brzegów horrendalny dług, pisząc: „np. H. Morawski ma ponad 3000 zł zaległości i jest hołubiony, zapraszany na Warszawskie Jesienie, Kazimierskie Plenery, nadmorskie wczasy literackie itp.”.

I śmieszno, i straszno. Policzmy: H. Morawski, aby „zrobić” taką zaległość, musiałby być członkiem ZLP 25 lat. A został przyjęty do naszego Oddziału w 2009 roku. Wyliczenia pozostawiam autorowi paszkwila oraz Czytelnikom. Nasz kolega n i g d y nie zalegał ze składkami, a za udział w plenerach, na jakie był zapraszany, sam pokrywał koszty tak jak pozostali uczestnicy.

Nie chcę wydłużać listy gaf i pomówień „Henryka Marketa”, być może „popętnianych”, a właściwie preparowanych rozmyślnie dla zniesławienia kolegów i zdyskredytowania docenianych w regionie i kraju osiągnięć Kieleckiego Oddziału ZLP.

Należy tylko współczuć p o e c i e takich pokładów jadu.

PS

Chcąc nie chcąc, muszę ująć się także w swojej obronie, bo paszkwilant mnie nie oszczędza. Pisze, że „wedle oceny stołecznego luminarza [Stefana Jurkowskiego – S.N.] Nyczaj to poeta zjawiskowy, niemający równych w Obrzydłówku i okolicy. A przecież dobrze wiemy, że od wielu lat autor *Pulsu* nic nie pisze”.

Na taką wierutną dezinformację odezwały się kolejne liczne zdziwione i poirytowane agresywną złośliwością telefony z kraju od lepiej niż red. „Radostowy” poinformowanych o moim dorobku, recenzowanym w pismach ogólnopolskich (choćby w „Gazecie Kulturalnej”, „Akancie”, „Autografie”) i znanym chociażby z Wikipedii. Z ostatniego okresu mojej twórczości zostały tam wymienione: *Poezje wybrane* (Warszawa 2008, LSW, Biblioteka Poetów) i następne tomy

nowych wierszy *Przedążyć pęd Ziemi* (2009), *Arcyimiara* (2014), *Pojedynek z Losem* (2015), a z książek eseistycznych *Metafizyka tworzenia* (2007), *Wśród pisarzy. Rozmowy i wspomnienia* (2010). Łatwo sprawdzić.

Z publikacji rozproszonych po czasopismach (w tym w „ŚKL”) i portalach internetowych formują dwie nowe pozycje eseistyczno-krytyczno-literackie. Pewnie można by więcej, ale staram się, by nasze – postponowane przez „Henryka Marketa” plenery przebiegały ciekawie, profesjonalnie i by wiele się działo na artystycznym poziomie podczas np. Świętokrzyskich Wiosen Literackich i festiwali, do udziału w których przyjaciół z ZLP i utalentowanych adeptów pióra animuję.

Stanisław Nyczaj



Okładka numeru „Radostowy” z tekstem szkalującym kolegów-pisarzy. Sportretowana na okładce Jadwiga Jaśkowiak z Lublina nie ma nic wspólnego z zamieszczonym w piśmie paszkwilem

## Nagroda dla Dariusza Kaźmierczaka

W ślad za informacją Izy Bednarz na portalu „Echa Dnia” (dostępna pod adresem <http://www.echodnia.eu/apps/pbcs.dll/article?AID=/20140404/POWIAT0113/140409426>.) odnotowujemy z satysfakcją, iż kolega z naszego Oddziału ZLP Dariusz Kaźmierczak z Włoszczowy (z zawodu lekarz pediatra, na zdj. z lewej) został laureatem II nagrody w III edycji Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. prof. Andrzeja Szczeklika, zorganizowanego przez wydawnictwo Medycyna Praktyczna, pn. „Przychodzi wena do lekarza” z powieść *Wysiedleni*.



W skład jury wchodził m.in. Anna Dymna, Ewa Lipska, Adam Zagajewski oraz Maria Szczeklika – żona profesora Andrzeja Szczeklika, wybitnego lekarza i humanisty, autora nie tylko podręczników medycznych i prac naukowych, ale wielu esejów i książek z pogranicza medycyny i filozofii, takich jak *Katharsis*, *Kore*, *Nieśmiertelność*, które szybko stały się bestsellerami.

„Akcja powieści – pisze Iza Bednarz w rozmowie z autorem – toczy się w czasie II wojny światowej najpierw w Polsce w okolicach Łęczycy, a potem we Francji, w małej wsi pod Paryżem, gdzie zostali wysiedleni do pracy przymusowej na rzecz III Rzeszy główni bohaterowie – rodzina Jana i Apolonii Granosików. – Oparłem fabułę na historii mojego dziadka, który tak jak moi bohaterowie, został wysiedlony z rodziną na roboty do Francji, pracował w gospodarstwie rolnym. Szczęśliwie on, moja babcia i mój tato dotrwali do wyzwolenia, ale dziadek, który ciężko chorował, zmarł w pociągu w czasie powrotu do Polski – opowiada dr Kaźmierczak. Podkreśla jednak, że *Wysiedleni* nie są sagą rodzinną, ale opartą o wątki autobiograficzne książką sensacyjną obfitującą w zaskakujące zwroty akcji. – Musiałem odświeżyć sobie wiadomości z historii i topo-

grafii, zgłębić temat francuskiego ruchu oporu, w który zaangażuje się córka mojego bohatera, ale myślę, że było warto opowiedzieć tę historię – dodaje. W książce jest również wątek miłosny, jak przystało na obyczajówkę.

Doktor Dariusz Kaźmierczak ma 54 lata, pochodzi z Ozorkowa, ukończył wydział lekarski Akademii Medycznej w Łodzi, w 1987 roku przyjechał do pracy do Włoszczowy i już w niej został na stałe. Przez wiele lat pracował w szpitalu, pogotowiu i przychodni. Ma żonę i trójkę dzieci. Debiutował w Oficynie Branta powieścią *Cesarskie cięcie*. Do tej pory wydał sześć książek (m.in. *Przepustkę do raję*, *Dorwać Drozda*, *W strefie mroku*). Jak nam powiedział, książki zawsze były jego wielką namiętnością. Pierwsze próby literackie (głównie do szuflady) podejmował w Liceum Ogólnokształcącym w Łęczycy. Jego domeną jest tematyka sensacyjno-obyczajowa, ulubionymi autorami: Harlan Coben i Dan Brown. Pisze popołudniami w wolnych chwilach po pracy. – Obecnie pracuję tylko w przychodni i kilka razy w miesiącu dyżuruję w szpitalu, więc czas na pisanie zawsze się znajdzie. Poza tym lubię ten mój wymyślony świat. Jest bardziej przewidywalny niż realny – mówi. W planach ma powieść opartą o życie drugiego swojego dziadka – więźnia obozów koncentracyjnych Auschwitz i Buchenwald. – Będzie to solidna sensacyjna intryga z historycznym tłem – zapowiada.

Inicjatorem konkursu „Przychodzi wena do lekarza” był sam profesor Andrzej Szczeklika, wybitny lekarz i humanista, szef II Katedry Chorób Wewnętrznych w Krakowie. Jego imię nosi Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Laureaci konkursu otrzymują dyplom honorowy i statuetkę – miniaturkę rzeźby akrobatów – znaku rozpoznawczego Kliniki Szczeklika, jak popularnie jest nazywana Katedra Chorób Wewnętrznych na Skawińskiej w Krakowie”.

Fragment powieści Dariusza Kaźmierczaka *Wysiedleni* dostępny jest pod adresem: <http://pliki.echodnia.eu/pdf/Fragment%20Wysiedleni.pdf>.

## Świątokrzeska Jesień Literacka w Morawicy

W grudniu ubiegłego roku grupa pisarzy z Kieleckiego Oddziału Związku Literatów Polskich, obchodzącego 30-lecie pisarskiej i animatorskiej działalności (Jan Chruśliński, Jan Lechicki, Stanisław Nyczaj, Irena Paździerz, Andrzej Piskulak, Kazimiera Szczykutowicz, Ewa M. Wojtasik i pisząca te słowa), gościła w szkołach gminy Morawica na spotkaniach autorskich z uczniami zarówno klas podstawowych, jak i gimnazjalnych. Młodzi adepci pióra z tych szkół wzięli udział w konkursie literacko-dziennikarskim. Na gali podsumowującej konkurs w morawickim Samorządowym Centrum Kultury, prowadzonej przez dyr. Teresę Badowską, z rąk prezesa kieleckich literatów Stanisława Nyczaja i wójta gminy Mariana Burasa nagrody i wyróżnienia książko-

we od pisarzy i Oficyny Wydawniczej „STON 2” odebrało aż 26 laureatów. Wystąpili też młodzi wokaliści i z krótkim recitalem piosenek Małgorzata Siemieniec z Kielc.

Efekt współpracy literatów z morawicką społecznością (młodzieżą, polonistami, regionalistami) – podobnie jak wcześniej z miłośnikami literatury Zagnańska, Sitkówki-Nowin – nadspodziewany, wart upowszechnienia w regionie i kraju. Bogata tradycja pisarska Kielecczyny i głośna w kraju literacka współczesność (ponad 1200 książek naszych pisarzy ukazało się w ciągu minionych 30 lat!) upoważniła kiedyś wybitnego krytyka Piotra Kuncewicza do stwierdzenia, iż to właśnie „literatura jest kieleckim sztandarem”.



Stanisław Nyczaj – prezes ZLP i wójt gminy Morawica Marian Buras wręczają nagrodę laureatce konkursu.

Fot. archiwum Centrum Samorządowego w Morawicy

## List od Stowarzyszenia „Rodzina 19 Pułku Ułanów Wołyńskich”

Szanowny Pan Stanisław Nyczaj  
Prezes Kieleckiego Oddziału Związku Literatów Polskich

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałam książkę pt. *Miłość i wojna* autorstwa Pana Jana Chruślińskiego, zanim ukazała się na rynku księgarskim.

Poczułam się wielce zaszczycona propozycją Pana Jana, literata z wieloletnim dorobkiem pisarskim, z wykształcenia historyka, który odczuł głęboką potrzebę dotarcia do źródła, osób związanych ze środowiskiem Kresowian.

Otrzymałam propozycję zaznajomienia się z treścią książki, opartej na wywiadach ze świadkami lub uczestnikami autentycznych wydarzeń.

Akcja powieści rozpoczyna się w połowie 1939 roku. Treścią jest udział Szwadronu 19 Pułku Ułanów Wołyńskich z Ostroga nad Horyniem w kampanii wrześniowej 1939 roku, okres okupacji niemieckiej i sowieckiej na ziemiach polskich oraz bohaterskiej walki o Niepodległość Polski żołnierzy Polskiego Państwa Podziemnego – Armii Krajowej. Miejscem akcji jest Radom i okolice oraz Wołyń w rejonie Ostroga nad Horyniem, Zdołbunowa i Równego.

Ostróg, przedwojenne miasto graniczne, było miejscem stacjonowania 19 Pułku Ułanów Wołyńskich. Głównymi bohaterami są oficerowie i kadra dowódcza 19 Pułku, którzy w powieści zachowują własne imiona i nazwiska, żołnierze Armii Krajowej walczący w podziemiu i dowódcy grup partyzanckich.

Bohaterowie powieści – Michał i Mela to postacie autentyczne, noszące przybrane nazwiska. Michał – podchorąży zmobilizowany w sierpniu 1939 r. do 19 Pułku Ułanów Wołyńskich. Pani Mela – łączniczka Armii Krajowej, sanitariuszka i pielęgniarka.

Nie mam danych statystycznych, ile ukazało się pozycji w literaturze pięknej opisujących losy

wojenne bohaterskich ułanów i oficerów 19 Pułku. Jest to pierwsza powieść, jaką przeczytałam. Wiele natomiast istnieje dokumentów o wartości historycznej, rozpraw naukowych, publikacji, wspomnień oraz pamiętników w zbiorach bibliotecznych i prywatnych, w archiwach, nie zawsze dostępnych ogółowi czytelników oraz utworów poetyckich związanych ze zwycięską bitwą pod Mokrą 1 września 1939 roku.

Przyznam, że książka *Miłość i wojna* zachwycała mnie zarówno poruszoną tematyką związaną z naszym 19 Pułkiem, jak również pięknym stylem literackim oraz czystą polszczyzną. Artystyczne opisy przyrody i zjawisk natury sprawiają, że książkę czyta się z przyjemnością. Wzruszająca w tej treści jest autentyczność wydarzeń, opartych na faktach.

Szlachetne wzory i postawy bohaterów, wartości wyznawane – Bóg, Honor, Ojczyzna – czynią tę książkę godną najwyższej oceny i uznania, polecaną szczególnie naszej młodzieży i szerokiemu ogółowi czytelników. Książka jest szczególnie bliska członkom i sympatykom Stowarzyszenia „Rodzina 19 Pułku Ułanów Wołyńskich”, których losy rodzin są splecione z losami bohaterów książki – wyrażamy wdzięczność autorowi za podjęcie tematu swej powieści osnutej na losach ludzi i historii 19 Pułku Ułanów Wołyńskich.

Uprzejmie proszę o przeczytanie powyższego listu podczas uroczystej promocji wydanej książki.

Prezes Stowarzyszenia  
„Rodzina 19 Pułku Ułanów Wołyńskich”  
Dr n. med. Hanna Irena Rola Różycka

Warszawa 03 XI 2014



Liliana Abraham Zubińska



*Dmuchawiec*



*Mnich*



*Lotos i złote rybki*



*Przestrzeń*

Liliana A. Zubińska:  
*W ogrodzie*



Liliana Abraham Zubińska:  
*Żurawie*